

**Philip K. Dick**

**ŚWIAT JONESA**



**Philip K. Dick**

**ŚWIAT JONESA**

*(The World Jones Made)*

*Przełożył Norbert Radomski*

Ephowi Konigsburgowi,

który mówił szybko,

a przy tym doskonale.

## Rozdział pierwszy

Temperatura w Azylu wynosiła od 37 do 38 stopni Celsjusza. W powietrzu nieustannie zalegała para, snująca się i kłębiąca ospale. Z „ziemi” – płynnej warstwy ciepłego mułu, stanowiącego mieszaninę wody, rozpuszczonych związków nieorganicznych i grzybowatej papki – strzelały gejzery gorącej wody. Wszechobecny wilgotny nalot, sączący się po mokrych skałach i gąbczastych zaroślach, po przewodach i rozmaitych urządzeniach, unosił zabarwiające go szczątki porostów i pierwotniaków. Starannie odmalowane tło przedstawiało długi płaskowyż wznoszący się nad wzburzonym oceanem.

Nie ulegało wątpliwości, że Azyl stworzony został na wzór macicy. Podobieństwo było niezaprzeczone – i nikt temu nie zaprzeczał.

Schyliwszy się, Louis z ponurą miną podniósł wyrastający tuż obok jego stopy bladozielony grzyb i rozerwał go na strzępy. Spod wilgotnej skórki organicznej materii ukazał się plastikowy szkielet. Grzyb był sztuczny.

– Mogliśmy trafić gorzej – odezwał się Frank, widząc, że Louis ciska grzyb na ziemię. – Wyobraź sobie, że musielibyśmy płacić za to wszystko. Urządzenie tego miejsca musiało kosztować Rząd Federalny miliardy dolarów.

– Teatralne dekoracje – odparł gorzko Louis. – Po co? Dlaczego urodziliśmy się właśnie tacy?

Frank uśmiechnął się szeroko.

– Jesteśmy wyższą formą życia, pamiętasz? Wyjaśniliśmy to sobie już przed laty. – Wskazał na świat widoczny przez ściany Azylu. – Jesteśmy zbyt doskonali, aby tam żyć.

Na zewnątrz rozciągało się nocne San Francisco, na wpół uśpione pod kołdrą zimnej mgły. Wolno sunęły nieliczne samochody. Ze stacji podziemnej jednoszynówki wynurzały się niczym olbrzymie dżdżownice grupy podróżnych. Tu i ówdzie jarzyły się rzadko rozsiane światła biur... Louis odwrócił się od tego wszystkiego plecami. Zbyt wielki ból sprawiał mu ten widok, świadomość, że tkwi tu jak w pułapce, zamknięty w kręgu ich grupy, świadomość, że nie czeka ich nic poza siedzeniem i przyglądaniem się, nic poza pustymi latami Azylu.

– Musi być jakiś cel – powiedział. – Jakiś powód naszego istnienia.

Frank fatalistycznie wzruszył ramionami.

– Jesteśmy wojennymi anomaliami. Promieniowanie. Uszkodzenie genów. Egzemplarze wybrakowane... jak Jones.

– Ale jednak utrzymują nas przy życiu – odezwała się za ich plecami Irma. – Opiekują się nami, troszczyli się o nas przez te wszystkie lata. Muszą coś z tego mieć. Na pewno o coś im chodzi.

– Przeznaczenie? – zapytał drwiąco Frank. – Nasz kosmiczny cel?

Azyl, mroczna, parna kadź, w gruncie rzeczy był dla tych siedmiorga więzieniem. Wypełniała go mieszanina amoniaku, tlenu, freonu i śladowych ilości metanu, silnie nasycona parą wodną i pozbawiona dwutlenku węgla. Zbudowano go dwadzieścia pięć lat temu, w roku 1977, i starsi członkowie grupy pamiętali wcześniejsze życie w oddzielnych mechanicznych inkubatorach. Już pierwotna konstrukcja była pierwszorzędna, a z biegiem czasu wprowadzono do niej liczne ulepszenia. Pracownicy obsługi, normalni ludzie chronieni przez hermetyczne kombinezony, wkraczali od czasu do czasu do Azylu, ciągnąc za sobą sprzęt. Zazwyczaj chodziło o naprawę któregoś z ruchomych elementów „fauny”.

– Gdyby mieli dla nas jakiś cel, powiedzieliby nam o tym – stwierdził Frank, który miał zaufanie do sprawującego nadzór nad Azylem Rządu Federalnego. – Doktor Rafferty by nam powiedział. Wiecie o tym.

– Nie jestem tego taka pewna – odparła Irma.

– Na Boga – powiedział z gniewem Frank – oni nie są naszymi wrogami. Gdyby chcieli, mogliby nas zlikwidować w sekundę – a nie zrobili tego, prawda? Mogliby napuścić na nas Ligę Młodzieży.

– Nie mają prawa nas tu trzymać – zaprotestował Louis.

Frank westchnął.

– Gdybyśmy stąd wyszli – powiedział powoli, jak do dzieci – poumieralibyśmy.

U góry przezroczystej ściany znajdował się otwór wentylacyjny z szeregiem zaworów. Sączył się stamtąd mdły odór drażniących gazów, mieszając się ze znajomą wilgocią powietrza, którym oddychali.

– Czujecie? – zapytał Frank. – To właśnie jest na zewnątrz. Ostre, zimne i śmiercionośne.

– Czy nigdy nie przyszło ci do głowy – zapytał Louis – że ten cały gaz to może po prostu lipa?

– Wszystkim nam przychodzi to do głowy – odparł Frank. – Regularnie co parę lat. Wpadamy w paranoję i zaczynamy planować ucieczkę. Tyle tylko, że wcale nie musimy uciekać. Wystarczy, że po prostu wyjdziemy. Nikt nigdy nas nie zatrzymywał. Możemy najspokojniej w świecie opuścić ten zaparowany garnek, z jednym zastrzeżeniem: poza nim nie możemy przeżyć. Po prostu nie jesteśmy dość silni.

O sto stóp dalej, tuż przy przezroczystej ścianie, zgromadzili się pozostali czterej członkowie grupy. Głos Franka dobiegał do nich stłumiony i zniekształcony. Garry, najmłodszy z nich, spojrział w górę. Nasłuchiwał przez chwilę, nic jednak już do niego nie dotarło.

– W porządku – powiedziała niecierpliwie Vivian. – Chodźmy.

Garry skinął głową.

– Żegnaj, macico – mruknął. Wyciągnął rękę ku czerwonemu przyciskowi, by wezwać doktora Rafferty'ego.

– Nasi mali przyjaciele od czasu do czasu trochę dokazują – powiedział Rafferty. – Wydaje im się, że mogliby zmierzyć się z każdym. – Poprowadził Cussicka ku ruchomej pochylni. – To będzie interesujące... jeszcze ich pan nie widział. Proszę nie okazywać zaskoczenia. To może być szok. Wiele ich od nas różni, nie tylko fizjologia.

Na jedenastej kondygnacji ukazały się pierwsze elementy Azylu: złożony system pomp utrzymujących jego temperaturę i skład atmosfery. Zamiast policji widać tu było lekarzy, białe mundury w miejsce brązowych. Na czternastej kondygnacji Rafferty zszedł z sunącej w górę pochylni. Cussick poszedł w jego ślady.

– Wzywali pana – odezwał się do Rafferty'ego jeden z lekarzy. – Są ostatnio bardzo zdenerwowani.

– Dzięki – rzekł Rafferty, po czym zwrócił się do Cussicka: – Może ich pan obserwować na tym ekranie. Nie chcę, żeby pana widzieli. Nie powinni wiedzieć o policyjnej ochronie.

Fragment ściany odsunął się. Za nim ukazało się wypełnione kłębamii pary niebieskozielone wnętrze Azylu. Cussick przyglądał się, jak doktor Rafferty przechodzi przez służę do leżącego poza nią sztucznego świata. W jednej chwili jego wysoką postać otoczyło siedem dziwnych karykatur, chochlikowatych karzełków płci obojga. Cała siódemka była wzburzona, a ich wątle, ptasie klatki piersiowe falowały pod wpływem emocji. Zaczęli coś tłumaczyć piskliwymi, podniesionymi głosami, gestykulując zawzięcie.

– O co chodzi? – przerwał im Rafferty. W nagrzanym, parnym powietrzu Azylu z trudem łapał oddech. Po jego poczerwieniałej twarzy spływały krople potu.

– Chcemy stąd odejść – zapiszczała kobieta.

– I odchodzimy – zawtórował jej mężczyzna. – Tak postanowiliśmy. Nie możecie trzymać nas tu w zamknięciu. Mamy swoje prawa.

Przez chwilę Rafferty omawiał z nimi sytuację, po czym odwrócił się gwałtownie i ruszył z powrotem ku służbie.

– To mój limit – wymamrotał, ocierając czoło. – Mogę wytrzymać tam trzy minuty, potem amoniak zaczyna działać.

– Zamierza pan im pozwolić, by spróbowali? – zapytał Cussick.

Rafferty zwrócił się do techników:

– Uruchomcie Furgon. Niech będzie gotowy, żeby ich zebrać, kiedy padną. Furgon to ich komora respiracyjna – wyjaśnił Cussickowi. – Nie ma wielkiego ryzyka. Są delikatni, ale zdążymy ich pozbiierać, zanim stanie im się krzywda.

Nie wszyscy mutanci opuszczali Azyl. Prowadzącą do windy ścieżką ruszyły, uważnie stawiając kroki, cztery niepewne postacie. Pozostała trójka zatrzymała się w bezpiecznym miejscu, przy wyjściu, ramię przy ramieniu.

– Ci troje są rozsądniejsi – powiedział Rafferty. – I starsi. Ten trochę tęgi brunet, ten który wygląda najbardziej po ludzku, to Frank. Problemy sprawiają nam najmłodszy. Przygotuję ich do zewnętrznych warunków stopniowo, żeby ich nadwrażliwe organizmy zdążyły się zaaklimatyzować, dzięki czemu nie będzie im groziło uduszenie albo zatrzymanie akcji serca. – Z troską w głosie dodał: – Proszę, niech pan oczyści ulicę. Nie chcę, żeby ktokolwiek ich widział. Jest późno i nie powinno być zbyt wielu przechodniów, ale na wszelki wypadek...

– Zadzwoń do Secpolu – odparł Cussick.

– Jak szybko da się to zrobić?

– To kwestia kilku minut. Lotne oddziały szturmowe są w stałym pogotowiu ze względu na Jonesa i te bandy.

Rafferty, uspokojony, oddalił się szybkim krokiem. Cussick rozejrzał się za policyjnym komunikatorem. Znalazł go, skontaktował się z biurem w San Francisco i wydał odpowiednie polecenia. Utrzymawał połączenie, dopóki aeromobilne oddziały policji nie rozlokowały się wokół mieszczącego Azyl budynku, a na ulicach nie rozstawiono zapór, po czym odszedł od komunikatora, by poszukać Rafferty'ego.

Tymczasem czworo mutantów zjechało windą na parter. Chwiejnym krokiem, niczym ślepcy, szli za doktorem Raffertym przez hall ku szerokim drzwiom wiodącym na ulicę.

W zasięgu wzroku, jak stwierdził Cussick, nie było żadnych samochodów ani przechodniów. Policji udało się oczyścić teren. Od ogólnej szarości odcinał się tylko jeden, mroczny, kształt. To Furgon, z włączonym silnikiem, stał w pogotowiu.

– Idą – odezwał się któryś z lekarzy, stając obok Cussicka. – Mam nadzieję, że Rafferty wie, co robi. – Wskazał palcem jedną z postaci. – Ta niemal ładna to Vivian, najmłodsza z kobiet. Ten chłopiec to Garry. Bardzo inteligentny i bardzo kapryśny. Tamten to Dieter, a obok niego Louis. Jest jeszcze jedno niemowlę, na razie w inkubatorze. Oni jeszcze o tym nie wiedzą.

Cztery drobne postacie wyraźnie cierpiały. Półprzytomne, dwie z nich wstrząsane drgawkami, wlokły się żałośnie w dół schodów, usiłując utrzymać się na nogach. Nie uszły daleko. Pierwszy upadł Garry. Chwiał się przez chwilę na ostatnim stopniu, po czym runął twarzą na beton. Drżąc na całym swym drobnym ciele, próbował się jeszcze czołgać. Pozostali szli chodnikiem jak ślepcy, potykając się, nie patrząc na rozciągniętą między nimi postać, zbyt wyczerpani, by choćby ją zauważyć.

– Rany – wykrztusił z wysiłkiem Dieter – jesteśmy na zewnątrz.

– Udało... nam się – przytaknęła Vivian. Osunęła się ze znużeniem na ziemię, opierając się o ścianę budynku. Chwilę później Dieter padł obok niej jak długi, z zamkniętymi oczyma, rozchyłonymi ustami, niemrawo usiłując podnieść się znów na nogi. Wkrótce dołączył do nich Louis.

Przybici, oszołomieni tym, jak nagle opuściły ich siły, wszyscy czworo kulili się na szarym chodniku, walcząc o oddech, o życie. Żadne z nich nie próbowało się stąd ruszyć. Zapomnieli już, po co wystawili się na tę torturę. Dysząc ciężko, kurczowo trzymając się resztek świadomości, patrzyli niewidzącym wzrokiem na stojącego nad nimi Rafferty'ego.

Rafferty zatrzymał się, wkładając ręce w kieszenie płaszcza.

– Macie wolny wybór – powiedział kamiennym głosem. – Chcecie to ciągnąć dalej?

Nie odpowiedzieli. Nawet go nie słyszeli.

– Wasze organizmy nie tolerują normalnego powietrza – ciągnął. – Ani temperatury. Ani pożywienia. Ani niczego innego. – Spojrzał na Cussicka z wyrazem bólu na twarzy, głębokiego cierpienia, które zaskoczyło funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. – Dajmy więc temu spokój – powiedział szorstko. – Wezwijmy Furgon i wracajmy.

Vivian ostatkiem sił skinęła głową. Jej wargi poruszyły się, lecz z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Odwracając się, Rafferty dał krótki sygnał. Furgon natychmiast podjechał. Zrobotyzowany sprzęt wysunął się na chodnik, spiesząc ku czterem nieprzytomnym. Po chwili mutanci znaleźli się w komorach pojazdu. Ekspedycja zakończyła się klęską. Było po wszystkim. Cussick miał wreszcie okazję ich zobaczyć. Zobaczyć ich walkę i ich porażkę.

Przez pewien czas stał w chłodzie nocy obok Rafferty'ego. Milczeli obaj, każdy zatopiony we własnych myślach. Wreszcie Rafferty drgnął.

– Dzięki za oczyszczenie ulic – powiedział półgłosem.

– Dobrze, że miałem na to dość czasu – odparł Cussick. – Mogło być źle... parę patroli Ligi Młodzieży Jonesa kręci się w tej okolicy.

– Wciąż ten Jones. Nie mamy żadnych szans.

– Bądźmy jak tych czworo, których właśnie widzieliśmy. Próbujmy.

– Jednak taka jest prawda.

– Oczywiście – zgodził się Cussick. – Tak samo jak to, że pańscy mutanci nie mogą oddychać tu, na zewnątrz. A jednak rozstawiliśmy blokady na drogach. Oczyszciliśmy ulice i mieliśmy cholerną nadzieję, że jeszcze tym razem zagonimy ich z powrotem.



– Widział pan kiedyś Jonesa?

– Kilka razy – odparł Cussick. – Spotkałem się z nim oko w oko, zanim jeszcze założył swoją organizację, zanim ktokolwiek o nim usłyszał.

– Kiedy był pastorem – zamyślił się Rafferty – własnego Kościoła.

– Jeszcze wcześniej – powiedział Cussick, wracając pamięcią do tych chwil. Zdawało się niewiarygodne, że był czas, kiedy nie było Jonesa, czas, kiedy nie było potrzeby oczyszczania ulic. Kiedy po miastach nie włóczyły się bandy w szarych mundurach. Czas bez brzęku tłuczonego szkła, bez wściekłego potrzaskiwania płomieni...

– Czym on się wtedy zajmował? – zapytał Rafferty.

– Występował na jarmarku – odparł Cussick.

## Rozdział drugi

Miał dwadzieścia sześć lat, gdy po raz pierwszy zobaczył Jonesa. Było to 4 kwietnia 1995 roku. Na zawsze zapamiętał ten dzień. Chłodne wiosenne powietrze pachniało nowym życiem. Od zakończenia wojny minął rok.

Przed sobą miał długi, opadający stok, z rzadka upstrzony zabudowaniami, w większości tymczasowymi i lichymi, wzniesionymi rękami samych mieszkańców. Błotniste ulice, po których snuli się prości ludzie... typowa wieś, która przetrwała z dala od ośrodków przemysłowych. Zazwyczaj rozlegał się tu ciągły pomruk pracujących ciągników, stukot kuźni i prymitywnych warsztatów. Dziś jednak nad okolicą zaległa cisza. Większość sprawnych na ciele dorosłych oraz wszystkie dzieci ciągnęli mozolnie na jarmark.

Ziemia pod jego stopami była miękka i wilgotna. Cussick kroczył rażno wśród tłumu wieśniaków, gdyż on także wybierał się na jarmark. Miał pracę.

O posadę było trudno. Był szczęśliwy, że udało mu się ją zdobyć. Podobnie jak inni młodzi ludzie intelektualnie solidaryzujący się z Relatywizmem Hoffa, zgłosił się do pracy w organach państwowych. Aparat Rządu Federalnego dawał szansę udziału w Odbudowie. Zarabiając na swą pensję – wypłacaną w stabilnym srebrze – jednocześnie niósł pomoc ludzkości.

W tamtych czasach był idealistą.

Przydzielono go do Departamentu Spraw Wewnętrznych. W ośrodku Antipolu w Baltimore przeszedł szkolenie polityczne, po czym wstąpił do Secpolu – organu Służby Bezpieczeństwa. Ale tępienie ekstremistycznych postaw politycznych i religijnych wydawało się w roku 1995 zadaniem czysto biurokratycznym. Nikt nie brał tego poważnie. Ogólnoświatowa reglamentacja żywności pozwoliła opanować panikę. Każdy człowiek miał zapewnione podstawowe środki egzystencji. Wojenny fanatyzm wygasł zupełnie, odkąd władza dzięki rozsądnym posunięciom odzyskała swą pozycję sprzed inflacji.

Przed nim, niczym arkusz blachy, rozciągał się teren jarmarku. Najważniejszymi obiektami było tu dziesięć metalowych bud ozdobionych jaskrawymi neonami. Główna alejka prowadziła do centrum, gdzie wznosiła się wypełniona rzędami siedzeń konstrukcja. To tu miały się odbywać najważniejsze pokazy.

Już stąd Cussick mógł dostrzec pierwszą znajomą ekspozycję. Zmierzając ku niej, torował sobie drogę przez ciasno zbitą masę ludzi. Otaczała go drażniąca zmysły woń potu i tytoniu. Przecisnąwszy się obok rodziny uwalanych błotem robotników rolnych, dotarł wreszcie do barierki przed pierwszym eksponatem i uniósł wzrok.

Wojna, ze swym twardym promieniowaniem i nieznanymi dotąd chorobami, zrodziła niezliczone anomalie, potworności, wybryki natury. Tu, na tym jednym, drugorzędnym bądź co bądź jarmarku zdołano zgromadzić najprzeróżniejsze ich rodzaje.

Tuż przed Cussickiem, na podwyższeniu, siedział wielocząłowiek, splątany kłęb ciał i kończyn. Głowy, ramiona, nogi dyndały mu bezwładnie. Stworzenie było niedorozwinięte umysłowo i niezdolne do samodzielnego życia. Na szczęście jego potomstwo mogło być normalne. Wieloorganizmy nie były prawdziwymi mutantami.

– Rany – stęknął z przerażeniem stojący za Cussickiem tęgi, kędzierzawy mężczyzna. – Czyż to nie okropne?

– Widziałem mnóstwo tego w czasie wojny – rzucił lekceważąco inny, wysoki i szczupły. – Spaliliśmy ich kiedyś całą stodołę, coś w rodzaju kolonii.

Tęgi mężczyzna zamrugał, wbił zęby w kandyzowane jabłko i odsunął się od weterana wojennego. Prowadząc za sobą żonę i trójkę dzieci, zatrzymał się obok Cussicka.

– To straszne, nie? – mruknął. – Te wszystkie potwory.

– Faktycznie – przyznał Cussick.

– Sam nie wiem, po co tu przyszedłem. – Grubas wskazał na żonę i dzieci, obojętnie zajadających popcorn i watę cukrową. – To oni mnie zaciągnęli. Kobiety i dzieciaki uwielbiają takie rzeczy.

– Zgodnie z Relatywizmem, musimy pozwolić im żyć – odparł Cussick.

– Jasne – zgodził się grubas, dobitnie kiwając głową. Do górnej wargi przykleił mu się kawałek kandyzowanego jabłka. Starł go grzbietem piegowatej dłoni. – Oni mają swoje prawa, jak każdy inny. Tak jak pan czy ja... oni też mają swoje życie.

Szczupły weteran wojenny zbliżył się do barierki.

– To nie dotyczy potworów – powiedział. – Relatywizm jest tylko dla ludzi.

Tęgi mężczyzna poczerwieniał. Wymachując gwałtownie kandyzowanym jabłkiem, odparł:

– Panie, a może oni myślą, że to my jesteśmy potworami? Skąd można wiedzieć, kto jest potworem, a kto nie?

– Potrafię rozpoznać potwora – rzucił oburzonym tonem weteran. Z odrazą zmierzył ich obu wzrokiem. – Coś ty za jeden? – zapytał ostro. – Miłośnik potworów?

Grubas zająknął się, umilkł, próbował wykrztusić odpowiedź, ale żona chwyciła go za ramię i odciągnęła w tłum, do następnego eksponatu. Wciąż protestując, zniknął im z oczu. Cussick został sam na sam z weteranem.

– Cholerny głupiec – powiedział tamten. – To idiotyczne. Przecież każdy widzi, że to potwory. Mój Boże, w końcu dlatego właśnie tu są!

– A jednak on ma rację – zauważył Cussick. – Prawo pozwala każdemu żyć tak, jak mu się podoba. Relatywizm mówi...

– W takim razie do diabła z Relatywizmem. Czy po to toczyliśmy tę wojnę, czy po to pokonaliśmy Żydów, ateistów i czerwonych, żeby każdy mógł sobie być wedle woli najbardziej pieprzoną pokraką? Mamy wierzyć tej całej jajogłowej hołocie?

– Nikt nikogo nie pokonał – odparł Cussick. – Nikt nie wygrał wojny.

Wokół nich zebrała się grupka gapiów. Weteran zauważył to. W jednej chwili jego zimne oczy przygasły i straciły wyraz. Chrząknął, rzucił Cussickowi nienawistne spojrzenie i wtopił się w tłum. Rozczarowani gapie rozeszli się.

Następny potwór był po części człowiekiem, po części zwierzęciem. Gdzieś w koszmarnych mrokach wojny musiało dojść do krzyżowania międzygatunkowego. Cussick przyglądał się stworzeniu, próbując ustalić, kim lub czym byli jego przodkowie. Jednym, z całą pewnością, był koń. Ten eksponat najprawdopodobniej był podróbką skleconą z różnych organizmów za pomocą przeszczepów, wyglądał jednak przekonywająco. Podczas wojny zrodziło się mnóstwo pokrętnych legend o mieszańcach ludzi i zwierząt, wyolbrzymionych relacji o zdegenerowanych plemionach ludzkich, erotycznych opowieści o spółkowaniu kobiet z dzikimi zwierzętami.

Pokazywano tu też wielogłowe dzieci, pospolitą anomalię. Cussick minął szereg typowych eksponatów: pasożytów żyjących na swych bliźniaczych żywicielach. Wszędzie wokół piszczały i szamotały się opierzone, pokryte łuską, ogoniaste, uskrzydłone człekopodobne stwory: niezliczone dziwadła, efekt uszkodzenia genów. Byli tam ludzie o organach wewnętrznych znajdujących się na zewnątrz powłoki skórnej. Były istoty bez oczu, bez twarzy, a nawet bez głów. Były potwory o kończynach powiększonych, wydłużonych, o zwielokrotnionych stawach. Stworzenia wyzierające smutnym wzrokiem z wnętrza innych stworzeń. Groteskowa parada zdeformowanych organizmów: ślepe uliczki ewolucji skazane na bezpotomną śmierć, potwory żyjące z prezentowania swych potworności.

Na głównej estradzie występowali aktorzy: już nie dziwolągi, lecz prawdziwi artyści z kwalifikacjami i talentem, prezentujący nie samych siebie, lecz swe niezwykle umiejętności. Tancerze, akrobaci, żonglerzy, połykacze ognia, zapaśnicy, bokserzy, poskramiacze zwierząt, kłowni, jeźdźcy, nurkowie, siłacze, magicy, jasnowidze, piękne dziewczyny... wykonywali numery znane od tysięcy lat. Nic nowego: tylko dziwolągi były czymś nowym. Wojna zrodziła nowe potwory, ale nie nowe umiejętności.

Przynajmniej tak mu się wtedy zdawało. Ale nie widział jeszcze Jonesa. Nikt go nie widział. Było na to zbyt wcześnie. Świat zajmował się odbudową, leczeniem ran. Jego czas jeszcze nie nadszedł.

Z lewej strony jarzyła się i błyskała szaleńczo światłami scena, na której odbywał się pokaz erotyczny. W odruchu spontanicznego zainteresowania Cussick dał się tam pociągnąć tłumowi.

Po estradzie snuły się cztery dziewczyny o ciałach sflaczałych z nudy. Jedna z nich nożyczkami

obcinała sobie paznokcie, pozostałe wpatrywały się bezmyślnie w stojący w dole tłum mężczyzn. Oczywiście wszystkie cztery były nagie. Ich oleista, blad różowa, pokryta meszkiem skóra połyskiwała mdło w słabym świetle słońca. Naganiacz trajkotał zawzięcie przez tubę. Jego wzmocniony głos dudnił w ogólnym rozgardiaszu. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na harmider. Zainteresowani stali, przyglądając się dziewczynom. Z tyłu, za nimi, znajdował się blaszany barak, zamknięty teraz, w którym odbywał się właściwy pokaz.

– Hej, ty! – zawołała jedna z dziewcząt.

Cussick z zaskoczeniem uświadomił sobie, że dziewczyna zwraca się do niego.

– Co? – zapytał nerwowo.

– Która godzina?

Spojrzał gorączkowo na zegarek.

– Jedenasta trzydzieści.

Dziewczyna podeszła na skraj estrady.

– Masz papierosa? – zapytała.

Cussick poszperał w kieszeni. Wydobył paczkę i podniósł ją.

– Dzięki. – Dziewczyna przykucnęła, kołysząc piersiami, i przyjęła papierosa. Po chwili wahania Cussick sięgnął po zapalniczkę i przypalił jej go. Uśmiechnęła się. Była drobna i bardzo młoda, o brązowych włosach, piwnych oczach i szczupłych nogach, bladych i lekko wilgotnych od potu. – Wejdiesz zobaczyć pokaz? – zapytała.

Nie miał tego w planach.

– Nie – odpowiedział.

Wargi dziewczyny wyduły się drwiąco.

– Nie? Dlaczego? – Stojący najbliżej zaczęli przyglądać się z rozbawieniem. – Nie interesuje cię to? Może jesteś jednym z tych?

Ludzie wokół Cussicka parsknęli śmiechem. Speszył się.

– Jesteś miły – powiedziała leniwie dziewczyna. Przysiadła na piętach, z papierosem między umalowanymi na czerwono wargami, opierając ręce na nagich, spiczastych kolanach. – Nie masz pięćdziesięciu dolców? Nie stać cię na to?

– Nie – odparł z irytacją. – Nie stać mnie.

– Ojej! – Drażniła się z nim, udając rozczarowanie. Wyciągnęła rękę i zmierzwiła mu starannie ułożoną fryzurę. – Jaka szkoda. Może mogłabym wziąć cię za darmo. Co ty na to? Chciałbyś być ze mną za darmo? – Puściła do niego oko, wysuwając koniuszek różowego języka. – Mogę ci dużo pokazać. Nie uwierzyłbyś, jakie znam techniki.

– Puście kapelusz – zachichotał spocony, łysy mężczyzna na prawo od Cussicka. – Hej, robimy rzutkę dla tego chłopaka!

Wkoło przemknęła salwa śmiechu i do przodu poleciało kilka pięciodolarówek.

– Nie podobam ci się? – pytała dziewczyna, pochylając się ku niemu i opierając mu dłoń na karku. – Myślisz, że nie dasz rady? – Mruczała z szyderczą przymilnością. – Założę się, że dasz. Ci wszyscy ludzie też są przekonani, że dasz radę. Będą się przyglądać. Nie przejmuj się... Pokażę ci jak. – Nagle złapała go mocno za ucho. – Po prostu wejdz tu na górę, koleś. Mama pokaże wam wszystkim, co potrafi.

Tłum zarechotał z uciechy. Czyjeś dłonie wypchnęły Cussicka do przodu i podsadziły na estradę. Dziewczyna puściła jego ucho i wyciągnęła ręce, by go objąć. W tej samej chwili chłopak oswobodził się z uścisku i ponownie opadł w ciżbę. Przepychając się i biegnąc, po chwili wy dostał się z tłumu. Przystanął, dysząc ciężko, usiłując doprowadzić do porządku swoją marynarkę... i odzyskać rezon.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, wetknął więc ręce w kieszenie i ruszył bez celu przed siebie, starając się wyglądać jak najbardziej nonszalancko. Wszędzie wokół kłębili się ludzie, ciągnąc przede wszystkim ku głównym pokazom i głównej estradzie. Starannie unikał prącego przed siebie nurtu. Stawiał na stojące na uboczu stragany i otwarte placyki, gdzie można było rozprowadzać literaturę lub wygłaszać przemówienia, na niewielkie grupki gromadzące się wokół pojedynczych mówców. Zastanawiał się, czy szczupły weteran wojenny nie był fanatykiem. Być może domyślił się, że Cussick jest gliną.

Pokaz erotyczny należał do swego rodzaju obszaru przejściowego między osobliwością a talentem. Tuż za estradą znajdował się pierwszy z licznych straganów przepowiadaczy przyszłości.

– To szarlatani – odezwał się kędzierzawy grubas. Stał z całą rodziną przy budzie z rzutkami, z garścią strzałek w dłoni, walcząc o dziesięciokilową szynkę. – Nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości. To dla frajerów.

Cussick uśmiechnął się szeroko.

– Tak samo jak dziesięciokilową szynka. Założę się, że jest z wosku.

– Mam zamiar ją wygrać – stwierdził prostodusznie grubas. Jego żona nie odezwała się słowem, ale dzieci jawnie okazywały wiarę w ojca. – Postanowiłem, że jeszcze dziś zabiorę ją do domu.

– A ja może wywróżę sobie przyszłość – odparł Cussick.

– Powodzenia – powiedział życzliwie tamten. Odwrócił się z powrotem do tarczy: wielkiej podniszczonej planszy, na której namalowano dziewięć planet, podziurawionej przez niezliczone chybione rzuty. Jej dziewiczy środek, niewiarygodnie małeńka Ziemia, był nietknięty. Kędzierzawy grubas złożył się do rzutu. Strzałka, odchylona przez ukryty magnes, minęła Ziemię i zatopiła swój stalowy grot w pustej przestrzeni tuż za Ganimesesem.

W pierwszej z szeregu budek jasnowidzów siedziała zgarbiona nad niskim stolikiem stara, otyła, ciemnowłosa kobieta. Na blacie spoczywał nieśmiertelny rekwizyt: kryształowa kula. Na deskach, między tandetnymi kotarami, tłoczyło się kilka osób, oczekując, aż przyjdzie na nich kolej zapłacenia dwudziestu dolarów. Jarzący się neon oznajmiał:

## ODCZYTAM TWÓJ LOS

### MADAME LULU CARIMA-ZELDA ZNA PRZYSZŁOŚĆ

#### PRZYGOTUJ SIĘ NA WSZYSTKO

Nie było tu nic ciekawego. Stara kobieta klepała tradycyjne formułki, mające zadowolić czekające w kolejce podstarzałe kury domowe. Ale obok straganu Madame Lulu Carimy-Zeldy stała druga budka, zaniedbana i opuszczona. Siedział w niej jakiś inny jasnowidz. Tutaj blakła jaskrawa tandeta straganu Madame Carimy-Zeldy. Aureola blasku nikła w ponurej ciemności. Cussick nie szedł już wśród migotliwych, fosforyzujących światła. Stał w smudze szarego półmroku pośród wielobarwnych światów.

Na nagiej platformie siedział młody człowiek, niewiele starszy niż on, być może nawet nieco młodszy. Jego afisz zaintrygował Cussicka.

## PRZYSZŁOŚĆ LUDZKOŚCI

### (ŻADNYCH PRZEPOWIEDNI OSOBISTYCH)

Przez chwilę z uwagą przyglądał się wróżbicie. Chłopak siedział rozwalony w niedbalej pozie. Paląc gniewnie papierosa, ponurym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Nikt nie czekał tu w kolejce. Ignorowano go. Jego twarz, dziwną, obrzmiałą, purpurową, z wypukłym czołem, okularami w stalowej oprawce, pełnymi jak u dziecka wargami, okalał kilkudniowy zarost. W pewnej chwili zamrugał gwałtownie, wydmuchnął dym z papierosa, nagłym ruchem opuścił rękawy na blade i chude przeguby. Zawzięta, ponura postać, siedząca samotnie na pustej platformie.

„Żadnych przepowiedni osobistych”. Dziwna reklama. Kogo interesowały abstrakcyjne, zbiorowe wróżby? Można by sądzić, że ten jasnowidz nie jest zbyt zdolny. Afisz sugerował mgliste ogólności. Jednak Cussick zaciekał się. Ten facet był przegrany, zanim jeszcze zaczął. A jednak tu siedział. Ostatecznie przepowiadanie przyszłości opiera się w dziewięćdziesięciu dziewięciu

procentach na umiejętności zaprezentowania się, w pozostałej części zaś na sprytnym zgadywaniu. Tu, na jarmarku, mógł się nauczyć tradycyjnych sztuczek. Dlaczego zdecydował się na takie niecodzienne podejście? Było to najwyraźniej zamierzone. Każdy rys tej przygarbionej, brzydkiej postaci wskazywał, że facet zamierzał to przetrzymać – że przetrzymywał to Bóg wie od jak dawna. Afisz był sfatygowany i łuszczył się. Być może trwało to już lata.

To był Jones. Ale wtedy, oczywiście, Cussick jeszcze o tym nie wiedział.

Zadzierając głowę, złożył dłonie w trąbkę.

– Hej! – zawołał.

Po dłuższej chwili głowa chłopaka obróciła się ku niemu. Jego oczy, szare, małe i zimne za grubymi szklami, spotkały się z oczami Cussicka. Zamrugał i na powrót utkwiał w nim nieruchome spojrzenie. Nie odezwał się, nie drgnął nawet. Jego palce bębniły bez ustanku o blat stołu.

– Dlaczego? – zapytał Cussick. – Dlaczego nie przepowiednie osobiste?

Chłopak nie odpowiedział. Stopniowo jego wzrok przygasł. Odwrócił głowę i znów zaczął się tępo wpatrywać w stół.

Nie było co do tego wątpliwości: ten facet nie miał żadnego hasła, żadnego tekstu. Coś było nie tak. Nie pasował tu. Inni kuglarze głośno zachwalali swoje umiejętności, nawoływali, wychodzili ze skóry (czasami dosłownie), byle tylko przyciągnąć uwagę innych, a on po prostu siedział i się gapił. Nie kiwnął palcem, aby zdobyć klientów. I nie miał ich. Co więc tu robił?

Cussick zawahał się. Nie wyglądało to na miejsce warte szpiegowania. W gruncie rzeczy marnował rządowy czas. Ale jego ciekawość została już rozbudzona. Wyczuwał w tym tajemnicę, a nie lubił tajemnic. Optymistycznie wierzył, że każdą sprawę należy wyjaśniać. Życzył sobie, żeby wszechświat miał sens. A tu nie mógł się dopatrzeć sensu.

Wszedł na najniższy stopień.

– W porządku – powiedział. – Biorę.

Schody uginały się pod jego stopami. Platforma była rozklekotana, chybotliwa i niebezpieczna. Gdy siadał naprzeciw wróżbity, krzesło zaskrzypiało pod nim. Teraz, z bliska, mógł dostrzec, że skóra chłopaka upstrzona jest głębokimi ciemnymi plamkami, przypominającymi ślady po przeszczepach. Czyżby był ranny w czasie wojny? Wokół unosiła się ledwie uchwytna woń lekarstw, świadcząca, że jego wątłe ciało wymaga opieki. Włosy sterczały mu bezładnie nad wypukłym czołem. Ubranie zwisało w fałdach na jego kościstej sylwetce. Podniósł wzrok na Cussicka i zmierzył go podejrzliwym, taksującym spojrzeniem.

A jednak bez lęku. Znać było po nim niezdarność, brak ogłady, skulona postawa wymizerowanego ciała świadczyła o niepewności. Lecz jego oczy patrzyły surowo i nieustępliwie. Był nieokrzesany, ale nie zastraszone. Cussick zorientował się, że nie ma przed sobą mięczaka, lecz brutalnie szczerego, zdeterminowanego młodego człowieka. Jego animusz przygasł. Poczul nagle



dziwny strach. Stracił inicjatywę.

– Dwadzieścia dolarów – powiedział Jones.

Cussick niezdarnie poszperał w kieszeni.

– Za co? – zapytał. – Co za to dostanę?

Minęła chwila, nim Jones udzielił mu odpowiedzi.

– Widzi pan to? – Wskazał koło na blacie stolika. Pociągając dźwignię, wprowadził je w ruch. Wskazówka zaczęła obracać się powoli w akompaniamencie mozolnego metalicznego klekotu. Tarcza koła podzielona była na cztery równe pola. – Ma pan sto dwadzieścia sekund. Na wszystko, o co chce pan zapytać. Potem pański czas się kończy. – Przyjął garść monet i wrzucił je do kieszeni kurtki.

– Zapytać? – Głos Cussicka zabrzmiał ochryple. – O co?

– O przyszłość – odparł chłopak z nie skrywaną pogardą. To było oczywiste. Jasne, że o przyszłość. O cóżby innego? Jego cienkie, kościste palce bębniły z rozdrażnieniem o stół. A koło tykało miarowo.

– Ale nie moją? – wypytywał Cussick. – O nic, co mnie dotyczy?

Wykrzywiając spazmatycznie usta, Jones odpalił:

– Oczywiście, że nie. Pan jest nikim. Nie liczy się pan.

Cussick zamrugał gwałtownie. Zmieszany, czując, że uszy zaczynają mu płonąć, z całym spokojem, na jaki mógł się zdobyć, odpowiedział:

– Może nie ma pan racji. Może jestem kimś. – Rozdrażniony, pomyślał o swojej pozycji. Co powiedziałby ten wsiowy oberwaniec, gdyby wiedział, że ma przed sobą funkcjonariusza tajnych służb Rządu Federalnego? Miał to na końcu języka, gotów był wyrzucić to z siebie z gniewem, zdradzić się w odruchu samoobrony. Byłby to oczywiście koniec jego pracy w Służbie Bezpieczeństwa. Jednak czuł się boleśnie ugodzony i zbity z tropu.

– Zostało panu już tylko dziewięćdziesiąt sekund – poinformował go obojętnie Jones. Nagle jego ponury, kamienny głos nabrał życia. – Na miłość boską, niech pan o coś zapyta. Nic nie chce pan wiedzieć? Nie jest pan ciekawy?

Cussick zwilżył językiem wargi.

– Dobrze – odezwał się. – Co przyniesie przyszłość? Co się wydarzy?

Zdegustowany Jones pokręcił głową. Westchnął ciężko i rzucił papierosa na podłogę. Przez chwilę wydawało się, że nie zamierza odpowiedzieć. Całą uwagę skupił na rozgniataniu niedopałka

pod podeszwą buta. W końcu wyprostował się powoli i powiedział, cedząc słowa:

– Pytania mają być konkretne. Chce pan, żebym sam je dla pana wymyślił? W porządku. Pytanie: Kto będzie następnym przewodniczącym Rady? Odpowiedź: Kandydat Nacjonalistów, nijaki typek o nazwisku Ernest T. Saunders.

– Przecież Nacjonałiści nie są wcale partią! To odłam partii!

Ignorując go, Jones ciągnął:

– Pytanie: Czym są dryftery? Odpowiedź: Istotami spoza Układu Słonecznego, o nieznanym pochodzeniu.

Zaintrygowany Cussick zawahał się.

– Nieznanym do kiedy? – zaryzykował. Zbierając się na odwagę, zapytał: – Jak daleko w przyszłość potrafi pan zajrzeć?

– Widzę bezbłędnie do roku naprzód – odparł Jones tym samym tonem. – Potem obraz niknie. Mogę dostrzec zasadnicze wydarzenia, ale szczegóły zacierają się i przestaję widzieć cokolwiek. Na tyle, na ile sięgam wzrokiem w przyszłość, pochodzenie dryfterów pozostaje nieznanne. – Spoglądając na Cussicka, dodał: – Wspominam o nich, bo niedługo zacnie być o nich głośno.

– Już jest – stwierdził Cussick, wspominając sensacyjne nagłówki, wypełniające ostatnio strony prasy brukowej: PATROLE MIĘDZYPLANETARNE WYKRYWAJĄ FLOTYLLE NIEZNANYCH STATKÓW. – Mówi pan, że to są żywe istoty? Nie statki? Nie rozumiem... chce pan powiedzieć, że to, co obserwujemy, to same stworzenia, a nie zbudowane przez nie...

– Tak, one są żywe – przerwał mu niecierpliwie, niemal gorączkowo Jones. – Ale Rząd Federalny już o tym wie. Już teraz na najwyższym szczeblu mają szczegółowe raporty. Do publicznej wiadomości trafi to za kilka tygodni. Sukinsyny nie pozwalają na publikację. Zwiadowcy wracający z Urana przyholowali martwego dryftera. – Klekotanie koła nagle ustało. Jones wyprostował się na krześle, przerywając gorączkowy potok słów. – Pański czas się skończył – oświadczył. – Jeśli chce pan wiedzieć coś jeszcze, musi pan zapłacić następne dwadzieścia dolarów.

Oszołomiony Cussick wstał i zszedł z platformy.

– Nie, dzięki – wymamrotał. – To mi wystarczy.

## Rozdział trzeci

O czwartej podjechał po niego policyjny samochód, by zabrać go z powrotem do Baltimore. Cussick wrzał z niecierpliwości. Podniecony, zapalił papierosa, zgasił go, zapalił drugiego. Być może wpadł na jakiś trop... a może nie. Potężny budynek tajnych służb Baltimore, wyrastający z ziemi o milę za miastem, wyglądał jak sześcian z litego betonu. Dokoła niego sterczały połyskujące metalicznie punkciki: przybudówki stanowiące wyloty splecionych podziemnych tuneli. Na błękitnym wiosennym niebie leniwie unosiło się kilka zrobotyzowanych min przeciwlotniczych. Policyjny samochód zahamował przy pierwszym stanowisku kontrolnym. Uzbrojeni w broń maszynową strażnicy, z granatami dyndającymi u pasa, zbliżyli się wolnym krokiem. Ich stalowe hełmy lśniły w jasnym słońcu.

Była to zwykła rutynowa kontrola. Przepuszczono ich bez przeszkód. Samochód ruszył długim podjazdem ku wejściu. Tam wysadzono Cussicka. Pojazd odjechał już do garażu, on jednak wciąż stał niezdecydowany przed ruchomą pochylnią, z myślami kłębiącymi się pod czaszką. Jak miał ocenić swoje znalezisko?

Zanim złożył raport Pearsonowi, szefowi Służby Bezpieczeństwa, pojechał na jeden z poziomów pedagogicznych. Po chwili stał w zawałonym papierami gabinecie swego starszego instruktora politycznego.

Max Kamiński w skupieniu przeglądał piętrzące się na biurku dokumenty. Minęła chwila, nim zauważył Cussicka.

– Żeglarz powrócił – odezwał się, nie przerywając pracy. – Powrócił z morza. Myśliwy też, jeśli chodzi o ścisłość. Co upolowałeś na wzgórzach w ten piękny kwietniowy dzionek?

– Chciałbym pana o coś zapytać – powiedział z zakłopotaniem Cussick. – Zanim sporządzę raport. – Ten baryłkowaty mężczyzna o okrągłej twarzy z gęstym wąsem i pobrużdżonym czołem szkolił go. Formalnie Cussick nie podlegał już Kaminskiemu, ale nadal przychodził do niego po radę. – Znam przepisy... ale wiele zależy od subiektywnej oceny. Wydaje mi się, że odkryłem naruszenie prawa, ale nie jestem pewien jakiego.

– No cóż – odezwał się Kamiński. Odłożył pióro, zdjął okulary i złożył razem mięsiste dłonie. – Jak wiesz, każdy akt naruszenia prawa zaliczyć można do jednej z trzech głównych kategorii. Wszystko opiera się na *Podstawach Relatywizmu* Hoffa. Nie muszę ci tego wyjaśniać – poklepał leżącą na skraju biurka książkę w znajomej niebieskiej oprawie. – Przejrzyj sobie jeszcze raz swój egzemplarz.

– Znam go na pamięć – odparł niecierpliwie Cussick – ale mimo wszystko mam wątpliwości. Człowiek, o którego chodzi, nie narzuca swego zdania, wypowiadając się na temat faktów. On wypowiada się o sprawach niepoznawalnych.

– A konkretnie?

– O przyszłości. Utrzymuje, że wie, co się stanie w następnym roku.

– Przepowiednie?

– Proroctwa – poprawił Cussick. – O ile dobrze rozumiem różnicę. A moim zdaniem proroctwo jest sprzeczne samo w sobie. Nikt nie może mieć absolutnej wiedzy na temat przyszłości. Przyszłość to z definicji coś, co się jeszcze nie wydarzyło. A gdyby taka wiedza istniała, zmieniłaby przyszłość – i w konsekwencji unieważniła siebie samą.

– Kto to był, jakiś jasnowidz na jarmarku?

Cussick zaczerwienił się.

– Tak.

Wąsy starszego mężczyzny zadrżały gniewnie.

– I ty masz zamiar złożyć o tym raport? Masz zamiar zalecić działania przeciwko jakiemuś magikowi, który próbuje zarobić parę dolarów, wróżąc z ręki w wędrownym cyrku? Takie nadgorliwe dzieciaki jak ty... nie rozumiesz, że to poważna sprawa? Nie wiesz, co oznacza wyrok skazujący? Utratę praw obywatelskich, uwięzienie w obozie pracy... – Pokręcił głową. – Po to, żebyś ty mógł zrobić dobre wrażenie na swoich przełożonych, jakiś Bogu ducha winny wróżbita ma iść pod topór.

Siląc się na spokój, Cussick odparł z godnością:

– Ale ja sądzę, że ten człowiek łamie prawo.

– Każdy łamie prawo. Kiedy mówię ci, że oliwki są obrzydliwe, formalnie naruszam przepisy. Kiedy ktoś stwierdza, że psy są najlepszymi przyjaciółmi człowieka, popełnia wykroczenie. To się zdarza na każdym kroku. Nie interesujemy się tym!

Do gabinetu wszedł Pearson.

– Co się dzieje? – zapytał z rozdrażnieniem, wysoki i surowy w swym brązowym policyjnym mundurze.

– Nasz tu obecny młody przyjaciel przyniósł zdobycz – odparł kwaśno Kamiński. – Był na jarmarku i nakrył... zdemaskował przepowiadacza przyszłości.

Cussick odwrócił się w stronę Pearsona.

– Nie chodzi o zwykłego wróżbitę – próbował wyjaśnić. – Tacy też tam byli. – Słyszając swój mamroczący ochryple i nieskładnie głos, wyrzucił pospiesznie: – Myślę, że ten człowiek jest mutantem, że w jakiś sposób naprawdę widzi przyszłość. Twierdzi, że zna przyszłą historię. Powiedział mi, że następnym przewodniczącym Rady zostanie niejaki Saunders.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko – powiedział obojętnie Pearson.

– Mówił mi też – ciągnął Cussick – że wkrótce okaże się, że dryftery nie są statkami kosmicznymi, ale żywymi stworzeniami. I że na najwyższych szczeblach wiedzą o tym już teraz.

Przez kamienną twarz Pearsona przemknął dziwny grymas. Przy biurku Kamiński raptownie przerwał pisanie.

– Ach tak? – odezwał się cicho Pearson.

– Powiedział mi – mówił dalej Cussick – że dryftery staną się w przyszłym roku sprawą numer jeden. Najważniejszą, z jaką będziemy mieli do czynienia.

Ani Pearson, ani Kamiński nie odezwali się słowem. Nie musieli. Cussick widział to na ich twarzach. Dopiął swego. Wspomniał o wszystkim, co konieczne.

Już niedługo Jones miał się stać sławny.

## Rozdział czwarty

Floyd Jones natychmiast został wzięty pod obserwację prewencyjną. Ten doraźny stan trwał przez siedem miesięcy. W listopadzie 1995 roku w powszechnych wyborach do Rady wyłonił się i zwyciężył bezbarwny kandydat ekstremistycznej Partii Narodowej. Nim minęły dwadzieścia cztery godziny od zaprzysiężenia Ernesta T. Saundersa, Jones został po cichu aresztowany.

Przez te pół roku Cussick stracił wiele ze swej młodzieńczej pulchności. Jego twarz nabrała dojrzałego, bardziej stanowczego wyrazu. Myślał teraz więcej, mówił mniej, zyskał też doświadczenie jako oficer wywiadu.

W czerwcu 1995 roku oddelegowano go na teren Danii. Tam poznał ładną, postawną i bardzo niezależną młodą Dunkę pracującą w dziale sztuki rządowego centrum informacyjnego. Nina Longstren była córką ustosunkowanego architekta. Pochodziła z bogatej, utalentowanej i liczącej się w towarzystwie rodziny. Nawet gdy już zostali małżeństwem, Cussick wciąż darzył ją nie wolnym od lęku szacunkiem.

Kiedy urządzali sobie mieszkanie, z biura w Baltimore nadeszły rozkazy dla Cussicka. Minęło trochę czasu, nim odważył się poruszyć ten temat. Byli akurat w trakcie malowania.

– Kochanie – powiedział jej w końcu – będziemy musieli wyjechać.

Przez chwilę Nina nie odpowiadała. Siedziała z łokciami na stole, z podbródkiem wspartym na splecionych dłoniach, przeglądając w skupieniu wzorniki kolorów.

– Co? – mruknęła z roztargnieniem. W pokoju panował twórczy chaos. Wokół wały się kubły z farbami, wałki, rozpylacze. Meble przykryte były zachlapanymi farbą arkuszami folii. W kuchni i w sypialniach piętrzyły się sterty wciąż nie rozpakowanego sprzętu domowego, ubrań, mebli, nie otwartych jeszcze prezentów ślubnych. – Przepraszam, nie słuchałam.

Cussick podszedł do niej i delikatnie wysunął wzorniki spod jej łokci.

– Rozkazy od szefostwa. Muszę lecieć z powrotem do Baltimore... zakładają sprawę przeciwko temu gościowi, Jonesowi. Chcą, żebym się tam pojawił.

– Ach tak – odparła słabym głosem. – Rozumiem.

– To nie powinno zająć więcej niż parę dni. Możesz tu zostać, jeśli chcesz. – Właściwie wołał, żeby nie zechciała. Byli małżeństwem zaledwie od tygodnia. Teoretycznie był to ich miesiąc miodowy. – Opłacą koszty podróży za nas oboje. Pearson wspomniał o tym.

– Chyba nie mamy zbyt wielkiego wyboru, prawda? – stwierdziła z rezygnacją. Wstała od stołu, zbierając porozkładane broszury. – Trzeba pozamykać te wszystkie puszki z farbą.

W żalobnym nastroju zaczęła zalewać terpentyną pędzle w blaszanej puszcze. Na jej lewym

policzku widniała smuga morskiej zieleni. Musiała się umazać farbą, kiedy odgarniała z twarzy swe długie jasne włosy. Cussick wziął szmatkę, zmoczył ją w terpentynie i skrupulatnie usunął plamę.

– Dzięki – powiedziała smutno, gdy skończył. – Kiedy musimy wyjechać? Natychmiast?

Spojrzał na zegarek.

– Lepiej będzie, jeśli dostaniemy się do Baltimore jeszcze dziś wieczorem. Tam go teraz trzymają. To oznacza, że powinniśmy zdążyć na statek z Kopenhagi o ósmej trzydzieści.

– Pójdę się wykapać – odparła posłusznie – i przebiorę się. Ty też powinienes. – Krytycznie potarła jego podbródek. – Poza tym ogol się.

– Jak sobie życzysz – zapewnił.

– Włożysz popielaty garnitur?

– Nie, muszę być na brązowo. Pamiętaj, że jadę do pracy. Przez następne dwanaście godzin jestem znów na służbie.

– Czy to oznacza, że musimy być śmiertelnie poważni?

Roześmiał się.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale ta sprawa mnie martwi.

Spojrzała na niego, marszcząc nos.

– To się martw. Ale nie myśl sobie, że ja też będę się tym przejmować. Mam inne sprawy na głowie... Zdajesz sobie sprawę, że nie skończymy tego remontu do przyszłego tygodnia?

– Moglibyśmy wynająć paru fachowców, żeby dokończyli robotę.

– O, nie – powiedziała z naciskiem. Zniknęła w łazience, odkręciła gorącą wodę nad wanną i wróciła. Zrzuciła buty i zaczęła ściągać ubranie. – Robimy wszystko sami. Żadni wykolejeńcy nie mają wstępu do tego mieszkania. To nie jest praca. To jest... – szukając właściwego słowa, ściągnęła sweter przez głowę – to jest nasze wspólne życie.

– Dobrze – odparł sucho Cussick. – Sam byłem jednym z tych wykolejeńców, dopóki nie wstąpiłem do Służby Bezpieczeństwa. Ale to ty decydujesz. Mnie jest wszystko jedno. Lubię malować.

– Nie powinno ci być wszystko jedno – powiedziała z wyrzutem. – Do diaska, mam zamiar zaszczerpić jakąś wrażliwość artystyczną w twojej mieszczańskiej duszy.

– Nie mów, że nie powinno mi być wszystko jedno. To przestępstwo wobec Relatywizmu. Sama możesz przywiązywać wagę, do czego tylko chcesz, ale nie mów mi, że mnie też musi to obchodzić.

Nina przyskoczyła i objęła go ze śmiechem.

– Ty chodząca powago. Wszystko bierzesz tak serio... Co ja mam z tobą zrobić?

– Nie wiem – przyznał, marszcząc czoło. – Co mamy zrobić z nami wszystkimi?

– Ty się naprawdę tym przejmujesz – zauważyła, patrząc na niego swymi niebieskimi, zatroskanymi teraz i poważnymi oczyma.

Odsunął się od niej i zaczął układać porozrzucane po mieszkaniu sterty gazet. Nina, w zachlapanych farbą portkach i nowym nylonowym biustonoszu, z bosymi nogami i jasnymi włosami opadającymi beładnie na jej gładkie ramiona, przyglądała mu się, cicha i skruszona.

– Możesz mi o tym opowiedzieć? – zapytała po chwili.

– Jasne – odparł. Przewertował stos gazet, wyjął jedną, złożył i podał jej. – Możesz poczytać to sobie przy kąpeli.

Artykuł był długi, o rzucającym się w oczy nagłówku:

PASTOR PRZYCIĄGA TŁUMY  
KOLEJNY DOWÓD OGÓLNOŚWIATOWEGO  
PRZEBUDZENIA RELIGIJNEGO

Obywatele gromadzą się tłumnie, by usłyszeć pastora przepowiadającego nadchodzące klęski. Szczegółowe prorocтва na temat inwazji pozaziemskich form życia.

Poniżej znajdowało się zdjęcie Jonesa, już nie w roli jednej z atrakcji jarmarku. Wyświęcony na pastora, ubrany w wyświechtany czarny surdut i czarne buty, niestarannie ogolony, był teraz wędrownym kaznodzieją włóczącym się po kraju, by nauczać gromady wieśniaków. Nina rzuciła okiem na zdjęcie, przeczytała kilka słów, znów spojrzała na fotografię, po czym odwróciła się bez słowa i popędziła do łazienki, by zakręcić wodę. Nie oddała gazety. Kiedy wróciła po dziesięciu minutach, gazety już nie było.

– Co z nią zrobiłaś? – zapytał dociekliwie Cussick. Zdążył już uprzątnąć jako tako pokój i właśnie zabrał się do pakowania swoich rzeczy.

– Z tą gazetą? – Jaśniejąca i rozgrzana po kąpeli, Nina stała przed komódką, szukając świeżej halki. – Przeczytam ją później. Teraz musimy się przygotować do drogi.

– Wcale cię to nie interesuje – powiedział z rozdrażnieniem.

– O czym mówisz?



– O mojej pracy. O całym tym systemie.

– Kochanie, to nie jest moja sprawa. W końcu to ma być tajne – dodała oschle. – Nie chcę być wścibska.

– Posłuchaj – powiedział cicho. Podszedł do niej, ujął ją za podbródek i uniósł go tak, że zmuszona była spojrzeć mu w oczy. – Kochanie – odezwał się – wiedziałas, czym się zajmuję, zanim za mnie wyszłaś. Teraz już nie czas na wyrzuty.

Przez chwilę wyzywająco mierzyli się wzrokiem. Nagle Nina błyskawicznym ruchem chwyciła stojący na komódce flakonik perfum i prysnęła mu sprayem w twarz.

– Idź się ogolić i umyć – rozkazała. – I na miłość boską, włóż czystą koszulę. Masz ich całą szufladę. Chcę, żebyś wyglądał ładnie w podróży. Nie zamierzam się za ciebie wstydić.

Pod statkiem rozciągał się błękitny, jednostajny przestwór Atlantyku. Cussick, zdenerwowany, wpatrywał się jakiś czas w ten monotony widok, potem próbował zainteresować się ekranem telewizyjnym jarzącym się w oparciu stojącego przed nim fotela. Obok, przy oknie, w drogim, ręcznie szytym kostiumie z czesanej wełny, siedziała Nina. Czytała „London Timesa” i delikatnie pogryzała cienką jak opłatek miętówkę.

Rozdrażniony, Cussick wyciągnął otrzymane rozkazy i zaczął od nowa przeglądać załączone materiały. Jones został aresztowany o czwartej trzydzieści rano w stanie Illinois, w pobliżu zapadłej dziury zwanej Pinckneyville. Nie stawiał oporu, gdy policja wyciągała go z drewnianej szopy, określonej w raporcie jako jego „kościół”. Obecnie przetrzymywany był w głównym ośrodku dochodzeniowym w Baltimore. Przypuszczalnie Biuro Prokuratora Generalnego Rządu Federalnego sporządziło już opis sprawy. Wyrok skazujący był nieunikniony. Konieczne było tylko stawienie się w sądzie i ogłoszenie wyroku...

– Zastanawiam się, czy on będzie mnie pamiętał – powiedział głośno.

Nina wyrzała zza „Timesa”.

– Co? Przepraszam, kochanie. Czytałam reportaż o tym statku zwiadowczym, który został uziemiony na Neptunie na miesiąc i trzy dni. Boże, tam musiało być okropnie. Te lodowate planety, bez powietrza i światła, nic poza martwą skałą.

– Nie ma z nich żadnego pożytku – potwierdził gniewnie. – Te wyprawy to marnowanie pieniędzy podatników. – Złożył dokumenty i wetknął je do kieszeni płaszcza.

– Co to za człowiek? – zapytała Nina. – Czy to ten, o którym mi opowiadałeś? Ten jasnowidz z jarmarku?

– Tak, to on.

– I oni wreszcie zebrali się w sobie, żeby go zaaresztować?

– To nie jest takie proste.

– Myślałam, że to wszystko było ukartowane. Zdawało mi się, że możecie przyskrzynić każdego.

– Możemy... ale nie chcemy. Interesujemy się tylko tymi, którzy wydają się groźni. Sądziś, że aresztowałbym kuzynkę twojego brata, bo rozpowiada na prawo i lewo, że kwartety Beethovena są jedyną muzyką, której warto słuchać?

– Wiesz co? – powiedziała leniwie Nina. – Nie pamiętam kompletnie nic z książki Hoffa. Oczywiście omawialiśmy ją w szkole. Lektura obowiązkowa z socjologii... Po prostu nie potrafię wykrzesać z siebie zainteresowania dla Relatywizmu – dokończyła wesoło. – I oto jestem żoną... – urwała i rozejrzała się dookoła – chyba nie powinnam mówić czyją. Wciąż nie mogę się przyzwycząić do tego węszenia po kryjomu.

– To w słusznej sprawie – odparł Cussick. Nina westchnęła.

– Po prostu wolałabym, żebyś zajmował się czymś innym. Sznurowadłami do butów. Czy choćby świńskimi pocztówkami. Czymkolwiek, z czego można by być dumnym.

– Ja jestem z tego dumny.

– Ach tak. Naprawdę?

– Jestem miejskim hyclem – powiedział z kamienną twarzą. – Nikt nie lubi hycla. Dzieciaki modlą się, żeby szlag go trafił. Jestem dentystą. Jestem komornikiem. Jestem każdym z tych srogich facetów, którzy zjawiają się z plikami papierów, wzywając ludzi przed oblicze prawa. Siedem miesięcy temu nie miałem o tym pojęcia. Teraz już wiem.

– Ale wciąż jesteś w tajnych służbach.

– Tak – odparł. – Wciąż w nich jestem. I prawdopodobnie zostanę w nich do końca życia.

Nina zawahała się.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Służba Bezpieczeństwa to mniejsze zło. Właśnie tak, zło. Oczywiście oboje wiemy, że zło nie istnieje. Kufel piwa jest zły o szóstej rano. Talerz owsianki wygląda parszywie o ósmej wieczorem. Dla mnie widok demagogów posyłających miliony ludzi na śmierć, obracających świat w ruinę świętymi wojnami i rozlewem krwi, unicestwiających całe narody, aby zdobyć uznanie dla jakiejś religijnej lub politycznej „prawdy”, jest... – Wzruszył ramionami. – Ohydny. Plugawy. Komunizm, faszyzm, syjonizm... wszystko to są opinie absolutystycznych jednostek, narzucone siłą całym kontynentom. I nie ma tu nic do rzeczy szczerości samych przywódców czy ich wyznawców. To, że oni wierzą w swe ideały, sprawia tylko, że wszystkie one są jeszcze bardziej ohydne. Samo to, że potrafią zabijać się nawzajem i dobrowolnie ginąć z powodu nic nie znaczących słów... – Głos mu się urwał. – Widziałas ekipy pracujące przy odbudowie. Wiesz, że będziemy mogli uważać się za szczęściarzy, jeśli kiedykolwiek uda nam się odtworzyć to

wszystko.

– Ale tajna policja... to wydaje się tak bezwzględne i... że tak powiem... cyniczne.

Skinął głową.

– Przypuszczam, że Relatywizm jest cyniczny. Z pewnością nie ma w nim nic z idealizmu. Jest odpowiedzią na zabijanie, okaleczanie, wpędzanie w ubóstwo i zmuszanie do ciężkiej pracy w imię pustych słów. Jest owocem pokoleniami wykrzykiwanych haseł, marszy z łopatami i karabinami, patriotycznych śpiewów i hymnów, oddawania czci sztandarom.

– Ale wy zamykacie ich w więzieniach. Ci wszyscy, którzy nie zgadzają się z wami... nie pozwalacie im mieć odmiennego zdania... weźmy choćby tego Jonesa.

– Jones ma prawo nie zgadzać się z nami. Ma prawo wierzyć we wszystko, w co zechce. Może wierzyć, że Ziemia jest płaska, że Bóg jest cebulą, że dzieci rodzą się w plastikowych workach. Wolno mu twierdzić, co tylko zechce. Ale kiedy zaczyna rozprawiać to jako Absolutną Prawdę...

– Wsadzacie go do więzienia – przerwała mu twardo.

– Nie. Wyciągamy dłoń – poprawił ją. – Mówimy po prostu: udowodnij to albo się zamknij. Jeśli chcesz rozgłaszać, że Żydzi są źródłem wszelkiego zła, dowiedz tego. Możesz powiedzieć wszystko, pod warunkiem że potrafisz to wykazać. Jeśli nie, idziesz do obozu pracy.

– To... – Uśmiechnęła się lekko. – To brutalna robota.

– Żebyś wiedziała.

– Jeśli zobaczysz, że popijam cyjanek przez słomkę – powiedziała – nie będziesz mógł mi tego zabronić. Mam pełne prawo się otruć.

– Mogę ci wytłumaczyć, że w butelce jest cyjanek, a nie sok pomarańczowy.

– A jeżeli o tym wiem?

– Dobry Boże – odparł Cussick – wtedy to jest twoja sprawa. Możesz się w nim wykąpać. Możesz go zamrozić i położyć na głowie. Jesteś dorosła.

– Ty... – Jej wargi zadrżały. – Nic a nic cię nie obchodzi, co się ze mną stanie. Wszystko ci jedno, czy zażyję truciznę, czy może...

Cussick spojrział na zegarek. Statek znajdował się już nad kontynentem północnoamerykańskim. Podróż dobiegała końca.

– Nie jest mi wszystko jedno. Dlatego właśnie się tym zajmuję. Obchodzisz mnie i ty, i cała cierpiąca ludzkość. – W zamyśleniu dodał: – To zresztą nie ma znaczenia. Przyskrzyniliśmy Jonesa. Ale tym razem może się okazać, że trafiła kosa na kamień.

– Dlaczego?

– Właśnie powiedzieliśmy Jonesowi: Wykaż to, przedstaw nam dowody. I obawiam się, że ten skurczybyk to zrobi.

Jones bardzo się zmienił. Stając cicho w drzwiach, Cussick zignorował grupę umundurowanych policjantów i uważnie przyjrzał się siedzącemu pośrodku pokoju mężczyźnie.

Na zewnątrz sunęła z głuchym dudnieniem jednostka policyjnych czołgów, poprzedzana przez pułk szturmowy, zupełnie jakby obecność Jonesa była impulsem każącym im prężyć się na pokaz. Ale on sam nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Siedział, paląc papierosa, spięty, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, niemal tak samo jak wtedy, na platformie, gdy Cussick zobaczył go po raz pierwszy.

Był jednak starszy. Minione siedem miesięcy i na nim odcisnęło ślad. Nierówno okalająca mu twarz broda urosła. Zmierzwione czarne włosy nadawały mu złowieszczo ascetyczny, niemal uduchowiony wygląd. Jego oczy lśniły jak w gorączce. Raz po raz spletał i rozpletał palce, oblizywał wyschnięte wargi, rzucał nerwowe, ostrożne spojrzenia po całej sali. Cussickowi przyszło na myśl, że jeśli ten człowiek naprawdę jest jasnowidzem, jeśli naprawdę dostrzega przyszłość na rok naprzód, to musiał przewidzieć to wszystko już podczas tamtej ich rozmowy.

Nagle Jones zauważył go i podniósł wzrok. Ich oczy spotkały się. Cussick oblał się potem. Z przerażeniem uświadomił sobie, że Jones, rozmawiając z nim tamtego dnia, przyjmując od niego dwadzieścia dolarów, widział tę scenę. Wiedział, że Cussick złoży na niego raport.

A to oznaczało oczywiście, że był tutaj z własnej woli.

Z bocznych drzwi wynurzył się dyrektor Pearson z plikiem papierów w dłoni. Sztywnym krokiem zbliżył się do Cussicka. W pełnym umundurowaniu, w lśniących butach i hełmie, sprawiał imponujące wrażenie.

– Jesteśmy udupieni – powiedział bez wstępów. – Siedzieliśmy na tyłkach, czekając, aż reszta jego gadaniny okaże się prawdą. Okazała się. A jakże. No i teraz jesteśmy załatwieni.

– Można się było tego spodziewać – zauważył Cussick. – Przez siedem miesięcy obserwacji musieliście chyba uzbierać całą furę prorocत्व.

– Istotnie. Ale opis sprawy oparty był właśnie na tych. Za podstawę obraliśmy przepowiednię na temat Saundersa. Słyszałeś oczywiście oficjalne doniesienia na temat dryfterów.

– Zaczęły napływać podczas mojego miodowego miesiąca. Dotychczas specjalnie się nimi nie interesowałem.

Pearson zapalił fajkę.

– Powinniśmy kupić tego faceta. Ale on twierdzi, że nie jest na sprzedaż.

– On rzeczywiście widzi przeszłość, prawda? To nie jest lipa?

– Nie, to nie lipa. A ten cały cholerny system opiera się na założeniu, że to musi być lipa. Hoff nigdy nie brał tego pod uwagę. Ten jarmarczny kuglarz mówi prawdę. – Ujął Cussicka za ramię i przeprowadził go przez krąg policjantów. – Podejdz i przywitaj się z nim. Może będzie cię pamiętał.

Jones z rezerwą przyglądał się dwóm zmierzającym ku niemu mężczyznom. Rozpoznał Cussicka. Mpżna to było wyczytać z jego twarzy.

– Cześć – powiedział Cussick.

Jones powoli uniósł się z krzesła. Stali teraz twarzą w twarz. Po chwili Jones wyciągnął dłoń.

– Jak się masz? – zagadnął go Cussick

– Nieźle – odparł wymijająco Jones.

– Wiedziałeś wszystko tamtego dnia. Wiedziałeś, że jestem z Secpolu.

– Nie – zaprzeczył Jones. – Szczerze mówiąc, nie wiedziałem o tym.

– Ale wiedziałeś, że będziesz tutaj – ciągnął Cussick, zaskoczony. – Musiałeś widzieć ten pokój, to spotkanie.

– Nie poznałem cię. Wyglądałeś wtedy inaczej. Sam nie wiesz, jak bardzo się zmieniłeś przez ostatnie siedem miesięcy. Nie wiedziałem nic poza tym, że któregoś dnia nawiązany zostanie ze mną kontakt. – Mówił obojętnie, ale w jego głosie słychać było napięcie. Drgał mu mięsień na policzku. – Schudłeś... ale siedzenie za biurkiem nie wpłynęło najlepiej na twoją sylwetkę.

– Co robiłeś przez cały ten czas? – zapytał Cussick. – Nie występujesz już na jarmarku?

– Jestem pastorem Prawowitego Kościoła Bożego – powiedział Jones z kwaśną miną.

– Wyglądasz dość kiepsko jak na pastora.

Jones wzruszył ramionami.

– To niezbyt dochodowe zajęcie. Na razie ludzie niezbyt się tym interesują. Ale to się zmieni – dodał.

– Wiesz, oczywiście – wtrącił się Pearson – że cała ta rozmowa jest nagrywana. Wszystko, co mówisz, zostanie odtworzone podczas procesu.

– Jakiego znów procesu? – wypalił Jones. – Za trzy dni mnie wypuścicie. – Krzywiąc wychudłą twarz, chłodnym i ponurym głosem mówił dalej, cedząc słowa: – Poczawszy od dziś, będzie pan powtarzać pewną anegdotę. Opowiem ją teraz. Proszę uważać. Pewien Irlandczyk usłyszał, że

plajtują banki. Pobiegnął więc do banku, w którym trzymał swoje pieniądze, i zażądał wypłaty wszystkiego co do centa. „Tak, proszę pana”, powiedział uprzejmie kasjer. „Życzy pan sobie podjąć pieniądze w gotówce czy w formie czeku?” Irlandczyk na to: „Cóż, jeżeli je macie, to ja ich nie potrzebuję. Ale jeśli nie macie, to chcę je dostać natychmiast”.

Zapadła kłopotliwa cisza. Pearson wyglądał na zbitego z tropu. Spojrzał na Cussicka.

– Ja mam to opowiadać? – zapytał z powątpiewaniem. – Co to oznacza?

– To oznacza – odparł Cussick – że nikt nikogo nie nabiera.

Jones uśmiechnął się z uznaniem.

– Mam przez to rozumieć – powiedział Pearson z twarzą pociemniałą i zeszeconą gniewem – że sądzisz, iż nic ci nie możemy zrobić?

– Ja nie sądzę – odparł zarozumiale Jones. – Nie muszę. W tym cała sprawa. Chcecie moje prorocтва w gotówce czy w formie czeku? Decydujcie.

Pearson całkowicie oszołomiony, wycofał się.

– Nie rozumiem go – wymamrotał. – To wariat. Stracił rozum.

– Nie – odezwał się starszy instruktor polityczny Kamiński. Dotychczas stał z boku, przysłuchując się uważnie. – Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Jones – zwrócił się do kościstego mężczyzny, stojącego niespokojnie obok krzesła. – Niech mi pan coś wytłumaczy. Dlaczego, przy pańskim talencie, kręcił się pan po tym całym jarmarku? Dlaczego marnował pan czas?

Odpowiedź Jonesa zaskoczyła ich wszystkich. Jej szczerść, jej naga uczciwość była szokująca.

– Dlatego, że się boję – powiedział. – Nie wiem, co mam robić. A najgorsze jest to... – przełknął głośno ślinę – że nie mam wyboru.

## Rozdział piąty

Zasiedli w czwórkę wokół biurka w gabinecie Kaminskiego, paląc i bezmyślnie przysłuchując się odległemu pomrukowi policyjnych dział samobieżnych zmierzających do bazy operacyjnej.

– Dla mnie – odezwał się ochryłym głosem Jones – to jest przeszłość. Ta chwila, w której siedzę tu z wami trzema, jest już dla mnie zdarzeniem sprzed roku. Tak naprawdę sprawa polega nie tyle na tym, że widzę przyszłość, ile na tym, że tkwię jedną nogą w przeszłości. Nie mogę jej uwolnić. Jestem cofnięty w czasie. Przeżywam dwukrotnie każdy rok swojego życia. – Wzdrygnął się. – Każdy bez wyjątku. Wszystko, co robię, co mówię, co słyszę, wszystko, co mi się przydarza, muszę przetrwać dwa razy. – Podniósł głos, ostry, udręczony, pełen rozpacz. – Przeżywam dwa razy jedno i to samo życie!

– Innymi słowy – powiedział wolno Cussick – przyszłość jest dla ciebie statyczna. Znajomość jej nie daje ci możliwości wpływania na nią.

– Wpływania? – Jones roześmiał się zimno. – Przyszłość jest absolutnie niezmienna. Jest bardziej niezmienna, bardziej sztywna niż ta ściana. – Z wściekłością uderzył otwartą dłoń w ścianę za swymi plecami. – Myślicie, że to daje mi jakąś swobodę? Nie oszukujcie się... im mniej wiecie o przyszłości, tym lepiej dla was. Możecie sobie pozwolić na miłe złudzenia. Możecie sądzić, że macie wolną wolę.

– A ty nie.

– Nie – potwierdził gorzko Jones. – Powtarzam te same kroki, którymi człapałem przed rokiem. Nie mogę zmienić choćby jednego z nich. Ta rozmowa... znam ją już na pamięć. Nie pojawi się w niej nic nowego. Nic nie zostanie pominięte.

Po chwili odezwał się Pearson.

– Kiedy byłem dzieckiem – zaczął – często chodziłem do kina po dwa razy na ten sam film. Za drugim razem miałem przewagę nad resztą widowni... Podobało mi się to. Mogłem wykrzyknąć słowa dialogu na ułamek sekundy przed aktorami. To dawało mi poczucie władzy.

– Jasne – zgodził się Jones. – Kiedy byłem dzieckiem, też to lubiłem. Ale nie jestem już dzieckiem. Chcę żyć tak jak wszyscy – zwyczajnie. Nie prosiłem o ten dar. To nie był mój pomysł.

– To cenny talent – powiedział chytrze Kamiński. – Jak mówi Pearson, człowiek, który potrafi wykrzyknąć słowa na ułamek sekundy przed czasem, ma wielką władzę. Jest o całe niebo ponad resztą tłumu.

– Najlepiej pamiętam – odezwał się znowu Pearson – pogardę, jaką czułem do tych wszystkich zaaferowanych idiotów – wpatrzonych w ekran, głupio uśmiechniętych, chichoczących, przerażonych, wierzących w to wszystko, zastanawiających się, co będzie dalej. A ja wiedziałem. Ich widok

wprawiał mnie w obrzydzenie. I to był jeden z powodów, dla których wykrzykiwałem to na całe gardło.

Jones milczał. Pograżony w myślach, siedział zgarbiony, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Co powiedziałbyś na pracę? – zapytał sucho Kamiński.

– Nie, dziękuję.

– Mógłbyś być bardzo pomocny – napomknął Pearson. – Mógłbyś wspomóc odbudowę, pomóc nam się zjednoczyć i połączyć siły. Twój udział mógłby się okazać bardzo znaczący.

Jones rzucił mu piorunujące spojrzenie.

– Jest tylko jedna znacząca kwestia – powiedział. – Ta odbudowa... – Niecierpliwie machnął chudą, kościstą dłonią. – Marnujecie czas... ważne są tylko dryftery.

– Dlaczego? – zapytał Cussick.

– Dlatego, że tu chodzi o cały wszechświat! Traciecie czas na odbudowywanie tej planety... mój Boże, moglibyśmy mieć milion planet. Nowych, nietkniętych dotąd światów. Całe układy gwiazdne. Nieograniczone zasoby... a wy z uporem maniaka próbujecie przetopić stary złom. Jak sknery, szmaciarze gmerający w swej żalostnej kupie śmieci i broniący jej zawzięcie! – Wzburzony, odwrócił się do nich plecami. – Świat jest przeludniony. Ludzkość jest niedożywiona. Jeszcze jedna nadająca się do zamieszkania planeta rozwiązałaby te problemy.

– Na przykład Mars? – zapytał cicho Cussick. – Albo Wenus? To martwe, puste, nieprzyjazne światy.

– Nie o nich myślałem.

– A więc o czym? Nasi zwiadowcy roją się po całym Układzie Słonecznym. Pokaż nam choćby jedno miejsce, gdzie moglibyśmy żyć.

– Nie tutaj. – Jones gniewnym gestem zbył dziewięć planet. – Mówię o czymś dalszym. Proxima Centauri. Albo Syriusz. Albo cokolwiek innego.

– Sądysz, że tam znaleźlibyśmy coś lepszego?

– Kolonizacja międzygwiazdna jest możliwa – odrzekł Jones. – Jak myślicie, dlaczego pojawiły się dryftery? To oczywiste, one się osiedlają. Robią to, co my sami powinniśmy robić: wyruszają na poszukiwanie nadających się do zamieszkania planet. Być może przebyły miliony lat świetlnych.

– Taka odpowiedź nas nie urzęda – oświadczył Kamiński.

– Mnie to wystarcza – odparł Jones.



– Wiem. – Kamiński ze smutkiem skinął głową. – To właśnie mnie martwi.

– Wiesz coś więcej o dryfterach? – zapytał z ciekawością Pearson. – Co wyjdzie na jaw w przyszłym roku?

Twarz Jonesa zmieniła się w sztywną, zawziętą maskę.

– Dlatego właśnie jestem pastorem – powiedział szorstko. Trzej mężczyźni czekali, jednak nie usłyszeli już nic więcej. Najwyraźniej hasłem wywoławczym dla Jonesa było „dryftery”, jak gdyby słowo to wyzwalало w nim jakieś głębokie, fundamentalne uczucia, coś, co wykrzywiało bólem jego wychudzoną twarz. Jądro rozpalonego żaru wylało się na powierzchnię.

– Nie przepadasz za nimi – zauważył Cussick.

– Przepadać za nimi? – Jones omal nie pękł z wściekłości. – Za dryfterami? Miałbym przepadać za obcymi istotami, które przybywają tutaj i osiedlają się na naszej planecie? – Jego głos przeszedł w piskliwy, histeryczny skrzek. – Nie widzicie, co się dzieje? Jak myślicie, długo pozostawią nas w spokoju? Osiem martwych światów, nic poza nagą skałą i Ziemia: jedyna użyteczna planeta. Nie widzicie tego? One szykują się do ataku. Mars i Wenus służą im za bazy. To Ziemia jest ich celem. Kto chciałby tamtych pustyń?

– Może właśnie one – bąknął niepewnie Pearson. – Jak sam powiedziałaś, to obce istoty. Być może Ziemia nic dla nich nie znaczy. Może potrzebują zupełnie innych warunków do życia.

Uważnie mierząc Jonesa wzrokiem, Kamiński odezwał się:

– Każda forma życia ma własne, specyficzne potrzeby... to, co dla nas jest jałowym pustkowiem, dla innych może być żyzną doliną. Czyż nie?

– Ziemia jest jedyną życiodajną planetą – powtórzył z niezłomnym przekonaniem Jones. – To właśnie o nią im chodzi. Dlatego tu są.

Cisza.

A więc stało się. Oto mieli przed sobą widmo, którego tak się lękali. To ze względu na nie robili to, co robili, to właśnie je mieli ścigać i zniszczyć – zanim stanie się zbyt potężne, by dało się opanować. Stało tu, przed nimi. A raczej spoczywało. Jones znów siedział na krześle. Palił nerwowo, z grymasem na wychudłej twarzy, z pulsującą ciemną żyłą na czole. Jego płonące spoza okularów oczy zaszyły mgłą, zmętniałe od gniewu. Zmierzwione włosy, postrzępiona czarna broda, niechlujna postać o długich rękach, patykawatych nogach... człowiek o nieskończonej władzy. Człowiek o nieskończonej nienawiści.

– Ty naprawdę ich nienawidzisz – powiedział zdumiony Cussick.

Milcząc, Jones skinął głową.

– Ale nic o nich nie wiesz, prawda?

– One tu są – odparł Jones rwącym się głosem. – Gdziekolwiek się obejrzeć. Okrążają nas. Zaciskają pierścień. Nie widzicie, do czego zmierzają? Nie widzicie, jak zbliżają się, stulecie po stuleciu, z głębin kosmosu... jak realizują swój plan, lądują najpierw na Plutonie, Merkury, za każdym razem bliżej... Coraz bliżej swego łupu... Zakładają bazy, z których nas zaatakują.

– Zaatakują – powtórzył cicho, chytrze Kamiński. – Wie pan to? Ma pan dowód? Czy to tylko szalony pomysł?

– Za sześć miesięcy od dziś – oświadczył suchym, metalicznym głosem Jones – pierwszy dryfter wyląduje na Ziemi.

– Nasi zwiadowcy lądowali na wszystkich planetach – zauważył Kamiński, ale jego łagodna pewność siebie zniknęła. – Czy to oznacza, że dokonujemy na nie inwazji?

– Jesteśmy tam – odparł Jones – bo te planety są nasze. Robimy przegląd naszego terytorium. – Uniósł wzrok i dokończył: – To samo robią dryftery. Inspekcję Ziemi. Obserwują nas, w tej właśnie chwili. Nie czujecie na sobie ich oczu? Ohydnych, obrzydliwych, obcych, owadzych oczu...

– On jest chory – wyszeptał ze zgrozą Cussick.

– Widzi pan to? – drażył Kamiński.

– Wiem.

– Ale czy pan to widzi? Czy widzi pan inwazję? Zniszczenia? Dryftery opanowujące Ziemię?

– Za rok – oświadczył Jones – dryftery lądować będą wszędzie. Dzień w dzień. Dziesięć tu, dwadzieścia tam. Całymi stadami. Wszystkie identyczne. Bezrozumne hordy ohydnych pozaziemskich istot.

Z trudem dobywając głosu, Pearson odrzekł:

– I może będą przysiądać się do nas w autobusie? Uderzać w konkury do naszych córek... co?

Jones musiał przewidzieć tę uwagę. Na sekundę, nim Pearson otworzył usta, pobladł śmiertelnie i kurczowo zacisnął dłonie na poręczach krzesła. Z wysiłkiem zachowując panowanie nad sobą, odpowiedział przez zęby:

– Ludzie nie będą tego tolerować, kolego. Widzę to. Będą płonąć ognie. Te dryftery są suche, kolego. Dobrze się palą. Czeka nas wielkie sprzątanie.

Kamiński zaklął ostro pod nosem.

– Wyprowadźcie mnie stąd – powiedział w przestrzeń. – Nie wytrzymam tego.

– Nie przejmuj się – rzucił sucho Pearson.

– Nie, nie wytrzymam – wstał i zaczął bez celu krążyć po pokoju. – Nic nie możemy zrobić! Nie możemy go tknąć: on naprawdę widzi to wszystko. Nic mu z naszej strony nie grozi – i on dobrze o tym wie.

Był wczesny wieczór. Cussick i Pearson stali w ciemnym korytarzu na najwyższym piętrze policyjnego biurowca. Kilka kroków od nich czekał goniec o pozbawionej wyrazu twarzy pod stalowym hełmem.

– Cóż – zaczął Pearson. Zadygotał.– Zimno tutaj. Może przyjdiesz do mnie na obiad, razem z żoną? Porozmawiamy, posiedzimy, omówimy sprawy.

– Dzięki, chętnie – odparł Cussick. – Jeszcze nie poznałeś Niny.

– Rozumiem, że miałeś właśnie urlop. Miesiąc miodowy?

– Coś w tym rodzaju. Mamy miłe nieduże mieszkanie w Kopenhadze... zaczęliśmy je malować.

– Jak je zdobyliście?

– Rodzina Niny zakręciła się koło tego.

– Twoja żona nie jest w Służbie Bezpieczeństwa, prawda?

– Nie. Jej działka to sztuka i idealizm.

– Co mówi na to, że jesteś gliną?

– Nie jest tym zachwycona. Zastanawia się, czy to w ogóle potrzebne. Nowa tyrania... Ostatecznie – dodał z ironią – absolutyści wymierają. Jeszcze parę lat i...

– Myślisz, że Hitler był jasnowidzem? – zapytał zniechęca Pearson.

– Tak, tak mi się zdaje. Nie w takim stopniu jak Jones, oczywiście. Sny, domysły, przeczucia... Dla niego także przyszłość była niezmienna. I podejmował długofalowe ryzyko. Myślę, że Jones też zacznie to robić. Teraz, kiedy zaczyna rozumieć, po co jest na świecie.

Pearson trzymał w dłoni cienki plik papierów, leniwie uderzając weń palcami.

– Wiesz, przyszła mi do głowy szalona myśl. Nabrałem ochoty, żeby zejść na dół, tam, gdzie go trzymają, otworzyć mu siłą usta i wrzucić mu do gardła granat atomowy. Rozerwać jego ciało na strzępy. Ale potem zacząłem się zastanawiać.

– Jego nie da się zabić – powiedział Cussick.

– Jego da się zabić. Ale nie da się go wziąć przez zaskoczenie. Aby go zabić, trzeba by go było osaczyć ze wszystkich stron. Ma nad nami przewagę jednego roku. Kiedyś tam umrze. Jest przecież

śmiertelny. Hitler też w końcu umarł. Ale w swoim czasie uniknął wielu kul, trucizn i bomb. Aby zabić Jonesa, potrzebny byłby zaciskający się pierścień... pokój bez drzwi. A z wyrazu jego twarzy widać, że wciąż ma jakąś furtkę.

Przywołał gońca.

– Oddaj to do rąk własnych. Wiesz gdzie – na dole, w 45A. Tam, gdzie trzymają tego zasuszonego wieśniaka.

Goniec zsalutował, wziął dokumenty i odmaszerował szybkim krokiem.

– Jak sądzisz, czy on naprawdę wierzy w to wszystko? – zastanawiał się Pearson. – W to, co mówił o dryfterach?

– Nigdy się tego nie dowiemy. To jest jego mocny punkt. Oczywiście, że one będą lądować. Poruszają się przypadkowo, nieprawdaż?

– Prawdę powiedziawszy – odrzekł Pearson – jeden już wylądował.

– Żywy?

– Martwy. Uczeni właśnie prowadzą nad nim badania. Najwyraźniej ta informacja nie wydostanie się na zewnątrz... do następnego razu.

– Czy mogą coś o nim powiedzieć?

– Nawet dość sporo. To olbrzymi jednokomórkowy organizm, którego naturalnym środowiskiem jest przestrzeń kosmiczna. Dryfuje w niej, posługując się jakimś nieokreślonym napędem. Jest absolutnie nieszkodliwy. To po prostu wielka na dwadzieścia stóp ameba. Ma coś w rodzaju twardej błony dla ochrony przed zimnem. To nie jest żadna złowieszcza inwazja. Te nieszczęsne stworzenia po prostu wędrują bez celu.

– Co one jedzą?

– W ogóle nie jedzą. Żyją po prostu tak długo, aż padną. Nie mają układu pokarmowego, żadnego procesu trawiennego, żadnego wydalania, żadnego aparatu rozrodczego. Są jakby niekompletne.

– To dziwne.

– Najwyraźniej wpadliśmy w ich rój. To oczywiste, że zaczynają spadać na Ziemię. Będą uderzać tu i tam, rozbijając się na miazgę, plaskać o samochody, rozpląszczać się na polach. Zapaskudzą jeziora i strumienie. Staną się utrapieniem. Będą gnić i cuchnąć. Najprawdopodobniej na ogół będą po prostu leżeć spokojnie i zdychać. Prażyć się na słońcu... tego akurat zabiło gorąco: spaliło go na frytkę. A tymczasem ludzie będą mieli o czym myśleć.

– Szczególnie kiedy Jones ruszy do akcji.

- Jeśli nie Jones, znajdzie się ktoś inny. Ale Jones ma ten swój talent, tę przewagę. Może mieć decydujący głos.
- Ten dokument to był nakaz jego zwolnienia, prawda?
- Zgadza się – odparł Pearson. – Jest wolny. Dopóki nie wymyślimy nowego prawa, jest wolnym człowiekiem. Może robić, co zechce.

## Rozdział szósty

W niewielkiej, lśniącej białą, ascetycznej celi policyjnego aresztu Jones płukał sobie usta płynem Dr. Sheriffa. Płyn był gorzki i przykry w smaku. Jones przesunął go spod jednego policzka pod drugi, przez chwilę przepłukiwał nim gardło, po czym wypluł do porcelanowej umywalki.

Dwóch umundurowanych policjantów, po jednym w każdym końcu celi, obserwowało go w milczeniu. Jones nie zwracał na nich uwagi. Przeglądając się w lustrze nad umywalką, starannie przyczesał włosy. Następnie bokiem kciuka przetarł sobie zęby. Chciał być w formie. Za godzinę czekały go ważne sprawy.

Przez chwilę usiłował sobie przypomnieć, co nastąpi w najbliższej przyszłości. Nakaz uwolnienia był już w drodze. W każdym razie zdawało mu się, że jest. To było już tak dawno. Minął cały rok i szczegóły zdążyły się zatrzeć. Mgliście przypominał sobie policjanta wchodzącego z jakimś dokumentem. To było to: nakaz jego zwolnienia. A po tym następowała przemowa.

Miał ją wciąż wyraźnie w pamięci. Nie zapomniał. Na myśl o niej opadło go rozdrażnienie. Wypowie te same słowa, powtórzy te same gesty. Dawne mechaniczne czynności... zwietrzałe wydarzenia, wyschłe i zakurzone, niknące pod ciężkim kocem wyblakłej przeszłości.

A tymczasem żywa fala pędziła wciąż naprzód.

Był człowiekiem z oczyma w przyszłości, ciałem zaś w przeszłości. Nawet teraz, kiedy przyglądał się swemu niechlujnemu ubraniu, przyglądał włosy, pocierał dziąsła, nawet kiedy stał tu, w tej antyseptycznej celi, jego zmysły wciąż tkwiły w innej scenie, w świecie, który wciąż tętnił życiem, w świecie jeszcze nie zwietrzałym. W roku, który miał nadejść, wiele się wydarzyło. A kiedy z irytacją skrobał swój zarosnięty podbródek, skubiąc ślady dawnej wysypki, ta fala odkrywała przed nim następne chwile, nowe podniecające zdarzenia.

Fala przyszłości wyrzucała na brzeg, pod jego stopy, najprzedziwniejsze muszle.

Niecierpliwie podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Nienawidził tego. Ślimaczy przepływ czasu napawał go wstrętem. Gdyby tak mógł go przyspieszyć! Chwile wlokły się w ospałym, żółtym tempie. Żadna siła nie była zdolna zmusić ich, potwornych i głuchych, do pośpiechu. Przeżył do końca kolejny rok. Miał go już dość. A jednak wszystko to musiało nastąpić. Czy chciał tego, czy nie – a nie chciał – miał teraz przeżyć jeszcze raz każdą sekundę, jeszcze raz doświadczyć fizycznie tego, co jego umysł wiedział już od dawna.

Tak było przez całe jego życie. To przesunięcie fazowe istniało od zawsze. Gdy miał dziewięć lat, sądził, że wszyscy ludzie dwukrotnie doświadczają wszystkich świadomych chwil. Jako dziewięciolatek przeżył już lat osiemnaście. Był wyczerpany, zniechęcony, zrezygnowany. Gdy miał lat dziewięć i pół, odkrył, że jest jedynym człowiekiem dotkniętym tą przypadłością. A wtedy jego znużenie nagle przerodziło się we wściekłą niecierpliwość.

Urodził się 11 sierpnia 1977 roku w stanie Kolorado. Wojna wciąż jeszcze trwała, lecz jak dotąd omijała Środkowy Zachód. Greeley w Kolorado jednak nie ominęła – po prostu nigdy tu nie dotarła. Żadna wojna nie może osiągnąć każdej miejsciny, każdego człowieka. Życie na farmie prowadzonej przez jego rodzinę toczyło się zwykłym trybem. Samowystarczalni ekonomicznie, zachowali utarty tok zajęć, nieświadomi i obojętni wobec targającego światem konfliktu.

Pierwsze wspomnienia były przedziwne. Wiele lat później usiłował je rozwikłać. Senny płód doświadczał wrażeń z nie doznanego jeszcze świata. Zwinięty w kłębek spoczywał w wydętym łonie matki, otoczony wirami niepojętych i żywych fantasmagorii. W jednym i tym samym czasie leżał w jasnym świetle jesienno-słonecznego Kolorado, a zarazem śnił spokojnie w ciemnościach swego wilgotnego, życiodajnego schronienia. Znał grozę narodzin, zanim jeszcze został poczęty. Dla miesięcznego embrionu uraz ten należał już do przeszłości. Faktyczne narodziny nie miały dlań wielkiego znaczenia. Gdy huśtał się głową w dół, trzymany za stopy przez lekarza, był już na tym świecie okrągły rok.

Zastanawiano się, dlaczego jako noworodek nie krzyczał. I dlaczego tak szybko się uczy.

Kiedyś dręczyło go takie pytanie: Kiedy właściwie rozpoczęło się jego życie? Unosząc się w łonie matki, z pewnością był już żywy, świadomy swych doznań. Gdzie jednak trafiały pierwsze wspomnienia? Rok przed narodzeniem nie istniał jeszcze, nie był nawet zygota. Elementy, z których miał powstać, nie spotkały się jeszcze. A kiedy zapłodnione jajeczko zaczęło się dzielić, fala sięgnęła już daleko poza czas narodzin: trzy miesiące w głąb gorącej, pełnej kurzu, jasnej jesieni Kolorado.

Była to dlań zagadka. W końcu przestał o tym rozmyślać.

We wczesnym dzieciństwie pogodził się ze swoją podwójną egzystencją, nauczył się łączyć w całość te dwa kontinua. Nie było to łatwe. Całymi miesiącami mozolnie raczkował prosto na drzwi, meble, ściany. O rok za wcześnie sięgał po łyżkę odżywki dla niemowląt. Uparcie odwracał głowę od dawno zapomnianego sutka. Ten zamęt przyprawił go nieomal o śmierć głodową. Karmiono go siłą i siłą zmuszano, by nie rozstał się z życiem. Oczywiście uznano, że jest niedorozwinięty umysłowo. Niemowlę, które sięgało po niewidoczne przedmioty, które usiłowało przełożyć rączki przez ścianki łóżeczka.

Lecz gdy miał cztery miesiące, wypowiadał już pełne słowa.

Sceny z dzieciństwa, utrwalone dwukrotnym powtórzeniem, nigdy nie zniknęły z jego pamięci. Teraz, gdy w białej, higienicznej celi czekał na uwalniające go dokumenty, stanęła przed nim jedna z nich. Gdy miał dziewięć i pół roku, pojawiła się pierwsza bomba wodorowa. Nie pierwsza bomba wodorowa zrzucona w czasie wojny: na całym świecie spadły ich dziesiątki. Ta pierwsza przedostała się przez złożony system ekranów chroniących serce kraju, obszary od Gór Skalistych po Missisipi. Bomba eksplodowała sto mil od Greeley. Przez następne tygodnie nad okolicą snuł się nieubłagany pył radioaktywny, wywołując choroby u bydła i niszcząc uprawy. Ciężarówki i samochody mozolnie wywoziły ze strefy śmierci chorych i okaleczonych. Przybywały ekipy ratownicze, by oszacować ogrom zniszczeń, zabezpieczyć gigantyczny wrzód, nim wypłynie zeń toksyczna zawartość...

Wąską polną drogą obok farmy Jonesów sunął nie kończący się konwój karettek pogotowia, zmierzających do szpitali i lazaretów wzniesionych na obrzeżach Denver. W przeciwną stronę zmierzał strumień dostaw dla niedobitków z dotkniętego katastrofą obszaru. Przyglądał się temu z fascynacją. Od rana do nocy ciągnął nieprzerwany sznur samochodów, ciężarówek, karettek pogotowia, pieszych, rowerzystów, psów, bydła, owiec, kur, kalejdoskop wszelkich kształtów, barw i dźwięków. Do uszu chłopca docierały odległe jęki. W podnieceniu popędził do domu.

– Co to jest?! – zawołał, skacząc jak szalony wokół matki.

Edna Jones wyprostowała się nad balią z praniem. Jej szarą twarz wykrzywiał grymas zmęczenia i rozdrażnienia. Odgarnęła do tyłu wilgotne od mydlin włosy i odwróciła się ze złością do chłopca.

– O czym ty bredzisz? – zapytała.

– Samochody! – wykrzyknął, rzucając się do okna, by pokazać palcem. – Widzisz je? Kim oni są? Co to takiego?

Za oknem nie było nic. A w każdym razie ona nic nie widziała. Nie dostrzegąca tego, co widział jej syn.

Wypadł na dwór i stanął, wpatrując się w pełną wzdłuż widnokregu, na tle zachodzącego słońca, korowód. Sunęli wciąż przed siebie, bez końca... dokąd szli ci ludzie? Co im się stało? Pobiegł na skraj farmy, tak daleko, jak tylko było wolno. Zagrodziła mu drogę plątanina drutów najeżonych zardzewiałymi kolcami. Stąd mógł już niemal rozróżnić poszczególne twarze. Niemal dostrzegł malujący się na nich ból. Gdyby tylko mógł podejść bliżej...

To była chwila jego przebudzenia. Ponieważ tylko on widział procesję zagłady. Nikt inny, nawet sami skazańcy, nie miał o niczym pojęcia. Poznał znajomą twarz: stara pani Lizzner z Denver. Była tam. Dostrzegąca twarze, które znał, ludzi, których widywał w kościele. To nie byli obcy. To byli sąsiedzi, miejscowi. To był świat, jego świat, ciasny, zasuszony świat Środkowego Zachodu.

Następnego dnia pani Lizzner przyjechała na farmę swoim zakurzonym oldsmobilem, by spędzić popołudnie z jego matką.

– Widziała pani?! – zawołał do niej. – Widziała to pani?!

Nic nie widziała. A przecież stanowiła część jego wizji. Nie było więc wątpliwości. Dalsze drażnienie tej kwestii nie miało już sensu.

Prawdziwe zrozumienie nadeszło rok później. Bomba spadła naprawdę. Pani Lizzner nie żyła, a okolica została spustoszona. Tak wyjątkowego kataklizmu, nie oglądanego ani przedtem, ani potem, nie można było pomylić z niczym innym. To, co wówczas widział on jeden, teraz pochłonęło wszystkich. Związek fali z tym, czego doświadczali jego bliźni, stał się oczywisty. Naturalnie nie powiedział o tym nikomu. Z chwilą, gdy zrozumiał, zaprzestał dalszych prób porozumienia.



Nie mógł się cofnąć. Wiedząc, że jest inny, nie mógł dłużej żyć bez celu na farmie. Monotonia prac gospodarskich dla niego była podwójna. Nie mógł tego znieść. W wieku piętnastu lat, wymizierowany, wychudły, posępny, zebrał swoje oszczędności (może ze dwieście dolarów, wszystko w inflacyjnej walucie Westbloku) i ruszył w świat.

Zobaczył Denver, z trudem dźwigające się z ruin. Spodziewał się tego widoku, tak samo jak wszystkich innych. Rok wcześniej, mając czternaście lat, oglądał już tę podróż. I znów, tym razem własnymi oczyma, wpatrywał się w ziejący krater po bombie, rozmyślając o tysiącach ludzi obróconych w mgnieniu oka w garść popiołu. Wsiadł do autobusu i opuścił Kolorado. Trzy dni później był na ruinach Pittsburgha.

Podstawowe gałęzie przemysłu wciąż tu pracowały. Pod ziemią w dalszym ciągu huczały piece zakładów metalurgicznych. Ale Jonesa to nie interesowało. Wędrował dalej pieszo, mijając dymiące przestrzenie złomu będące niegdyś największym skupiskiem fabryk we wszechświecie. Panowało tu prawo wojenne. Jak przewidział, zgarnął go napotkany patrol.

W wieku piętnastu lat i trzech miesięcy został sprawdzony przez odpowiednie władze. Przesłuchano go, pobrano odciski palców i odprawiono. Batalion pracy, do którego się zaciągnął, nie był dla niego niespodzianką. Udręka jednak pozostała. Ponuro, zawzięcie, miesiącami dźwigał naręcza gruzu, wraz z innymi uprzątając ruiny najprymitywniejszymi środkami. Nim rok dobiegł końca, sprowadzono maszyny i zwolniono robotników. Był teraz starszy, silniejszy i znacznie mądrzejszy. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy dano mu do ręki karabin i wysłano ku kruszącym się szeregom, wojna dobiegła końca.

Przewidział to. Wymykając się z jednostki, przehandlował karabin za dobry obiad i zniszczył swój wojskowy mundur. Dzień później wędrował szosą tak samo, jak zaczął: pieszo, w dżinsach i obszarpanej bluzie, z plecakiem na grzbiecie, mijając ślady wojny: zwały gruzu, chaos zniszczeń, bezładne pustkowia – nowy świat.

Przez niemal siedemnaście lat jego podwójna egzystencja była bezcelowa. Stanowiła dla niego ciężar, ogromny balast. Nie przychodziło mu nawet na myśl, że mógłby ją jakoś wykorzystać. Dostrzegał w niej tylko krzyż pański, nic więcej. Życie było bolesne. Jego życie było bolesne podwójnie. Jaki pożytek mogła przynieść znajomość przyszłorocznych nieszczęść, jeśli były one nie do uniknięcia? Czy pani Lizzner poczułaby się lepiej, gdyby widziała wcześniej, jak przewożą drogą jej zwłoki?

Ktoś musiał go nauczyć, jak wykorzystać ten talent. Ktoś musiał mu pokazać, jak zrobić z niego użytek.

Tym kimś był Hyndshaw – gruby, spocony komiwojażer w różowej pasiastej koszuli i cytrynowych spodniach z dakronu, podróżujący poobijanym buickiem. Tylnie siedzenie wozu zavalone było stosami wąskich, brązowych pudeł. Jones, przygarbiony ze zmęczenia, włókł się zakurzonym poboczem, gdy buick, warcząc, zatrzymał się z piskiem kół. Wsiadał do tego samochodu już przed rokiem, więc nawet się nie obejrzał. Zrzucił plecak z grzbietu, odwrócił się i flegmatycznie opadł na miejsce obok kierowcy.

– Nie wyglądasz na specjalnie wdzięcznego – mruknął urażony Hyndshaw, uruchamiając silnik.  
– Chcesz wylądować z powrotem na drodze, synku?

Jones oparł się o postrzępioną tapicerkę i odpoczywał. Wiedział już, co będzie dalej. Hyndshaw nie wyrzuci go. Będzie gadał: uwielbiał gadać. A w tej gadaninie padną słowa, które będą miały dla chłopaka olbrzymie znaczenie.

– Dokąd idziesz? – zapytał ciekawie Hyndshaw. W ustach trzymał wilgotny niedopałek papierosa. Palcami ledwie muskał kierownicę – wóz miał wspomaganie. W oczach komiwojażera, osadzonych głęboko w fałdach tłuszczu, kryła się przebiegłość całego świata. Przód jego koszuli odbarwiły plamy po piwie. Był niechlujnym, niefrasobliwym, przesiąkniętym występkiem indywiduum, pachnącym potem i latami podróży. Był też wielkim, marzycielskim oszustem.

– Donikąd – odparł, jak zwykle z ponurą obojętnością, Jones. Był zmęczony tym pytaniem: odkąd Hyndshaw mu je zadał, minął już okrągły rok.

– Na pewno dokądś idziesz – osądził komiwojażer.

I wtedy stało się. Słowa, czyny niesione skrajem sunącej fali zostały utrwalone raz na zawsze. Przed rokiem wyczerpany chłopak rzucił opryskliwą, bezmyślną uwagę. Nadszedł czas, by zebrać jej niepokojący plon.

– Niech mi pan nie mówi, dokąd idę – odpalił. – Sam to wiem. Wiem też, dokąd pan się wybiera.

– No, dokąd? – odciął się ze złością Hyndshaw. Zmierzał właśnie do pobliskiego domu o złej sławie, a obszar ten wciąż znajdował się pod jurysdykcją wojskową.

Jones powiedział mu.

– Skąd wiesz? – zapytał ochryplym głosem, brutalnie przerywając mu szczegółową relację ze swych przyszłych poczynań. – Ty cholerny, pyskаты szczeniaku... – Blady i przerażony, wrzasnął: – Kim ty jesteś, jakimś pieprzonym telepatą?

– Nie – odparł Jones. – Ale zostaję. Jadę z panem.

To podziałało na Hyndshawa jak kubeł zimnej wody.

Zamilkł. Straciwszy odwagę, zacisnął dłonie na kierownicy i utkwiał wzrok w podziurawionej, zrujnowanej jezdni.

Gdzieś tam, po obu stronach szosy, sterczały opuszczone skorupy budynków. Ludność z terenów, przez które jechali, okolic St. Louis, została przymusowo ewakuowana po udanym ataku radzieckiej broni bakteriologicznej. Mieszkańcy wciąż jeszcze przebywali w obozach pracy przymusowej, odbudowując obszary o większym znaczeniu. Pierwszeństwo miał przemysł i rolnictwo.

Hyndshaw był przerażony, lecz jego przyrodzona zachłanność i ciekawość rosły. Był urodzonym oportunistą. Bóg jeden wiedział, na co się właśnie natknął. Postanowił ostrożnie działać dalej.

– Wiesz, co mam tam z tyłu? – zapytał, wskazując stertę wąskich pudeł. – Możesz zgadywać trzy razy.

Pojęcie zgadywania było Jonesowi obce.

– Pasy magnetyczne – odparł. – Pięćdziesiąt dolarów w detalu, czterdzieści przy zakupie co najmniej dziesięciu sztuk. Gwarantowana ochrona przed promieniowaniem radioaktywnym i skażeniem bakteryjnym albo zwrot pieniędzy.

Hyndshaw nerwowo oblizwał wargi.

– Czyżbym już z tobą rozmawiał? Może gdzieś pod Chicago?

– Będzie pan próbował sprzedać mi jeden. Kiedy zatrzymamy się po wodę.

Hyndshaw nie zamierzał zatrzymywać się po wodę. I tak był spóźniony.

– Po wodę? – wymamrotał. – Dlaczego? Kto będzie ją pił?

– Chłodnica przecieka.

– Skąd wiesz?

– Za piętnaście minut... – Jones zawahał się. Nie pamiętał dokładnie, jak długo to potrwa. – Za około pół godziny zacznie migać wskaźnik temperatury i będzie pan musiał zrobić postój. Znajdzie pan wodę w opuszczonej studni.

– Wiesz to wszystko?

– Oczywiście, że wiem. – Jones w rozdrażnieniu oderwał luźny strzęp materiału z tapicerki. – Inaczej bym tego nie mówił.

Hyndshaw nie odpowiedział. Prowadził w milczeniu, dopóki po jakichś dwudziestu minutach nie zapalił się wskaźnik temperatury. Szybko zjechał buickiem na pobocze.

Jedynym odgłosem był żalostny syk pustej chłodnicy. Z otworów w masce wypływały kłębiące się cienkie wstęgi dymu ze spalonego oleju.

– Cóż – odezwał się drżącym głosem, szukając po omacku klamki – chyba lepiej zaczniemy szukać. Mówisz, że gdzie jest ta studnia?

Jones nie musiał zgadywać, znalazł ją natychmiast. Była na wpół zagrzebana pod stertą kamieni, cegieł i desek, pozostałości po dawnej stodole. Wspólnymi siłami spuścili w głąb szybu zardzewiałe wiadro. Dziesięć minut później Hyndshaw otwierał butelki ciepłego piwa i prezentował jeden

z pasów magnetycznych.

Klepał swój tekst, lecz myśli kłębiły mu się pod czaszką jak szalone. Coś w tym było. Słyszał o mutantach, nawet oglądał je na własne oczy. W większości były to odrażające potwory, zdeformowane monstra systematycznie likwidowane przez władze. Ale tu miał do czynienia z czymś innym. Ten chłopak nie był niewydarzoną pokraką. Ktoś, kto potrafi wyeliminować niespodzianki, kto nie musi zgadywać...

To właśnie temu zawdzięczał swoje powodzenie w handlu. Potrafił zgadywać. Zawsze jednak mógł się pomylić. Mógł źle ocenić sytuację. Nie zdarzyłoby mu się to, gdyby miał przy sobie tego chłopaka. Obydwaj o tym wiedzieli. Hyndshaw był zafascynowany i pełen podziwu. Jones czuł tylko pogardę.

– Ile masz pieniędzy? – zapytał nagle Hyndshaw, przerywając swą gadaninę. – Nie masz pięćdziesięciu dolców – domyślił się. – Nie stać cię na taki pas.

– Mam tyle – odparł Jones – ale nie na taką tandetną lipę.

Hyndshaw splunął. Od lat żerując na ciemnych wieśniakach, którzy przez tę wojnę stali się jeszcze bardziej bojaźliwi i przesadni, sam zaczął wierzyć we własne kłamstwa.

– Co masz na myśli? – zaczął, ale czym prędzej zamknął usta, gdyż Jones wytłumaczył mu.

– No tak – odezwał się, kiedy krótka, uszczypliwa tyrada dobiegła końca. – Jesteś jeszcze młody... nie boisz się mówić tego, co myślisz.

– Dlaczego miałbym się bać?

– Dlatego – odparł sztywno Hyndshaw – że pewnego pięknego dnia ktoś może ci wbić twoje śliczne ząbki w gardło. Komuś może się nie spodobać twoja przemądrzała gadanina... ludzie mogą się poczuć dotknięci uwagami takiego szczeniaka.

– Ale nie pan – powiedział mu Jones. – Pan nie podniesie na mnie ręki.

– A co?

– Zaproponuje mi pan spółkę. Pański zapas pasów i doświadczenie – mój talent. Zyski po połowie.

– Pasy? Wchodzisz ze mną w interes z pasami?

– Nie – odparł Jones. – To pana pomysł. Mnie pasy nie interesują. Zajmiemy się kośćmi.

To zbiło Hyndshawa z tropu.

– Co to takiego?

– Hazard. Szulerka.

– Nie znam się na hazardzie. – W głosie Hyndshawa znać było podejrzliwość. – Jesteś pewien, że to legalne? Że to nie jest jakaś cholerna podpucha?

Jones nie raczył odpowiedzieć. Mówił dalej swoje:

– Będziemy prowadzić ten burdel przez miesiąc albo coś koło tego. Pan będzie zabierał większość dochodu. Mnie to nie interesuje. Potem się rozstaniemy. Pan będzie próbował mnie zatrzymać, a ja napuszcę na was wszystkich żandarmerię. Dziewczyny trafią do obozu pracy, pan pójdzie do więzienia.

Hyndshaw był przerażony.

– Boże, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego – stęknął. Chwycił pustą butelkę po piwie i rozbił ją o najbliższy kamień. Poszarpane krawędzie szkła spłynęły wilgotną pianą. Ścisnął ją kurczowo, jak broń. Odrazą do chłopca przyprowadziła go nieomal o histerię. – Jesteś szalony! – wykrzyknął, na wpół unosząc butelkę w odruchowym, obronnym geście.

– Szalony? – Jones wydawał się zaintrygowany. – Dlaczego?

Hyndshaw poruszył się gwałtownie. Po twarzy spływał mu zimny pot, ściekając za rozpięty kołnierzyk.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko? Masz czelność siedzieć tu i opowiadać mi, co zamierzasz mi zrobić?

– Bo to prawda.

Mężczyzna odrzucił butelkę i brutalnie szarpnął chłopaka, stawiając go na nogi.

– Nie znasz niczego oprócz prawdy? – warknął w przyływie rozpacz.

Nie, nie znał. Jakże mógłby znać? Dla Jonesa nie istniały domysły, błędy, fałszywe informacje. Wiedział. Miał absolutną pewność.

– Może pan w to wierzyć albo nie – powiedział, wzruszając ramionami. Stracił już zainteresowanie dla losów grubego komiwojażera. To wszystko zdarzyło się przecież tak dawno. – Niech pan robi, co pan chce.

Szarpiąc chłopaka w bezsilnej złości, Hyndshaw ryknął:

– Wiesz, że jestem uziemiony! Wiesz, że nie mam wyboru! Widzisz to!

– Nikt nie ma wyboru – odparł Jones, poważniejąc nagle. – Ani pan, ani ja... nikt. Wszyscy jesteśmy przykuci do jednego łańcucha, jak bydło. Jak niewolnicy.

Przybity Hyndshaw powoli rozluźnił uścisk.

– Dlaczego? – zapytał ze sprzeciwem w głosie, unosząc w górę grube, puste dłonie.

– Nie wiem. Tego akurat nie mogę panu powiedzieć... przynajmniej na razie. – Jones spokojnie dokończył swoje piwo, po czym cisnął butelkę między suche badyłe na skraju drogi. W ciągu zeszłego roku zielsko wybijało prawie na dwa metry. – Chodźmy. Chciałbym już zobaczyć ten burdel. To będzie mój pierwszy raz.

Do aseptycznej celi wszedł goniec. Zasalutował strażnikom i przekazał przyniesione papiery.

– W porządku – powiedział jeden z nich, kiwając na Jonesa. – Idziemy.

Skończyło się oczekiwanie. Ruszał w drogę. Nie posiadając się z radości, szedł za pobrękującą, umundurowaną postacią. Strażnik poprowadził go długim, żółto oświetlonym korytarzem w stronę masywnych, magnetycznie zamykanych wrót. Wrota rozsunęły się. Za nimi pięła się pochylnia, niknąca w zimnych ciemnościach nocy. Rękawami płaszcza Jonesa szarpały poddmuchy mrocznego wiatru. Na niebie lśniły zimnym światłem gwiazdy, rozsiane z rzadka wśród nieprzeniknionej czerni.

Opuścił budynek policji.

U końca pochylni rozpoczynał się betonowy podjazd. Kilka metrów dalej na poboczu stał połyskujący wilgocią i metalem ciężki samochód. Strażnik zaprowadził go tam, przytrzymał otwarte drzwi, po czym sam wsunął się do środka i siadł obok niego. Kierowca włączył przednie światła i pojazd wytoczył się na drogę.

Podróż trwała pół godziny. Gdy przed nimi rozjarzyły się słabo światła małego miasta, potężny samochód zjechał z porytej koleinami, nierównej drogi na pobocze. Tam, pośród zielska i gruzu, strażnik otworzył drzwi i gestem nakazał Jonesowi wyjść, po czym bez słowa wsiadł z powrotem do pojazdu, zatrzasnął drzwi i samochód oddalił się z rykiem. Jones został sam.

Ruszył w stronę światła miasteczka. Po chwili ukazała się przed nim częściowo rozebrana stacja benzynowa. Potem pojawiła się przydrożna gospoda, bar, nieczynny sklep spożywczy i drogeria. A wreszcie duży, rozsypujący się hotel.

W hallu hotelowym, apatycznie paląc papierosy, snuło się kilka osób, głównie starszych, o pustych, pozbawionych nadziei oczach. Jones przeszedł między nimi, kierując się do stojącej obok recepcji budki telefonicznej. Wyłowił z kieszeni dwudolarówkę i szybko wykręcił numer.

– Jestem w mieście o nazwie Laurel Heights – powiedział do osoby, która odebrała telefon. – Przyjedźcie i odbierzcie mnie.

Zaczął przechadzać się nerwowo po hallu, raz po raz wyglądając upstrzonymi przez muchy oknami na ciemny pas drogi.

Wszyscy już tam czekali, a on się niecierpliwił. Chciał wreszcie działać. Najpierw miało być przemówienie, potem pytania, ale dla niego było to częścią formalnością. Od dawna już wiedział, że wprowadzie niechętnie i opornie, ale zaakceptują jego warunki. Będą protestować, w końcu jednak ustąpią. Najpierw wydawca, potem generał Patzech i wreszcie pani Winestock, której posiadłość w Montanie zapewni im miejsce spotkań, a pieniądze – finansowanie Organizacji.

Podobała mu się jej nazwa. Zjednoczeni Patrioci. Zaproponuje ją pewien przemysłowiec, Tillman. Formalnościami zajął się już David Sullivan, radny z Nowego Jorku. Wszystko zostało ustalone i wszystko miało się potoczyć wedle planu.

Przed hotelem pojawił się smukły, ostronosy bolid, który ostrożnie osiadł przy samym krawężniku. Nogi rakiety zablokowały się w pozycji spoczynkowej i fragment kadłuba zapadł się do środka. Jones wybiegł z hallu w zimną noc. Zbliżywszy się do statku, po omacku odszukał w ciemnościach wejście.

– Najwyższy czas – powiedział do majaczących w mroku postaci. – Wszyscy już się zebrali?

– Wszyscy co do jednego – padła odpowiedź. – Są już tam i czekają na przemówienie. Zapiąłeś pasy?

Zapiął. Drzwi zamknęły się i zaskoczyły z trzaskiem. Pilot zwolnił blokadę nóg rakiety. Chwilę później spiczasty nos wystrzelił w niebo. Bolid mknął na zachód, ku Montanie i górcom Bitterroot.

Jones wyruszył w drogę.

## Rozdział siódmy

Na tablicy ogłoszeń urzędu pocztowego, wśród ostrzeżeń przed zbiegłymi fałszerzami i komunikatów na temat poczty raketowej, wisiała za chroniącym ją szkłem, solidnie przyklejona taśmą, duża, kwadratowa biała kartka.

UWAGA!

### NIE KRZYWDZIĆ WĘDROWNYCH PIERWOTNIAKÓW

Niniejszym zawiadamia się, że międzyplanetarne pierwotniaki migrujące zwane dryfterami, na mocy specjalnego rozporządzenia Rady Najwyższej Federalnego Rządu Światowego objęte zostały ochroną prawną. Zabrania się ich zabijania, niszczenia, okaleczania, uszkodzania, krzywdzenia, znęcania się nad nimi, torturowania czy też poddawania jakimukolwiek okrutnemu lub niewłaściwemu traktowaniu z zamiarem okaleczenia lub zabicia. Ponadto zawiadamia się, że na mocy Ustawy 30d954A każda osoba zatrzymana na wyżej opisanym znęcaniu się nad przedstawicielami gatunku międzyplanetarnych pierwotniaków migrujących zwanych dryfterami podlega karze grzywny w wysokości do stu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów Westbloku i/lub uwięzienia w obozie pracy przymusowej na okres do lat dwudziestu. Departament Zdrowia Publicznego Federalnego Rządu Światowego informuje niniejszym, że wędrowne pierwotniaki zwane dryfterami są nieszkodliwymi organizmami jednokomórkowymi, niezdolnymi zagrozić ludzkiemu bezpieczeństwu ani mieniu oraz że pozostawione same sobie giną w temperaturze panującej na Ziemi. Oznajmia się ponadto, że każda osoba, która zgłosi przypadek wyżej opisanego znęcania się nad migrującymi pierwotniakami zwanymi dryfterami, otrzyma nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów Westbloku gotówką.

7 października 2002 roku

Większość ostrzeżeń przed zbiegłymi fałszerzami i komunikatów dotyczących poczty raketowej była pożółkła ze starości, postrzępiona, upstrzona przez muchy, jednak ta notatka pozostała biała i czysta aż do końca: może ze trzy godziny od jej powieszenia czyjaś ręka odsunęła ostrożnie chroniącą ją szybę i zerwała kartkę. Notatkę podarto i wyrzucono. Szybę zasunięto.

Mężczyzna, który przewodził tej bandzie, miał rude włosy i był ślepy na jedno oko. Poza tym wyglądał jednak jak każdy inny barczysty robotnik kroczący na czele tłumu. Tyle tylko że gdy na krótko ukazał się w blasku księżyca, przez mgnienie oka dostrzec można było opaskę na jego ramieniu, a w prawej dłoni – przenośny radiotelefon.

Tłum także nie był prawdziwym tłumem. Był to dobrze zorganizowany oddział oddanych sprawie ludzi. Za nimi ciągnęła bezładna, niezdyscyplinowana zgraja wyrostków, dziewczynek w białych szortach, pedałujących na rowerkach dzieci, podstarzałych robotników, gospodyń domowych o zmęczonych twarzach, psów oraz kilku starszych ludzi zabijających ręce z zimna. Cała



ta zbieranina trzymała się na ogół z tyłu, dbając o swe bezpieczeństwo. Właściwą robotę wykonywał doborowy oddział podlegający rudowłosemu. A on realizował instrukcje przekazywane mu przez radiotelefon.

– Następny dom – odezwał się dziwny, tchnący nocą i pogłosem metalowych sieci szept urządzenia. – Widzę go jak na dłoni. Bądźcie ostrożni. Ktoś idzie wam na spotkanie.

W górze, nad ich głowami, samolot zwiadowczy obrócił dysze i zawisł tuż nad zdobyczą. Łup spoczywał na dachu opuszczonego magazynu. Był niemal niewidoczny. Nikt nie wiedział, od jak dawna leżał tam, wysychając i łuszcząc się w prażącym słońcu, pokrywając się kroplami zimnej rosy podczas długich nocy. Dopiero teraz dostrzeżono go w trakcie jednego z rutynowych lotów nad miastem.

Był ogromny.

– Boże – stęknął radiotelefon, gdy samolot zwiadowczy ostrożnie obniżył pułap. – To matuzalem. Jest wielki jak stodoła. Musi być stary jak diabli.

Rudowłosy przywódca nie odpowiedział. Uważnie przyglądał się ścianie magazynu, szukając wejścia na dach. Wreszcie je dostrzegł: drabinę przeciwpożarową, kończącą się dziesięć stóp nad chodnikiem.

– Ruszcie się – rzucił w stronę swych ludzi. – Ściągnijcie tu z ulicy kubły na śmieci.

Dwóch mężczyzn wyszło z szyku. Oddali latarki najbliższym stojącym kolegom i potruczali cichą uliczką. Było już późno, grubo po północy. Przemysłowa dzielnica Omaha Falls była o tej porze pusta i opustoszała. Z oddali dobiegł warkot samochodu. Od czasu do czasu ten i ów w obserwującym z napięciem tłumie zakaszłał lub kichnął, czasem mruknął coś z cicha. Nikt nie śmiał odezwać się głośno. Oczarowani, zafascynowani, z niemal religijną czcią przyglądali się, jak dwaj mężczyźni taszczą kubły na śmieci i ustawiają je jedno na drugim pod drabiną.

Gdy skończyli, rudowłosy podskoczył, złapał ostatni szczebel i ściągnął drabinę w dół.

– Ruszaj śmiało – odezwał się radiotelefon, który rudy zostawił jednemu ze swoich ludzi. – Uważaj, kiedy będziesz wchodzić na dach... on leży na samym skraju.

– Żyje? – zapytał rudzielec, na chwilę przejmując telefon.

– Chyba tak. Poruszył się trochę, ale jest słaby.

Usatysfakcjonowany, rudowłosy chwycił dziesięciogalonowy baniak z benzyną i zaczął się wspinać po drabinie. Pod jego silnymi palcami metal wilgotniał od potu. Stękając, wchodził coraz wyżej. Na piętrze minął ziejące, poszarpane otwory, które niegdyś były oknami. W środku dostrzegł kilka niewyraźnych kształtów, nie używaną od dawna przestarzałą i zardzewiałą maszynę wojenną. Był już teraz pod samym dachem. Zatrzymał się na chwilę, aby rozeznać się w sytuacji.

Z miejsca, w którym stał, widział krawędź dachu. Do jego nozdrzy dochodził słaby, gryzący

zapach dryftera, tak dobrze mu znany odór wysuszonego ciała. Mógł go już niemal dostrzec. Jak najostrożniej wspiał się o szczebel wyżej. Stąd miał go jak na dłoni.

Ten dryfter był największy ze wszystkich, jakie dotąd widział. Leżał w poprzek dachu, tonąc w fałdach grubszych powłok zewnętrznych. Rudy, gdyby chciał, mógłby do niego sięgnąć ręką. Nie chciał jednak. Przerazony, cofnął się mimo woli. Nie cierpiał nawet patrzeć na nie, ale nie mógł tego uniknąć. Czasami musiał ich nawet dotykać. A raz przydarzyło mu się coś strasznego: potknął się i upadł na dryftera, zapadając się w drżącą masę protoplazmy.

– Jak to wygląda?! – krzyknął ktoś z dołu.

– Nieźle!

– Jest duży?!

– Ogromny! – Balansując z wprawą, odchylił się do tyłu i wyciągnął szyję. Dryfter sprawiał wrażenie starego. Wyraźnie pożółkł: wypełniający go płyn, plamiący kryty papą dach, zmętniał. Jego powłoki były dość cienkie: miały zaledwie po ułamku cala grubości. I był obcy. Nieznana, pozaziemska istota, która spadła z nieba prosto na dach tego magazynu. Rudowłosy poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Odwrócił się od tego widoku, by odkręcić korek baniaka z benzyną.

Benzyna została już rozlana i podpalona, gdy z rykiem silników nadleciał pierwszy statek policyjny i mijając powolny samolot zwiadowczy, wylądował wprost na dachu.

Tłum rozproszył się. Samolot zwiadowczy umknął. Bezpieczny pod osłoną ciemności, rudowłosy mężczyzna widział, że ognia nie da się już ugasić. Policyjny statek strażacki przez chwilę bezskutecznie wypuszczał strugi piany i w końcu dał za wygraną. Po chwili wahania opadł poniżej poziomu dachu, by nie dopuścić do rozprzestrzenienia się pożaru w dół.

Dryfter szczeł już w płomieniach. Jego wysuszony zewłok zadygotał krótko. Na chodnik opadły płonące fragmenty jego ciała. Nagle pierwotniak zwinął się, pomarszczył, wylały się zeń płyny wewnętrzne i zapadł się w sobie. Po ulicy echem poniósł się ostry, wysoki skowyt. To, co było jeszcze w dryfterze żywego, instynktownie protestowało. W końcu resztki pierwotniaka zwęgliły się i rozpadły, dymiąc. Statek strażacki wzbił się w górę, wystrzelił dla zachowania pozorów kilka strug piany i odleciał.

– To by było na tyle – powiedział do radiotelefonu rudowłosy mężczyzna, przepełniony satysfakcją, że sam, własnymi rękami, uśmiercił tę obcą istotę. – Możemy się zbierać.

## Rozdział ósmy

Na jasno oświetlonej scenie tańczyły i gestykulowały barwne kształty. Odziane w kostiumy postacie śpiewały żywo, pełną piersią. Dekoracje, niewielki jasny kwadrat w odległym końcu sali, skrzyły się mocnym blaskiem. Dobiegał właśnie końca trzeci akt. Wszystkie postaci znajdowały się na scenie, z niezwykłą precyzją wyśpiewując swoje partie. Orkiestra grała w kanale jak szalona.

Nad całym zespołem górowała potężna postać sędziwego Gaetana Tabellego. Dawno już miał za sobą najlepsze lata, wciąż jednak był znakomitym śpiewakiem i aktorem. Krótkowzroczny, zaczerwieniony, boski Tabelli przechadzał się po scenie z wyrazem kompletnego oszołomienia na wielkiej, pomarszczonej twarzy, groteskowo błędząc w labiryncie cieni wypełniających stworzony przez Beaumarchais'go świat. Spoglądając przez monokl, bezczelnie przypatrywał się otaczającym go postaciom, grząc przy tym nieprzerwanie swym słynnym, potężnym i głębokim bas-barytonem. Nigdy nie było wspanialszego Don Bartola. I nigdy nie będzie. To przedstawienie, szczytowe osiągnięcie sztuki operowej, siły dramatycznej i artyzmu wokalnego, zostało utrwalone w niezmiennym kształcie po wszystkie czasy. Tabelli nie żył już od dziesięciu lat. Świetliste postacie na scenie były robotami, wiernymi kopiami śpiewaków i tancerzy.

Mimo to efekt był w pełni przekonujący. Cussick, odprężony, tonąc wygodnie w głębokim fotelu, przyglądał się z leniwym zadowoleniem. Lubił *Wesele Figara*. Widział i słuchał Tabellego wiele razy, ale ta, najlepsza, rola wielkiego śpiewaka nigdy go nie nużyła. Podobały mu się też barwne kostiumy, płynąca łagodnie melodia, partie chóru wieśniaczego o różowych policzkach. Muzyka i fantasmagoryczne barwy powoli go usypiały. Rozmarzony, na wpół senny, zapadł się głębiej w fotel i błogo chłonał strumień wrażeń.

Coś jednak było nie tak.

Nagle, rozbudzony, wyprostował się w fotelu. Siedząca obok niego Nina wciąż z zachwytem wpatrywała się w scenę. Jej nastroju nic nie zakłóciło. Zanim zdał sobie sprawę, co robi, był już na nogach.

Nina, wyrwana z transu, zamrugła powiekami.

– Co? – szepnęła zaskoczona. Uspokoił ją ruchem dłoni i przeciskając się wzdłuż rzędu siedzeń, ruszył ku przejściu. Chwilę później szedł ciężkim krokiem między rzędami zapatrzonych twarzy ku okrytym chodnikiem schodom w tylnej części widowni, za którymi tłoczyła się publiczność z biletami na miejsca stojące. Przystanął tam, by jeszcze raz spojrzeć na scenę.

Dziwne uczucie nie opuściło go nawet tak daleko od niej. Wyszedł, mijając zastygłych w bezruchu portierów. W pustym teraz, wyłożonym dywanem foyer, wciąż przesiąkniętym wonią cygar i damskich perfum, zatrzymał się i zapalił papierosa.

Był tu jedyną osobą. Zza półprzymkniętych drzwi dobiegała do niego muzyka, słodki, rozedrgany tryl wiedeńskiej orkiestry symfonicznej. W zdenerwowaniu zaczął przechadzać się w tę

i z powrotem. Niepokój nie mijał. A szybkie, pełne dezaprobaty spojrzenie, jakie rzuciła mu Nina, nie mogło poprawić mu humoru. Znał je już i wiedział, co oznacza. Nie obędzie się bez wyjaśnień. Skrzywił się na samą myśl o tym.

Jak miał to wytłumaczyć?

Na zewnątrz ciągnie się mroczna, martwa ulica. Za nią, czarne i puste, wznosiły się opuszczone, zamknięte na weekend biurowce. Na wejście do jednego z nich rzuciła mdłe światło nocna lampa. W betonowej studziencie kanalizacyjnej gromadziły się naniesione przez nocny wiatr plakaty, strzępy papieru, typowe miejskie śmieci. Nawet z miejsca, gdzie stał, poprzez grubą szklaną tafłę drzwi, poprzez całą szerokość betonowych schodów, szerokiego chodnika i jezdni Cussick mógł rozróżnić poszczególne litery na zmiętym plakacie.

PATRIO zbierają siły

z ma

JONES BĘ

publiczność zapro

Przedarty w połowie, walający się wśród śmieci plakat nie rzucał się w oczy. Ale w miejsce każdego zerwanego przez policję, na ścianach, w bramach pojawiało się tysiąc następnych. Wisiały wszędzie: w restauracjach, oknach wystawowych, barach, toaletach, na stacjach benzynowych, w szkołach, urzędach, na prywatnych posesjach. Szczurołap z Hameln i jego zgraja... odór płonącej benzyny.

Gdy rozległa się końcowa salwa braw, Cussick sprężył się. Pierwsi niecierpliwi wysypywali się pędem przez otwarte drzwi. Pojawili się portierzy i szybko umocowali otwarte skrzydła drzwi. Po chwili runął pierwszy szereg falangi: śmiejąc się i rozmawiając, poprawiając na sobie okrycia, wystrojona publiczność z parteru wlała się do foyer, jak gdyby ktoś przewrócił nagle słój ze sztuczną biżuterią. Po szerokich schodach schodzili dyskretniej ubrani widzowie z łóż. Już po chwili ze wszystkich stron otoczyła Cussicka zwarta ciżba rozmawiających, gestykulujących, nucących pod nosem ludzi.

Wkrótce dostrzegł przeciskającą się ku niemu Ninę.

– Cześć – powiedział z zakłopotaniem.

– Co się stało? – zapytała, na pół z niepokojem, na pół z rozdrażnieniem. – Napadło cię coś?

– Przepraszam. – Nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć. – Te dekoracje w ostatnim akcie przypomniały mi coś. Jakiś koszmar. Ludzi błędzących w ciemnościach.

– Może przypomniała ci się praca? – odparła swobodnym tonem Nina. – Areszty policyjne? –

W jej głosie, ostrym teraz i oskarżycielskim, słysząc było napięcie. – Czyżbyś miał wyrzuty sumienia?

Poczuł, że czerwienieje.

– Nie, to nie o to chodzi. – Najwyraźniej odpowiedział zbyt głośno. Kilka stojących w pobliżu osób obejrzało się z zaciekawieniem. Zły, zamknął usta i wetknął ręce do kieszeni. – Porozmawiamy o tym innym razem.

– W porządku – odparła pogodnie, błyskając białymi zębami w uśmiechu. – Żadnych scen. Nie dzisiaj. – Zwinnie obróciła się na pięcie, omiatając wzrokiem otaczające ich grupki ludzi. Zmarszczka na jej czole zdradzała, że rozdrażnienie nie minęło. Nie miał co do tego wątpliwości. Jednak starcie zostało odroczone.

– Przepraszam – powtórzył nieporadnie. – To ta przekłeta sprawa. Przypomniała mi się na widok ciemnej sceny. Zawsze zapominam, że akcja dzieje się w nocy.

– Już dobrze – ucięła Nina. Jej ostre paznokcie na moment wpiły się w jego ramię. – Która godzina? Jest już północ?

Zerknął na zegarek.

– Nawet po.

Marszcząc brwi, spojrzała uważnie przez szybę. Taksówki wślizgiwały się na podjazd, zabierały pasażerów i natychmiast odlatywały.

– Czy to możliwe, żebyśmy go nie zauważyli? Chyba by poczekał, prawda? Zdawało mi się, że widziałam go przed chwilą, kiedy wychodziłam.

– Może mieliśmy się z nim spotkać w domu? – Nie mógł sobie jakoś wyobrazić Kaminskiego na operze Mozarta. Ten zatroskany wąsacz o okrągłej twarzy był z zupełnie innej epoki.

– Nie, kochanie – odparła cierpliwie Nina. – Umówiliśmy się z nim tutaj, nie pamiętasz? Jak zwykle myślałeś o czymś innym. Mamy na niego poczekać. On nie wie, gdzie mieszkamy.

Tłum zaczynał wylewać się na ulicę. Do foyer wpadały podmuchy lodowatego nocnego wiatru. Nakładano płaszcze, naciągano futra. Intymny zapach perfum i cygar ulotnił się momentalnie, wyparty przez obcą, nieprzyjazną próżnię zewnętrznego świata.

– Nasz mały kosmos rozpada się – zażartował ponuro Cussick. – Nadciąga realny świat.

– A to co? – odezwała się nieprzytomnie Nina, wciąż krytycznie przyglądając się kobietom w tłumie. – Zobacz, co ta dziewczyna ma na sobie. Tam, ta ubrana na niebiesko.

Gdy Cussick od niechcenia udawał, że patrzy, przez zbitą masę ludzi utorowała sobie ku nim drogę znajoma postać.

– Cześć – powiedział Kamiński, gdy znalazł się przy nich. – Przepraszam za spóźnienie. Zupełnie wyszło mi to z głowy.

Widok Maksa Kaminskiego był dla Cussicka szokiem. Nie widział swego dawnego instruktora od kilku miesięcy. Kamiński był wynędzniały i przygarbiony. Nabiegłe krwią oczy podkreślały podpuchnięte sine kręgi. Gdy wyciągnął dłoń na powitanie, widać było, że trzęsą mu się palce. Pod pachą ścisnął sporą, zawiniętą w szary papier paczkę. Ukłonił się lekko Ninie; najwyraźniej dopiero teraz ją dostrzegł.

– Dobry wieczór, Nino – wymamrotał. – Miło cię znów widzieć.

– Nie byłeś w operze – zauważyła Nina, obrzucając niechętnym spojrzeniem jego wymięty codzienny garnitur i niechlujny pakunek.

– Nie, przegapiłem to. – Dłoń Kaminskiego była wilgotna i lepka. Cofnął ją i stał niezgrabnie, z wysiłkiem skupiając myśli. – Nie potrafię wysiedzieć na długich przedstawieniach. No cóż, gotowi do drogi?

– Oczywiście – odparła lodowato Nina. Jej konsternacja szybko przerodziła się w otwartą niechęć. Jasne było, że Kamiński spędził ostatnie piętnaście godzin, dwie pełne zmiany, w pracy. Zmęczenie i wyczerpanie nerwowe wychodziło każdym porcem jego przygarbionego ciała. – Co tam masz? – spytała, wskazując pakunek.

– Pokażę ci później – odparł wymijająco, mocniej ściskając paczkę.

– A więc chodźmy – powiedziała żywo, ujmując męża pod ramię. – Dokąd?

– Po dziewczynę – wymamrotał Kamiński, wlokąc się za nimi. – Musimy po nią podjechać. Nie znacie jej... zapomniałem wam o niej powiedzieć. Bardzo miły dzieciak. W ten sposób stworzymy regularny czworokąt. – Spróbował się roześmiać, ale to, co wyszło, zabrzmiało raczej jak przedśmiertne rżenie. – Nie każcie mi jej wam przedstawiać. Nie wiem, jak się nazywa. Po prostu poderwałem ją w jednym z biur.

– Chciałabym najpierw pojechać do domu – odezwała się po chwili Nina. – Chcę zobaczyć, jak się ma Jackie.

– Jackie? – Kamiński, zakłopotany, pędził za nimi po betonowych stopniach. – Kto to jest?

– Nasz syn – odparła chłodno Nina.

– Ach, prawda – przypomniał sobie. – Macie przecież dziecko. Nigdy go nie widziałem... – Urwał. – Mam tyle roboty, że zupełnie nie wiem, co się dookoła mnie dzieje – dodał ciszej.

– W tej chwili dzieje się to, że idziesz z nami – poinformowała go i zatrzymała się przy krawężniku. W oczekiwaniu na taksówkę założyła ręce na piersi, przybierając sztywną, odpychającą pozę. – Jesteś pewien, że czujesz się na siłach? Wyglądasz, jakbyś się już dość naświetował.

– Skończ z tym – rzucił ostro Cussick.

Wreszcie nadleciała taksówka i Nina ostrożnie się do niej wślizgnęła. Mężczyźni wsiedli za nią i taksówka wzbiła się w niebo. Pod nimi skrzyły się i mrugały światła Detroit, regularnie rozsiane gwiazdy utworzonego ludzką ręką firmamentu. Świeże nocne powietrze wpływało do kabiny. Nieprzyjemny, lecz orzeźwiający wiatr odświeżył myśli Cussicka. Także Kamiński zaczął pomалу odzyskiwać formę.

– Twój mąż i ja mamy ostatnio spore problemy – skierował do Niny coś w rodzaju spóźnionych przeprosin. – Pewnie to zauważyłaś.

Skinęła głową.

– Wszystko się wali. To napięcie... – Skrzywił się. – Ciężko jest patrzeć, jak wszystko, co uważasz za ważne, rozpada się kawałek po kawałku. Cegła po cegle.

– Krzywe wciąż idą w górę? – zapytał Cussick.

– Zdecydowanie. Każdy region, każda warstwa... pełny przekrój. On dociera do każdego. Jak, u diabła, mamy unieszkodliwić coś takiego? Benzyna płonie na każdym rogu ulicy, i tak jest na całym świecie.

– Dziwi cię to? – odezwała się w zamyśleniu Nina.

– To nielegalne – odrzekł Kamiński z dziecięcą zjadliwością. – Nie mają prawa zabijać tych istot.

Jej cienkie, wyrysowane ołówkiem brwi uniosły się.

– Naprawdę zależy ci na tych... na tych kluchach?

– Nie – zaprzeczył Kamiński. – Oczywiście, że nie. Jeśli o mnie chodzi, życzyłbym sobie, żeby wszystkie uprzyły się w słońcu. Jemu też nie zależy. Tak naprawdę wszyscy mają je w nosie.

– To dziwne – powiedziała Nina, lekko zawieszając głos. – Miliony ludzi oburzają się, nie wahają się łamać prawa, byle tylko dać temu wyraz, a ty mówisz, że wszyscy mają to w nosie.

– Wszyscy, którzy się liczą – poprawił Kamiński, nie panując już nad tym, co mówi. – Przejmują się tylko naiwniacy, idioci. Jones wie i my też wiemy... dryftery są tylko środkiem, a nie celem. Są pewnym hasłem, pretekstem. Toczymy grę, wielką, złożoną grę... Boże, jak ja tego nienawidzę – stęknął ze znużeniem.

– W takim razie – odparła rzeczowo – wyjdź z tej gry.

Kamiński sposepniał.

– Może masz rację. Czasem przychodzi mi to do głowy – kiedy tyram jak osioł, zagrzebany po

uszy w wykresach i raportach. To jest myśl.

– No dobrze, pozwólmy im spalić dryftery – odezwał się Cussick. – A co potem? Czy to zakończy sprawę?

– Nie. – Kamiński niechętnie pokręcił głową. – Oczywiście, że nie. Wtedy dopiero się zacznie. Dlatego, że dryftery nie są z Układu Słonecznego. Tutaj znalazły się tylko nieliczne. One przybywają spoza naszego układu. Jest gdzieś miejsce, z którego pochodzą.

– Gdzieś poza martwą ósemką – powiedziała enigmatycznie Nina.

Jak przebudzony z letargu, Kamiński wyprostował się. Przyjrzał jej się uważnie. Jego chytra, pobrużdżona twarz pociemniała z podejrzliwości. Wciąż jeszcze wpatrywał się w nią badawczo, gdy taksówka zaczęła obniżać lot. Nina wyjęła z torebki banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała krótko. – Jeśli chcesz, możesz wejść z nami. Albo zaczekaj tutaj. To potrwa tylko sekundę.

– Wejdę – powiedział Kamiński, wyraźnie nie chcąc zostać sam. – Chciałbym zobaczyć wasze dziecko... jeszcze go nie widziałem. – Szukając po omacku klamki, wymamrotał niepewnie: – A może widziałem?

– Nie, nie widziałeś go – odparł Cussick, głęboko uderzony stanem starzejącego się instruktora. Ostrożnie sięgnął ręką za jego plecami i otworzył drzwi. – Chodź, ogrzejesz się trochę.

Salon wyczekująco rozjarzył się światłem, gdy tylko Nina pchnęła drzwi mieszkania. Z sypialni dobiegało gulgocące, nieznośne zawodzenie. Jackie nie spał i był rozzłoszczony.

– Nic mu nie jest? – zapytał z niepokojem Cussick. – Może sprzęt nawalił?

– Chyba jest głodny – odparła Nina, zdejmując płaszcz i przerzucając go przez oparcie krzesła. – Pójdę podgrzać mu butelkę. – Ze spódnicą wirującą wokół kostek odeszła do kuchni.

– Usiądź – powiedział Cussick.

Kamiński rozsiadł się z ulgą. Pakunek ułożył obok siebie na kanapie.

– Miłe to wasze mieszkanie. Wszystko czyste, świeże, nowiutkie.

– Odmalowaliśmy je, kiedy się wprowadziliśmy.

Kamiński rozejrzał się z zakłopotaniem.

– Może mógłbym w czymś pomóc?

– Pomóc? – Cussick roześmiał się. – Nie, chyba że znasz się na karmieniu niemowląt.



– Nie znam się. – Kamiński smętnie poskubywał rękaw płaszcza. – Nigdy nie miałem z tym do czynienia. – Rozglądał się po salonie. Na jego twarzy pojawił się jakiś wygłodniały wyraz. – Wiesz, zazdroścę ci jak diabli.

– Tego? – Pokój był schludny i urządzony ze smakiem. Całe to nieduże, zadbane mieszkanie zdradzało kobiecy gust w wystroju i doborze mebli. – Chyba masz rację – przyznał Cussick. – Nina dba, żeby było tu miło. Ale to tylko cztery pokoje... czego nie omieszka mi wytknąć od czasu do czasu – dodał oschle.

– Twoja żona jest do mnie bardzo nieprzyjaźnie nastawiona – powiedział nerwowo Kamiński. – Przykro mi... martwi mnie to. O co może jej chodzić?

– O to, że jesteś gliną.

– Nie lubi policji? – Kamiński pokiwał głową. – Tak właśnie myślałem. Nie cieszymy się teraz zbyt dużą sympatią. A będzie coraz gorzej. Im bardziej Jones idzie w górę, tym bardziej my spadamy.

– Jej nigdy się to nie podobało – powiedział cicho Cussick, słysząc dobiegający z kuchni odgłos krzątania, gdy Nina podgrzewała odżywkę, stukot jej obcasów, kiedy szybkim krokiem przeszła do sypialni, niewyraźny szept, jakim przemawiała do dziecka. – Była w agencji informacyjnej. Środki masowego przekazu nigdy zbyt nie brały sobie Relatywizmu do serca. Wciąż trzymają się starych haseł: Dobro, Prawda i Piękno. Policja nie jest piękna, to pewne... a ona powątpiewa, czy jest dobra. – Z goryczą ciągnął dalej: – Ostatecznie uznać niezbędną tajną policję oznaczałoby uznać, że istnieje absolutystyczny fanatyzm.

– Ale słyszała o Jonesie.

– Czasem mi się wydaje, że kobiety są tylko receptorami, jak papierek lakmusowy.

– Niektóre kobiety. – Kamiński pokręcił głową. – Nie wszystkie.

– Co myślą o Jonesie ludzie, to samo myśli i ona. Jeśli chcę znać ich zdanie, wystarczy, że porozmawiam sobie z nią. Można by sądzić, że chwytła to intuicyjnie, na zasadzie jakiejś psychicznej osmozy. – Po chwili dodał: – Któregoś dnia ukradła w sklepie kilka kieliszków. Nie od razu się domyśliłem, o co chodzi. Dopiero później zrozumiałem... ale musiała to zrobić jeszcze dwa razy, zanim wszystko stało się jasne.

– Ach – powiedział Kamiński. – No tak, oczywiście. Jesteś gliniarzem. Gardzi tobą, więc łamię prawo... w ten sposób sprzeciwia się glinom. – Podniósł wzrok na Cussicka. – Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?

– Nie do końca. Wie, że czuje do mnie moralną odrazę. Chciałbym wierzyć, że to tylko przebrzmiałe idealistyczne frazesy. Ale możliwe, że chodzi o coś więcej. Nina jest ambitna. Pochodzi z dobrej rodziny. Wolałaby siedzieć na górze, w łóżkach, a nie gnieździć się na parterze. Małżeństwo z gliniarzem nigdy nie oznaczało awansu społecznego. To piętno. I ona nie może tego przeboleć.

– Ty tak twierdzisz – odparł z powagą Kamiński. – Ale wiem, że bardzo ją kochasz.

– Cóż, mam nadzieję, że zdołam zatrzymać ją przy sobie.

– Zrezygnowałbyś dla niej ze służby? Gdybyś musiał wybierać?

– Nie umiem powiedzieć. Mam nadzieję, że nigdy nie stanę przed takim wyborem. Wszystko chyba zależy od tego, jak potoczy się ta sprawa z Jonesem. A tego nie wie nikt... oprócz samego Jonesa.

Nina ukazała się w drzwiach.

– Wszystko w porządku. Możemy iść.

– Naprawdę masz ochotę? – zapytał Cussick, podnosząc się z kanapy.

– Oczywiście – odparła stanowczo. – Nie mam zamiaru tkwić tu w nieskończoność. Tyle wiem na pewno.

Kiedy zbierała swoje rzeczy, Kamiński zapytał z wahaniem:

– Nino, czy mógłbym zobaczyć Jacka, zanim wyjdziemy?

Nina uśmiechnęła się. Jej twarz złagodniała.

– Jasne, Max. Chodź do sypialni. – Odłożyła torebkę i płaszcz. – Tylko nie hałasuj za bardzo.

Kamiński podniósł swój pakunek i obaj mężczyźni posłusznie ruszyli za nią. W sypialni było ciemno i ciepło. Jackie spał słodko z rączką przy buzi i podkurczonymi nóżkami. Kamiński zbliżył się, opierając dłonie na szczebelkach łóżeczka. Słysząc było jedynie stłumione posapywanie dziecka i nieustanny szmer automatycznej piastunki.

– Właściwie nie był głodny – powiedziała Nina. – Ta maszyna – wskazała na piastunkę – dała mu jeść. Po prostu stęsknił się za mną.

Kamiński wyciągnął niepewnie dłoń w stronę dziecka, ale zaraz ją cofnął.

– Wygląda zdrowo – powiedział z zakłopotaniem. – Jest całkiem podobny do ciebie, Dough. Ma twoje czoło. Ale włosy ma po Ninie.

– Tak – przyznał Cussick. – Będzie miał ładne włosy.

– Jakiego koloru ma oczy?

– Niebieskie. Jak Nina. To doskonały okaz istoty ludzkiej: mój potężny intelekt i jej uroda. – Objął żonę ramieniem i uściśnął mocno.

Kamiński przygryzł wargi.

– Zastanawiam się, jak będzie wyglądał świat, kiedy on dorośnie – powiedział półgłosem. – Czy nie będzie biegał wśród ruin z karabinem w garści i opaską na ramieniu... wykrzykując jakieś hasła.

Nina odwróciła się gwałtownie i wyszła z sypialni. Kiedy ruszyli za nią, stała już w drzwiach salonu, w płaszczu, z torebką pod pachą, nerwowo mocując się z rękawiczkami.

– Gotowi? – zapytała urywanym głosem. Spiczastym czubkiem buta popchnęła drzwi, otwierając je na oścież. – Więc chodźmy. Zabierzemy tę dziewczynę Maksa i w drogę.

## Rozdział dziewiąty

Dziewczyna czekała spokojnie przy jednym z policyjnych budynków. Kamiński polecił taksówce zatrzymać się na pogrążonym w ciemnościach podjeździe. Wysiadł szybko i ruszył nie oświetlonym chodnikiem w stronę długiego betonowego pawilonu. Po chwili wrócił z niewysoką, poważną młodą kobietą. Do tego czasu zdążył już sobie przypomnieć jej imię.

– Tyler – mruknął, pomagając jej wsiąść do taksówki – to są Dough i Nina Cussick. Tyler Fleming – dokończył, wskazując na dziewczynę.

– Cześć – powiedziała matowym głosem Tyler, odwracając się do nich z nieśmiałym uśmiechem. Miała wielkie, ciemne oczy, krótko ścięte kruczoczarne włosy i lekko opaloną twarz o gładkiej skórze. Była bardzo szczupła, niemal chuda. Jej młodzieńcze, nie uformowane jeszcze ciało okrywała prosta wieczorowa sukienka.

Nina przyjrzała się krytycznie dziewczynie.

– Już cię gdzieś widziałam – odezwała się. – Pracujesz w bezpieczeństwie?

– W dochodzeniówce – odparła Tyler niemal niesłyszalnym szeptem. – Jestem w Służbie Bezpieczeństwa dopiero od paru miesięcy.

– Dasz sobie radę – stwierdziła Nina, dając taksówce sygnał do odlotu. Pojazd natychmiast wzbił się w powietrze. Nina z rozdrażnieniem dźgnęła zamontowany przy podłokietniku przełącznik prędkości. – Już prawie pierwsza – wyjaśniła. – Jeśli się nie pospieszymy, nic nie zobaczymy.

– Co mamy zobaczyć? – zapytał z niepokojem Cussick. Kierowana wskazówkami Niny, taksówka wysadziła ich w dzielnicy Northbeach San Francisco. Cussick wrzucił do automatycznego taksometru dziewięćdziesiąt dolarów drobnymi i taksówka odleciała w ciemność. Na prawo od nich rozciągała się Columbus Avenue, słynąca ze swych barów, spelunek, kabaretów i podejrzanych lokali. Po ulicach krążyły tłumy ludzi. Niebo nad ich głowami kłębiło się od lądujących i startujących dalekobieżnych taksówek. Mrugały wielobarwne reklamy. Wszędzie wkoło jarzyły się świergoczące, rozmigotane okna wystawowe.

Spostrzegłszy, gdzie ściągnęła ich Nina, Cussick poczuł ukłucie strachu. Wiedział, że bywała w San Francisco. Raporty policyjne wspominały o jej obecności w nadzorowanym obszarze Northbeach. Dotychczas brał to jednak za skrytą formę buntu. Nie spodziewał się, że może go zabrać ze sobą. Nina zmierzała już zdecydowanym krokiem ku schodom prowadzącym do podziemnego baru. Wszystko wskazywało na to, że dobrze wie, dokąd idzie.

Dogoniwszy ją, zapytał:

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Zatrzymała się.

– Co masz na myśli?

– To jest jeden z tych obszarów, które wolałbym widzieć w gruzach. Szkoda, że bomby nie załatwiły się z nim raz na zawsze.

– Nic nam nie będzie – zapewniła go protekcjonalnie. – Znam tu paru ludzi.

– Boże święty! – wykrzyknął Kamiński, dopiero teraz zorientowawszy się, gdzie się znajdują. – Jesteśmy blisko nich!

– O kim mówisz? – spytał zaintrygowany Cussick.

Obwisła twarz Kaminskiego zmieniła się w kamienną maskę. Nie powiedział już ani słowa. Położył dłoń na ramieniu Tyler i poprowadził ją ku schodom. Nina zdążyła już zejść kilka stopni. Cussick niechętnie ruszył za nią. Kamiński szedł ostatni, pogrążony w swoim mrocznym świecie, w zamyśleniu mrużąc o tajemnych sprawach znanych jedynie jego znękanemu sumieniu. Tyler, poważna i zrównowazona, ochoczo, bez obawy kroczyła u jego boku. Mimo młodego wieku wydawała się doskonale opanowana. Na jej twarzy nie było śladu zdziwienia.

Podziemie było niesamowicie zatłoczone. Masa ludzka poruszała się i falowała niczym jeden organizm. Nieustanne metaliczne dudnienie rozrywało bębunki. W mętym powietrzu kłębiły się opalizujące smugi dymu, zapach potu i ciągły ludzki ryk. Z sufitu zwisali zrobotyzowani kelnerzy, krążąc to tu, to tam, roznosząc napoje i zbierając puste szklanki.

– Tam! – zawołała Nina, wskazując drogę.

Cussick i Kamiński wymienili spojrzenia. Takie lokale nie były oczywiście nielegalne w ścisłym znaczeniu tego słowa, jednak Służba Bezpieczeństwa chętnie by je zlikwidowała. Region San Francisco Northbeach był solą w oku patroli policyjnych, ostatnią pozostałością przedwojennej dzielnicy nierządu.

Nina usiadła przy niewielkim, wciśniętym pod ścianę drewnianym stoliku. W górze migotała kapryśnie imitacja świeczki. Cussick przyciągnął drewnianą skrzynkę i usadowił się na tym niewygodnym siedzisku. Kamiński mechanicznie odbył cały rytuał poszukiwania krzesła dla Tyler, po czym znalazł następne dla siebie. Pochylił się i położył swoją paczkę na podłodze, opierając ją o nogę stolika. Siedzieli ściśnięci, stykając się łokciami i stopami, spoglądając na siebie ponad kwadratowym, zawilgoconym blatem.

– Cóż – powiedziała wesoło Nina – jesteśmy na miejscu.

Jej głos tonął w zgiełku. Cussick wtulił głowę w ramiona, jak gdyby chciał się odgradzić od nieustannej wrzawy. Duszne powietrze, szaleńcze ruchy ludzi, wszystko to przyprawiało go o mdłości. W szampańskim humorze Niny było coś zawziętego, wyrachowanego. Zastanawiał się, co o tym wszystkim myśli Tyler. Wydawało się, że w ogóle nie myśli. Piękna i opanowana, siedziała uprzejmie uśmiechnięta, rozpinając guziki płaszcza.

– To jest cena, jaką płacimy za Relatywizm – zabrzmiał w jego uchu głos Kaminskiego. – Każdemu według gustu.

Coś z jego słów dotarło do Niny.

– Istotnie – przytaknęła ze sztywnym uśmiechem. – Musicie pozwolić ludziom robić to, na co mają ochotę.

Z sufitu, jak metalowy pajak, zawisł nad nimi robot kelner i Nina zajęła się składaniem zamówienia. Wybrała z menu doustną porcję heroiny, po czym przekazała kartę mężowi.

Oniemiały z wrażenia Cussick patrzył, jak robot kładzie przed nią celofanowe opakowanie białych kapsułek.

– Bierzesz to? – zapytał.

– Od czasu do czasu – odparła wymijająco, rozrywając ostrymi paznokciami folię.

Cussick, wstrząśnięty, zamówił dla siebie marihuanę. Kamiński zrobił to samo. Tyler z zainteresowaniem przeglądała menu; w końcu zdecydowała się na narkotyzowany likier o nazwie Artemizja. Cussick poprosił od razu o rachunek i kelner, dostarczywszy zamówienie, przyjął pieniądze, po czym zniknął.

Nina patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Heroina zaczynała już działać. Oddychała płytko, kurczowo zaciskając splecione dłonie. Na jej szyi lekko połyskiwał pot. Kropla po kropli spływał do zagłębienia obojczyka, parując w ciepłe sali. Cussick wiedział, że zgodnie z policyjnymi zarządzeniami narkotyk został poważnie rozcieńczony. Mimo wszystko wciąż był to silnie działający środek. Cussick wyczuwał niemal niewidoczne, rytmiczne poruszenia ciała żony. Kołysała się w przód i w tył do jakiejś niesłyszalnej dla innych, urojonej melodii.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Skórę miała zimną, twardą, kredowobiałą.

– Kochanie – powiedział łagodnie. Z wysiłkiem skupiła na nim wzrok.

– Cześć – odparła nieco smętnie. – Jak się masz?

– Czy naprawdę aż tak bardzo nas nienawidzisz?

Uśmiechnęła się.

– Nie was. Nas. Nas wszystkich.

– Dlaczego?

– Cóż – powiedziała dalekim, obojętnym głosem, z nadludzkim wysiłkiem koncentrując się na wypowiedzianych słowach – to po prostu wydaje się tak cholernie beznadziejne. Wszystko jest... tak

jak mówił Max. Nic się nie liczy. Żyjemy jak w odrętwieniu.

Kamiński, zeszywniały, udając, że nie słyszy, udając, że nie słucha, chłonał ze zgrozą i bólem każde jej słowo.

– Chodzi mi o to – mówiła – że była ta cała wojna, a teraz mamy to, co mamy. I Jackie też. Po co? Dokąd możemy pójść? Do czego możemy, dążyć? Nie pozwala nam się już nawet na romantyczne złudzenia. Nie wolno nam nawet okłamywać siebie samych. Jeśli nie słuchamy... – uśmiechnęła się bez złośliwości – zamyka się nas w obozach pracy.

– Mamy Jonesa... trąbę powietrzną, która porywa nas wszystkich – odpowiedział jej Kamiński. To właśnie jest największą wadą naszego świata... dopuścił, by pojawiła się na nim bestia.

Tyler w milczeniu sączyła koktajl.

– Co teraz? – zapytała Nina. – Nie możecie ocalić swego świata... zdajecie sobie sprawę, że to koniec. Pojawił się Jones. Musicie go uznać. On jest przyszłością. Wszystko jest splecione, powiązane, wymieszane. Nie możecie mieć jednego bez drugiego... wasz świat nie ma własnej, osobnej przyszłości.

– Jones zabije nas wszystkich – powiedział Kamiński.

– Ale to przynajmniej będzie miało jakiś sens. Będziemy działać. – Głos Niny jakby odpływał. – To będzie miało cel. Będziemy do czegoś dążyć, tak jak dawniej.

– Pusty idealizm – odezwał się smutno Cussick.

Nina nie odpowiedziała. Zniknęła w swym wewnętrznym świecie. Jej twarz straciła wszelki wyraz, zmieniała się w bezosobową maskę.

Przy estradzie w tylnej części sali zaczął się ruch. Była pora na conocny spektakl – specjalność lokalu. Bywalcy obrócili się ku scenie. Tarasujący dół schodów tłumek wyciągał szyje. Zrezygnowany Cussick obojętnie przyglądał się temu wszystkiemu, dłoń wciąż trzymał na dłoni żony.

Na estradzie pojawiły się dwie postacie, mężczyzna i kobieta. Uśmiechnęli się do widowni, po czym zdjęli ubrania. Cussickowi stanął przed oczyma dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył Jonesa, ów dzień u progu wiosny, kiedy brnąc w grząskiej, czarnej ziemi, szedł na jarmark. Tamtego pogodnego kwietniowego dnia ujrzał całą galerię potworów, anomalii i mutantów, pokłosa wojny. Nagle otoczyły go wspomnienia, mieszanina tęsknoty za obiecującą młodością, mglistymi ambicjami i idealizmem tamtych lat.

Na scenie dwójka aktorów, profesjonaliści o zwinnych ciałach, zaczęli odbywać stosunek. W ich wykonaniu akt ów stawał się rytuałem: tylekroć powtarzany, przeistoczył się w ciąg tanecznych ruchów, pozbawionych napięcia i napięcia. Po chwili, jakby dla urozmaicenia, mężczyzna zaczął zmieniać płęć. Wkrótce przed publicznością falowały wspólnym rytmem dwie kobiety. Później, gdy występ miał się ku końcowi, postać, która rozpoczynała jako kobieta, zmieniała się w mężczyznę. I wszystko zakończyło się tak, jak się zaczęło: spokojną kopulacją kobiety

i mężczyzny.

– Niezłe – przyznał Kamiński, gdy aktorzy ubrali się, ukłonili i zeszli ze sceny. Zamienili się strojami: efekt końcowy był obezwładniający. Sala gruchnęła salwą szczerego aplauzu: tych dwoje było prawdziwymi artystami. – Pamiętam, kiedy pierwszy raz widziałem hermafrodytów w akcji. Teraz wydaje mi się to po prostu jeszcze jednym... – szukał właściwych słów – ...jeszcze jednym przykładem Relatywizmu w praktyce.

Przez chwilę cała czwórka siedziała bez słowa. W końcu Tyler przełamała milczenie.

– Zastanawiam się, jak daleko możemy się posunąć – powiedziała.

– Myślę, że już zaszliśmy tak daleko, jak się dało – odparł Cussick. – Teraz możemy tylko mieć nadzieję, że się utrzymamy.

– Sądysz, że posunęliśmy się za daleko? – zapytał płacząco Kamiński.

– Nie – powiedział stanowczo Cussick. – Postępujemy słusznie. W tej chwili postępujemy słusznie. Takie stwierdzenie to paradoks, sprzeczność, przestępstwo. A jednak racja jest po naszej stronie. Musimy w to wierzyć, choćby skrycie, potajemnie. – Jego palce zacisnęły się kurczowo na zimnej dłoni żony. – Musimy próbować ocalić nasz świat przed rozpadem.

– Może jest już za późno – powiedział Kamiński.

– Tak – odezwała się nagle Nina. – Już za późno. – Wyrwała palce z uścisku męża. Jej usta poruszały się spazmatycznie. Szczękając zębami, z rozszerzonymi źrenicami, zgięła się wpół. – Proszę, kochanie...

Cussick wstał. Tyler także podniosła się z krzesła.

– Ja się nią zajmę – powiedziała, obchodząc stolik, by dostać się do Niny. – Gdzie jest damska toaleta?

– Dzięki – powiedział Kamiński, biorąc papierosa od Cussicka. Kobiety jeszcze nie wróciły. Zapalając, napomknął: – Słyszałeś pewnie, że Jones napisał książkę.

– Coś innego niż broszury Zjednoczonych Patriotów?

Kamiński podniósł z podłogi swój owinięty w szary papier pakunek. Rozwinął go ostrożnie.

– To podsumowanie. Ma tytuł *Walka moralna*. Zawiera cały jego program: do czego naprawdę dąży, co popiera. Mitologia ruchu. – Położył opasyły tom na środku stolika i przewertował stronicę.

– Czytałeś to? – zapytał Cussick, przeglądając pobieżnie.

– Nie do końca. To nie jest całość. Jones wciąż jeszcze ją wygłasza. Jest spisywana z jego przemówień... ciągle rośnie.



– O co ci chodziło, kiedy mówiłeś, że jesteśmy blisko nich? – zapytał Cussick – Kogo miałeś na myśli?

Na twarzy starszego mężczyzny pojawił się dziwny, nieprzenikniony wyraz. Zawinał książkę w papier.

– Nie przypominam sobie, żebym powiedział coś takiego.

– Kiedy tu wchodziliśmy.

Kamiński udawał całkowicie zaabsorbowanego swoją paczką. W końcu odłożył ją z powrotem na podłogę, opierając o nogę stolika.

– Któregoś dnia może zostaniesz w to wtajemniczony. Ale jeszcze nie teraz.

– Możesz powiedzieć mi coś bliższego?

– Nie. Naprawdę nie mogę. To ważna sprawa. Ciągnie się już od jakiegoś czasu. Oczywiście dotyczy tego rejonu. Oczywiście jest z nią powiązane sporo osób.

– Jones wie?

Kamiński wzdrygnął się.

– Boże broń. Jasne, to możliwe. Czyż on nie wie wszystkiego? Tak czy inaczej, nie może nic zrobić... nie ma żadnej legalnej władzy.

– A więc ta sprawa podlega Rządowi Federalnemu.

– Tak, właśnie. – Kamiński ponuro skinął głową. – Rząd jeszcze się trzyma. Próbuje ostatnich sztuczek, zanim się rozsypie.

– Widzę, że niezbyt wierzysz w powodzenie.

– Naprawdę robię takie wrażenie? Walczymy przecież tylko ze zwykłym prorokiem... powinniśmy się z tym uporać. Prorocy bywali już wcześniej. W Nowym Testamencie jest ich pełno.

– Co masz na myśli? Tam jest Jan Chrzciciel. O niego ci chodzi?

– Chodzi mi o Tego, którego Jan przepowiedział.

– Bredzisz.

– Nie, powtarzam tylko. Słyszałem taką gadkę. Powtórne Przyjście... ostatecznie On ma kiedyś powrócić. A świat z całą pewnością potrzebuje go właśnie teraz.

– Ale to stawia dryftery w roli... – Cussick skrzywił się. – Jak to się nazywa?

– Piekielne Zastępy – wydmuchując kłęby szarego dymu, Kamiński ciągnął: – Legiony Szatana. Siły Zła.

– W takim razie cofamy się nawet nie o sto lat, ale o tysiąc.

– Może nie będzie tak źle. Dryftery to nie ludzie. To bezrozumne gluty. Przyjmijmy najgorszy wariant: założmy, że Jones rozpęta wojnę. Wykańczamy dryftery tu, na Ziemi, potem zabieramy się do czyszczenia planet, jedna po drugiej. Później... – Kamiński machnął dłonią – ruszamy do gwiazd. W brzuchatych okrętach. Ścigamy to tałatajstwo, tępimy całą populację. Dobrze. Co potem? Wroga już nie ma. Gatunek gigantycznych ameb przestaje istnieć. Co w tym właściwie złego? Próbuję tylko dociec, jakie to niesie korzyści. Znajdziemy się poza Układem Słonecznym. A w tej chwili, bez bodźca, bez nienawiści, bez poczucia walki z wrogiem po prostu siedzimy beczynnie.

– Mówisz to samo co Jones – zauważył Cussick.

– Oczywiście.

– Chcesz, żebym ci wskazał, gdzie popełniłeś błąd? Niebezpieczeństwo nie tkwi w samej wojnie. Tkwi w postawie, która umożliwia wojnę. Aby walczyć, musimy wierzyć, że my jesteśmy cacy, a oni są be. Biel przeciwko czerni, dobro przeciwko złu. Dryftery nie mają z tym nic wspólnego. One są tylko pretekstem.

– Nie zgodziłbym się z tobą pod jednym względem – powiedział zdecydowanie Kamiński. – Uważasz, że wojna jako taka nie kryje w sobie niebezpieczeństwa, prawda?

– Oczywiście – odparł Cussick. Nagle jednak stracił pewność. – Co może nam zrobić prymitywna, jednokomórkowa bryła protoplazmy?

– Nie wiem. Ale nigdy nie toczyliśmy wojny z istotami pozaziemskimi. Nie chciałbym tego ryzykować. Pamiętaj, że wciąż nie wiemy, czym one są. Wkrótce możemy się zdziwić. Zdziwić się albo nawet gorzej. Możemy się przekonać na własnej skórze.

Klucząc między gęsto upchanymi stolikami, Tyler i Nina wróciły na swoje miejsca. Błada i osłabiona, ale w pełni już panująca nad sobą, Nina usiadła ze splecionymi dłońmi, kierując wzrok na estradę.

– Nie ma ich już? – spytała słabym szeptem.

– Zastanawiałyśmy się – powiedziała Tyler – jak to jest z tymi hermafrodytami. To znaczy, kiedy byłyśmy w toalecie, jedno z nich mogłoby akurat wejść, a my nie wiedziałybyśmy, czy się tym zgorszyć, czy nie. – Eleganckim ruchem uniosła szklankę do warg. – Kręciło się tam wiele dziwnych kobiet, ale hermafrodytów wśród nich nie było.

– Jeden jest tam – powiedziała drżącym głosem Nina. – Koło szafy grającej.

Jeden z tancerzy, ten, który zaczynał jako chłopak, stał oparty o kanciastą metalową skrzynię urządzenia. Wciąż był kobietą, tak jak zakończył występ. Szczupły, z krótkimi rudoblond włosami,

ubrany w spódnicę, bluzkę i sandały, stanowił idealny obraz obojnaka. Jego gładka, bezpłciowa twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Wyglądał na nieco zmęczonego, nic więcej.

– Poproś ją, żeby podeszła – powiedziała Nina, dotykając ramienia męża.

– Nie ma miejsca – odparł stanowczo Cussick. Nie chciał mieć nic do czynienia z tym stworzeniem. – I nie idź do niej – dodał. Nina opadła na krzesło. – Zostajesz tutaj.

Nina rzuciła mu krótkie, zwierzęce spojrzenie, ale uspokoiła się.

– Wciąż jeszcze tak się czujesz, prawda?

– To znaczy jak?

– Wyluzuj się. – Patrzył, jak jej dłonie błądzą niespokojnie po blacie stolika. – Może zamówimy coś do picia? Mam ochotę na koniak.

Gdy drinki znalazły się przed nimi, Nina wzniosła toast.

– Wypijmy za... – zaczęła. Pozostałe szklanki poszły w górę i trąciły się z cichym brzękiem. – Za lepszy świat.

– Boże – powiedział Kamiński ze znużeniem. – Nie cierpię takiego gadania.

– Dlaczego? – zapytała, lekko rozbawiona.

– Dlatego, że to nic nie znaczy. – Kamiński siedział przygarbiony, ze spuszczoną głową, zmagając się ze szklanką whisky z sokiem cytrynowym. – Kto by nie chciał lepszego świata?

– Czy to prawda – odezwała się po dłuższej chwili Tyler – że wysłano zwiadowców na Proximę Centauri?

Kamiński skinął głową.

– Prawda.

– Są jakieś rezultaty?

– Dane nie zostały jeszcze przeanalizowane.

– Innymi słowy, nic wartościowego – stwierdziła Tyler. Kamiński wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć?

– Jones – mruknęła Nina.

– Więc go zapytaj. Albo poczekaj na oficjalny komunikat. Nie zwracaj mi tym głowy.

- Co to za sprawa z Pearsonem? – zapytał Cussick, aby zmienić temat. – Słyszałem plotki, że pracuje dniami i nocami, gromadzi ludzi, organizuje jakieś projekty...
- Pearson jest zdecydowany powstrzymać Jonesa – odparł obojętnie Kamiński. – Uważa, że to da się zrobić.
- Ale jeśli my sami staniemy się tak fanatyczni jak on...
- Pearson jest nawet gorszy. On je, śpi, myśli, żyje Jonesem. Nie zna spoczynku. Za każdym razem, kiedy idę do jego skrzydła, widzę kręcący się batalion szturmowy: karabiny, czołgi, rakiety.
- Myślisz, że to coś da?
- Kochanie, nie widzisz w tym nic pozytywnego? – powiedziała Nina, ważąc każde słowo.
- Na przykład co?
- Chodzi mi o to, że mamy człowieka ze wspaniałym talentem... on potrafi coś, czego my nigdy dotąd nie robiliśmy. Nie musimy już zgadywać. Wiemy. Możemy być pewni, dokąd zmierzamy.
- Ja lubię zgadywać – odparł twardo Cussick.
- Naprawdę? Może w tym właśnie tkwi problem... może nie zdajesz sobie sprawy, że większość ludzi chce pewności. Odrzuciliście Jonesa. Dlaczego? Ponieważ wasz system, wasz rząd opiera się na niewiedzy, na domysłach. Zakłada, że nikt nie może nic wiedzieć na pewno. – Uniosła chłodne niebieskie oczy. – Ale teraz możemy już wiedzieć. Tak więc w pewnym sensie wypadliście z obiegu.
- Cóż – powiedziała z rozbawieniem Tyler – w takim razie jestem bez pracy.
- Co robiłaś, zanim trafiłaś do Służby Bezpieczeństwa? – spytał ją Cussick.
- Nic. To moja pierwsza praca. Mam dopiero siedemnaście lat. Czuję się trochę nie na miejscu wśród was... jestem taka niedoświadczona.
- Mogę powiedzieć ci jedno – powiedział Kamiński, wskazując jej szklanekę. – Ta piołunówka wyżre ci układ nerwowy. Atakuje górne zwoje rdzeniowe.
- Ach, nie – uspokoiła go Tyler. – Jestem na to uodporniona. – Dotknęła swojej torebki. – Pod tym względem polegam na syntetycznym neutralizerze. Inaczej bym tego nie brała.
- Szacunek Cussicka do niej wzrósł o kolejny punkt.
- Z jakiej części świata pochodzisz? – zapytał ciekawie.
- Urodziłam się w Chinach. Mój ojciec był urzędnikiem politycznym w sekretariacie kueipińskiej organizacji Komunistycznej Partii Chin.

– A więc urodziłaś się po tamtej stronie barykady – zdumiał się Cussick. – Wychowywałaś się wśród, jak to ich nazywaliśmy... – wykrzywił usta – Żydów, ateistów i komunistów.

– Mój ojciec był oddanym pracownikiem Partii. Całym sercem i duszą walczył przeciwko muzułmańskiemu i chrześcijańskiemu fanatyzmowi. Wychowywał mnie. Moją matkę zabiła broń bakteryjna. Nie miała stanowiska, więc nie przyznano jej miejsca w schronie. Mieszkałam z ojcem w biurach Partii, parę kilometrów pod ziemią. Siedzieliśmy tam aż do zakończenia działań wojennych. To znaczy ja siedziałam – poprawiła się. – Ojciec pod koniec wojny został rozstrzelany z rozkazu Partii.

– Za co?

– Za odstępstwo. Książka Hoffa krążyła także na naszych terenach. Ojciec i ja odbijaliśmy ręcznie jej fragmenty... rozprowadzaliśmy je między pracownikami Partii. To było jak objawienie. Wielu z nas nigdy wcześniej nie słyszało o systemie wielowartościowym. Pogląd, że wszyscy jednocześnie mogą mieć rację, że każdy ma prawo żyć po swojemu, był dla nas wstrząsem. Jego pojęcie osobistego stylu życia... w tym było coś ekscytującego. Ani dogmat religijny, ani antyreligijny. Koniec sporów o to, która interpretacja świętych tekstów jest poprawna. Koniec z sektami, odłamami, frakcjami. Koniec ze stosami i więzieniami dla heretyków.

– Nie jesteś Chinką – zauważyła Nina.

– Nie, jestem Angielką. Moi rodzice byli anglikańskimi misjonarzami, zanim przekonali się do komunizmu. W Chinach istniała cała wspólnota angielskich komunistów.

– Wiele pamiętasz z wojny? – zapytał Kamiński.

– Prawie nic. Ataki chrześcijańskich oddziałów z Formozy... głównie drukowanie po nocach, potajemną dystrybucję.

– Jak udało ci się wyjść z tego cało? – zainteresował się Cussick. – Dlaczego nie rozstrzelali cię razem z ojcem?

– Miałam wtedy osiem lat... byłam za mała, by mnie rozstrzelać. Zaadoptował mnie jeden z szefów Partii, bardzo miły starszy Chińczyk, który nadal czytał Lao-cy i miał inkrustowane złotem zęby. Byłam wychowanką KPCh, kiedy wojna się skończyła i aparat partyjny przestał istnieć. – Pokręciła głową. – To było takie marnotrawstwo... wojny tak łatwo można było uniknąć. Gdyby tylko ludzie byli choć trochę mniej fanatyczni.

Nina podniosła się.

– Kochanie – powiedziała do męża – mógłbyś zrobić coś dla mnie? Chciałabym zatańczyć.

Fragment zatłoczonej sali pozostawiono dla tańczących. Kilka par kołysało się mechanicznie w przód i w tył.

– Naprawdę masz na to ochotę? – zapytał ostrożnie Cussick, wstając od stolika. – Może przez minutę.

– To uroczą dziewczyna – powiedziała Nina sztywno, gdy we dwójkę torowali sobie drogę na zapchany parkiet.

– Ciekawa była ta jej historia o rozprowadzaniu materiałów Hoffa wśród urzędników partii.

Niespodzianie Nina przywarła do męża.

– Chciałabym... – Jej głos załamał się boleśnie. – Czy to możliwe, żebyśmy mogli wrócić?

– Wrócić? – zdziwił się. – Dokąd?

– Tam, gdzie byliśmy. Do czasów bez nieustannych kłótni. Tak bardzo oddaliliśmy się od siebie. Nie potrafimy się już porozumieć.

Przytulił żonę mocno. Była tak zaskakująco krucha w jego dłoniach.

– To przez tę cholerną sprawę... któregoś dnia to się skończy i znów będziemy razem, jak dawniej.

Nina błagalnie uniosła wzrok.

– Czy to musi się skończyć? Czy koniecznie trzeba się tego pozbyć? Nie możemy tego zaakceptować?

– Nie – powiedział. – Ja nigdy tego nie zaakceptuję. Jej ostre paznokcie wbiły się w bezsilnej złości w jego plecy. Na moment oparła głowę na jego ramieniu. Burza jasnych włosów musnęła mu twarz. Jego nozdrza wypełnił znajomy zapach: słodka woń jej ciała, ciepło jej włosów. Wszystko to, gładkość jej nagich ramion, jedwab jej sukni, lekki połysk potu na górnej wardze... Szorstko przygarnął ją do siebie, tuląc tęsknie w milczeniu. Po chwili uniosła głowę. Uśmiechnęła się niepewnie i pocałowała go w usta.

– Spróbujemy – powiedziała łagodnie. – Zrobimy, co w naszej mocy. Prawda?

– Oczywiście – odparł. Naprawdę szczerze tego pragnął. – To jest zbyt ważne... nie możemy dopuścić, by życie w taki sposób przeciekło nam przez palce. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy Jacka... – Jego palce mocno objęły jej kark, unosząc strumień gęstych włosów. – Nie chcemy przecież zostawić go sępom.

## Rozdział dziesiąty

Po tańcu odprowadził ją do stolika, ściskając mocno jej drobne palce, dopóki nie usiedli. Kamiński, półprzytomny, zwisał z krzesła, mrucząc coś niewyraźnie chrapliwym głosem. Tyler siedziała elegancko wyprostowana. Skończyła drinka i zamówiła następnego.

– Następna kolejka? – zapytała z wymuszoną wesołością Nina. Przywołała kelnera i ponowiła zamówienie. – Max, wyglądasz, jakbyś miał zamiar umrzeć na naszych oczach.

Kamiński z wysiłkiem uniósł rozczochną głowę.

– Madame – odparł – dopomóż człowiekowi.

Robiło się późno. Lokal zaczynał pustoszeć. Na estradzie znów pojawili się tancerze, rozebrali się i jeszcze raz wykonali swój numer. Cussick ledwie zwrócił na to uwagę. Zatopiony w ponurych myślach, siedział, sącząc machinalnie trunk. Pomruk głosów, gęsta nieprzejrzystość powietrza docierały do jego świadomości jak przez mgłę. Kiedy taniec dobiegł końca, większość gości wstała i zaczęła przepychać się do wyjścia. Od strony schodów wdarł się do wnętrza podmuch lodowatego rannego powietrza, dosięgając ludzi siedzących wciąż jeszcze przy stolikach.

– Już późno – powiedział Cussick. Po twarzy Niny przemknął lęk.

– Jeszcze nie zamykają – zaprotestowała gwałtownie. – A tylna część jest czynna na okrągło. Zatańcz ze mną jeszcze raz przed wyjściem.

Cussick pokręcił głową.

– Przykro mi, kochanie. Chyba bym się przewrócił.

Nina podniosła się.

– Max, zatańczysz ze mną?

– Oczywiście – odparł Kamiński. – Dla ciebie wszystko. Cieszymy się czasem, który nam pozostał. – Ująwszy niezgrabnie jej ramię, na wpół poprowadził, na wpół pociągnął ją przez opuszczający lokal tłum na środek sali. Kołysało się tam kilka przepitych par. Dwaj hermafrodyty, obydwaj w żeńskiej postaci, tańczyli spokojnie z klientami. Po chwili, znudzeni tym, zmienili płęć i ruszyli między stoliki w poszukiwaniu partnerek.

Cussick odezwał się:

– Ciekawe, czy oni nad tym panują?

Tyler pociągnęła łyk ze szklanki.

– Prawdopodobnie tak. To swego rodzaju sztuka.

– To niemoralne.

Światła gaśły jedno za drugim. Gdy Cussick ponownie uniósł wzrok, zobaczył, że Kamiński znów siedzi bezwładnie przy stoliku. Gdzie w takim razie była Nina? Przez chwilę nie mógł jej dostrzec. W końcu rozpoznał znajome jasne włosy. Tańczyła z jednym z hermafrodytów. Na jej twarzy zastygło rozpaczliwe podniecenie. Otaczając ją ramieniem, smukły młody człowiek prowadził ją wprawnie i beznamiętnie.

Zanim Cussick zorientował się, co robi, był już na nogach.

– Zaczekaj tu – powiedział do Tyler.

Podnosząc torebkę i płaszcz, dziewczyna ruszyła za nim.

– Lepiej się nie rozłączajmy.

Ale Cussick myślał teraz tylko o Ninie. Widział, jak odchodzi, trzymając się z hermafrodytą za rękę, w stronę, gdzie, jak podpowiadał mu instynkt, znajdowało się wejście do wciąż czynnych pomieszczeń na tyłach. Rozpychając na boki kilka wałęsających się par, pospieszył za nimi. Przez chwilę brnął w zupełnych ciemnościach, aż znalazł się w opustoszałym korytarzu. Schylił głowę i dalej pobiegł. Za zakrętem stanął jak wryty.

Nina, ze szklanką w dłoni, stała oparta o ścianę, pochłonięta rozmową z hermafrodytą. Jej jasne włosy kłębiły się w nieładzie. Opadała ze zmęczenia, lecz jej oczy wciąż lśniły jasnym, gorączkowym blaskiem.

Zbliżył się do niej.

– Chodź, kochanie – odezwał się. – Musimy iść. – Mgliście zdawał sobie sprawę, że Tyler i Kamiński są w pobliżu.

– Idź sam – odparła nienaturalnym, metalicznym głosem. – Ruszaj się. Zjeżdżaj.

– A co z tobą? – zapytał, zaszokowany. – Co z Jackiem?

– Do diabła z Jackiem! – wykrzyknęła nagle z bólem w głosie. – Do diabła ze wszystkim... z całym tym waszym światem! Ja nie wracam. Zostaję tutaj. Jeżeli chcesz być ze mną, to na miłość boską zostań przy mnie.

Hermafrodyta spojrział na Cussicka.

– Pilnuj własnego nosa, kolego – powiedział. – W tym świecie każdy robi to, na co ma ochotę.

Cussick wyciągnął rękę, chwycił go za koszulę i podniósł. Hermafrodyta okazał się zdumiewająco lekki. Szarpał się i wykręcał, aż wreszcie wyslizgnął mu się z rąk. Cofając się o krok,



zmienił się w kobietę. Z drwiącym błyskiem w oku drażnił się z nim, odskakując i przyskakując do niego w bezpiecznej odległości.

– No, dalej – dyszał. – Uderz mnie.

Nina odwróciła się i ruszyła korytarzem. Hermafrodyta, widząc to, skwapliwie pospieszył za nią. Gdy kierował się ku bocznym drzwiom, przyskoczyła do niego Tyler. Wprawnym ruchem obróciła go ku sobie i gwałtownie wykręciła mu ramię w paraliżującym uścisku. Hermafrodyta natychmiast przeistoczył się w mężczyznę. Cussick zrobił krok w tył i uderzył go z całej siły w szczękę. Nie wydawszy nawet jęku, obojnak osunął się nieprzytomny na ziemię. Tyler zwolniła uścisk.

– Poszła sobie – powiedział Kamiński, z trudem utrzymując się na nogach. Wokół nich zaczęli zbierać się ludzie. Pojawił się też partner hermafrodyty. Przerażony, załamał ręce i z lękiem opadł na kolana przy swym bezwładnym towarzysz.

Tyler rozejrzała się dookoła.

– Ona dobrze zna to miejsce – powiedziała szybko do Cussicka. – Jeśli chcesz, żeby wyszła stąd z tobą, musisz ją do tego namówić. – Pchnęła go ponagląco. – No, ruszaj.

Znalazł ją niemal natychmiast. Przemknęła się z korytarza do jednego z bocznych pomieszczeń, które okazało się ślepą uliczką. Tam odciął jej drogę, zatrzasnął i zaryglował jedyne drzwi. Nina skuliła się w kącie, drobna i drżąca, niemo unosząc ku niemu rozszerzone strachem oczy.

Pokój był prosty, klinicznie czysty i ascetycznie surowy. Zasłony, rozmieszczenie mebli, wszystko to zdradziło mu bolesną prawdę. Tylko Nina mogła urządzić to wnętrze. To był jej pokój. Każdy jego cal nosił na sobie jej wyraźne piętno.

Za drzwi wciąż dobiegała wrzawa. Ponad inne głosy wybił się ochryply ryk Kaminskiego:

– Dough, jesteś tam?!

Cussick wyjrzał na korytarz.

– Znalazłem ją. Wszystko w porządku.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała Tyler.

– Zostaję tutaj. Wy dwoje lepiej idźcie. Traficie do wyjścia?

– Na pewno – odparła Tyler ze zrozumieniem. Podtrzymując Kaminskiego, odciągnęła go. – Powodzenia. Chodź, Max. Nic tu po nas.

– Dzięki – powiedział Cussick, stojąc twardo w progu. – Zobaczę się z wami później.

Kamiński, zdezorientowany, opornie wycofywał się pod naciskiem szczupłej dziewczyny, która

silną dłonią trzymała go za ramię.

– Zadzwoń do mnie – wymamrotał – kiedy wrócisz, jak już stąd wyjdiesz. Żebym wiedział, że nic ci nie jest.

– Dobrze – zapewnił Cussick. – Nie zapomnij o swojej paczce. – Stał, patrząc za nimi, dopóki nie zniknęli w głębi korytarza. Odwrócił się.

Nina siedziała na łóżku po turecku, z głową opartą o ścianę. Uśmiechnęła się słabo do niego.

– Cześć – powiedziała.

– Lepiej ci? – Pchnął zasuwę w drzwiach i podszedł do niej. – Powiedziałem im, żeby sobie poszli. – Usiadł na skraju łóżka. – To twój pokój, prawda?

– Tak – odparła, unikając jego wzroku.

– Od jak dawna?

– Och, niedługo. Jakiś tydzień. Może dziesięć dni.

– Nic z tego nie rozumiem. Podoba ci się tutaj, w tym towarzystwie?

– Chciałam się wyrwać. Nie mogłam znieść tego naszego cholernego małego mieszkania... Chciałam mieć coś własnego, czymś się zająć. To tak trudno wytłumaczyć. Sama nie do końca to rozumiem. To trochę jak kradzież... po prostu poczułam, że muszę się zbuntować.

– Więc to dlatego przyprowadziłaś nas tutaj. To wszystko nic nie znaczyło, dopóki nie wiedział o tym nikt oprócz ciebie.

– Tak przypuszczam. Tak, chyba masz rację. Chciałam, żebyś to zobaczył, żebyś się dowiedział. Żebyś widział, że mam dokąd pójść... że nie jestem zależna tylko od ciebie, bezradna, przywiązana do twojego świata. Tam, w barze, przestraszyłam się... wzięłam heroinę, żeby dodać sobie odwagi. – Uśmiechnęła się lekko. – To wszystko takie zagmatwane.

Pochylił się nad nią, ujmując jej dłonie. Skórę miała zimną i lekko wilgotną.

– Teraz się nie boisz, prawda?

– Nie – wydusiła z trudem. – Nie przy tobie.

– Zostaniemy tu na noc. Tego chcesz?

Skinęła głową ze smutkiem.

– A rano wrócimy do domu?

Krzywiąc się boleśnie, odparła:

– Nie pytaj mnie o to. Nie każ mi odpowiadać. Boję się o tym teraz mówić.

– W porządku. – To bolało, ale nie nalegał. – Możemy zdecydować jutro. Najpierw wyśpimy się i zjemy śniadanie. I wyrzucimy z siebie te narkotyki. Całe to świństwo... tę truciznę.

Nie było odpowiedzi. Nina zapadła w drzemkę. Rozluźniona, leżała, opierając się o ścianę, z zamkniętymi oczyma i podbródkiem opuszczonym na piersi.

Przez długi czas Cussick siedział bez ruchu. W pokoju stawało się coraz zimniej. Na zewnątrz, w korytarzu, panowała głucha cisza. Jego zegarek wskazywał czwartą trzydzieści. W końcu pochylił się i zsunął jej pantofle z nóg. Ustawił je na podłodze obok łóżka. Po chwili wahania zaczął jej rozpinąć suknię. Trzymała się razem w dość przemyślny sposób. Zajęło mu to trochę czasu. Dwa razy Nina budziła się lekko, przeciągała się i na powrót zapadała w sen. W końcu udało mu się. Ostrożnie ściągnął jej górę sukni przez głowę, przewiesił przez oparcie krzesła, uniósł jej biodra i z trudem zsunął z niej pozostałą część.

Zaskoczyło go, jak w gruncie rzeczy jest drobna. Bez strojnej, drogiej sukni wydawała się niezwykle krucha i bezbronna. Niemożliwością było czuć do niej urazę. Otulił jej ramiona kocem, wtykając brzeg pod brodę. Jej ciężkie jasne włosy rozsypały się po wełnianej tkaninie, szerokie złociste smugi na tle czerwono-czarnej kraty. Odgarnął jej opadające na oczy kosmyki i usiadł obok na łóżku.

Siedział tak, nie wiedząc jak długo, z pustką w głowie, wpatrzony w wypełniające pokój cienie. Nina spała niespokojnie. Od czasu do czasu obracała się, wyginała, wydawała słaby, żalony jęk. W nieprzeniknionych ciemnościach toczyła swe samotne bitwy, bez niego, bez kogokolwiek. W ostatecznym rozrachunku byli od siebie odcięci. Każde z nich cierpiało samotnie.

Było już nad ranem, gdy do jego świadomości dotarł odległy, stłumiony dźwięk: dolatujący gdzieś z daleka hałas. Przez pewien czas nie zwracał na to uwagi. Dźwięk nadaremnie bombardował jego otępiały mózg. Nagle jednak zorientował się, co słyszy. Był to ludzki głos, ochryply i donośny, głos, który znał. Trzęsąc się z zimna, wstał sztywno i ruszył ku drzwiom. Najciszej jak umiał, otworzył je i wyszedł na zimny, pusty korytarz.

Był to głos Jonesa.

Cussick szedł wolno korytarzem. Mijał zamknięte drzwi i boczne przejścia, nie napotkał jednak żywej duszy. Była piąta czterdzieści. Słońce zaczynało się już wyłaniać znad horyzontu. Przez otwarte okno na końcu korytarza dostrzegł w przelocie ponure, szare jak ołów niebo, dalekie i nieprzyjazne. Z każdym jego krokiem głos przybierał na sile. Nagle, za zakrętem, zobaczył przed sobą ogromną halę magazynową.

To nie był Jones, nie we własnej osobie. Słyszał tylko jego nagrany na taśmę głos. Ale jego duch, żywy i okrutny, był tu obecny. Na ustawionych w rzędy krzesłach siedzieli mężczyźni i kobiety,

słuchając w skupieniu. Magazyn wypełniały piętrzące się bele, pudła, wielkie skrzynie. Korytarz zaprowadził go do zupełnie innego budynku. Łączył różne obiekty, rozmaite instytucje. Tu akurat mieściły się składy domu towarowego.

Ściany oklejone były plakatami. Stojąc w drzwiach, słuchając wściekłego, pełnego żaru głosu, Cussick uświadomił sobie, że ma przed sobą salę zebrań. Było to zgromadzenie poranne. Ci ludzie byli robotnikami, spotykającymi się tu przed pracą. Na drugim końcu sali, tam, gdzie grzmiały głośniki, wisiał emblemat Jonesa, dwie skrzyżowane retorty. Wśród słuchających można było dostrzec tu i tam opaski, odznaki i insygnia, a nawet mundury poszczególnych formacji Zjednoczonych Patriotów: grup kobiecych oraz młodzieżowych. W kącie, w hełmach na głowie, stali niedbale dwaj funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa: zebranie nie było tajne. Nigdy nie były tajne. Nie było takiej potrzeby.

Nikt nie przeszkadzał Cussickowi, gdy wycofywał się z powrotem na korytarz. W budynku zaczynała się już krzątanina. Na zewnątrz dudniły silniki załadowywanych i rozładowywanych ciężarówek. Odszukał pokój Niny i wszedł do niego.

Nie spała już. Gdy odwrócił się od drzwi, uniosła głowę, patrząc szeroko otwartymi oczyma.

– Gdzie byłeś? Myślałam...

– Już jestem. Usłyszałem coś. – Ujadanie Jonesa wciąż jeszcze dolatywało z oddali. – Właśnie to.

– Ach, to. – Skinęła głową. – Tak, oni mają zebranie. To ma z tym związek. Z moim pokojem.

– Pracujesz dla nich, prawda?

– To nic ważnego. Po prostu przekładam papiery i adresuję koperty. Wszystko to, co już kiedyś robiłam. Udzielanie informacji. Publicity, chyba tak byś to nazwał.

Siadając na brzegu łóżka, Cussick sięgnął po torebkę żony i otworzył ją. Dokumenty, karty kredytowe, szminka, lusterko, klucze, pieniądze, chusteczka do nosa... wysypał wszystko na łóżko. Nina przyglądała się temu ze spokojem. Uniosła się i oparła na nagim łokciu. Cussick przetrząsał zawartość torebki, aż trafił na to, czego szukał.

– Chciałem sprawdzić stopień i datę – wyjaśnił.

Jej legitymację członkowską wystawiono 17 lutego 2002 roku. Nina należała więc do nich od ośmiu miesięcy, wstąpiła jeszcze przed urodzeniem Jacka. Znane mu oznaczenie kodowe określało ją jako stałego pracownika na dość odpowiedzialnym stanowisku.

– Jesteś w to nieźle zaangażowana – zauważył, zgarniając wszystko z powrotem do torebki. – Kiedy ja pracowałem, ty też nie próżnowałaś.

– Jest wiele do zrobienia – powiedziała cicho. – Poza tym oni potrzebują pieniędzy. Pod tym względem też mogłam im pomóc. Która godzina? Już chyba szósta?

– Jeszcze nie. – Zapalił papierosa. Był zdumiewająco opanowany i trzeźwy. Nie odczuwał żadnych emocji. Być może to przyjdzie później. Być może nie. – Co dalej? – odezwał się. – Chyba jest zbyt wcześnie, żeby stąd wychodzić.

– Chciałabym jeszcze trochę pospać. – Powieki opadły jej na oczy. Ziewnęła, przeciągnęła się, uśmiechnęła się do niego z nadzieją. – Możemy?

– Pewnie. – Zgasił papierosa i zaczął rozwiązywać buty.

– To na swój sposób ekscytujące – powiedziała w zadumie. – Jak przygoda: nas dwoje, zamknięte drzwi, dyskrecja. Nie wydaje ci się? Chodzi mi o to, że to nie jest... nie jest oklepane, rutynowe. – Gdy stał przy łóżku, rozpinając koszulę, ona ciągnęła: – Byłam już tak znudzona, tak cholernie zmęczona robieniem tego samego dzień po dniu. Szare, zwykłe życie. Mężatka z dzieckiem, zapyziała kura domowa. To nie jest życie... nie odnosisz takiego wrażenia? Nie masz ochoty czegoś zrobić?

– Mam swoją pracę.

– Wiem. – Posmutniała.

Wyłączył światło i podszedł do niej. Błade, zimne słońce sączyło się przez żaluzje do ciemnego pokoju. W ostrym świetle rysowały się wyraźnie kontury jej ciała. Odsunęła dla niego koc. Gdy spał, musiała zdjąć resztę ubrania, wyjść z łóżka i starannie powiesić sukienkę do szafy. Jej pantofle, pończochy, bielizna także zniknęły, prawdopodobnie w szufladach toaletki. Przesunęła się, by zrobić mu miejsce, wyciągając pożądliwie ramiona.

– Jak myślisz? – zapytała z napięciem w głosie. – Czy to nie będzie nasz ostatni raz?

– Nie wiem. – Wiedział tylko tyle, że jest zmęczony. Choć łóżko było twarde i wąskie, opadł na nie z przyjemnością. Nina przykryła go i troskliwie wygładziła wełniane koce. – To twoje małe własne łóżeczko? – zapytał z lekką ironią.

– Coś w tym rodzaju... jak w średniowieczu – odparła. – Skromny mały pokój, skromne wąskie łóżko. Jak prycza. Toaletka i stojak na miednicę i dzbanek. Niewinność, ubóstwo, posłuszeństwo... rodzaj duchowego oczyszczenia. Dla mnie. Dla nas wszystkich.

Cussick nie starał się nawet w to wnikać. Zmysłowa, orgiastyczna rozpusta wczorajszego wieczoru, narkotyki, alkohol i występy, zwyrodniałe widowisko – a teraz to. To wszystko nie miało sensu. Ale był w tym jakiś ład, sens wymykający się logice. Była w tym metoda.

Białe ramiona, nagie i piękne, objęły ciasno jego ciało. Nina rozchyliła wargi, przyglądając mu się rozszerzonymi oczyma, topniejąc w miłosnym uścisku.

– Tak – wyszeptała, wpatrując się w jego twarz, próbując przeniknąć wzrokiem do wnętrza, do jego myśli i uczuć. – Tak cholernie mocno cię kocham.

Nie odpowiedział. Dotknął wargami ognistej burzy miodowożłoty włosów, rozsypanych na

poduszce i kocach. Obejmowała go, milcząc, przywierała do niego, próbując zatrzymać go przy sobie. Ale już się wymykał. Odwrócił się na bok i leżał tak przez chwilę, z dłonią na jej szyi, przy jej uchu, muskając palcami jej skórę.

– Proszę – szepnęła żarliwie. – Proszę, nie zostawiaj mnie.

Był jednak bezradny. Odpływał od niej coraz dalej, wciąż dalej, a ona oddalała się od niego. Leżeli nadzy w swoich ramionach, objęci ciasno, a już odlegli od siebie o całe wszechświaty. A tym, co ich rozdzielało, był płynący nieprzerwanie, stłumiony, metaliczny pomruk ludzkiego głosu, który niosł się z daleka, uderzając o ściany, nie kończący się potok słów, gestów, przemówień. Niezmordowany krzyk owładniętego pasją człowieka.

## Rozdział jedenasty

Nowina rozniosła się wkoło. Cussick nie musiał nikogo informować. Wszyscy i tak wiedzieli. Zaledwie miesiąc później, w połowie listopada, zadzwoniła do niego – nieoczekiwanie, bez uprzedzenia – Tyler. Siedział właśnie przy biurku, obłożony raportami i napływającymi wciąż danymi. Połączenia dokonano przez wewnętrzny biurowy wideofon, nie był więc przygotowany na rozmowę.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę – powiedział bez wstępów ruchomy obraz Tyler. Ona także siedziała za biurkiem. Obok jej drobnej postaci w mundurze widać było elektryczną maszynę do pisania i schludnie urządzone gabinet. Z powagą w dużych ciemnych oczach uniosła taśmę, na której przesłano jej dane. – Zobaczyłam, że twoja żona została przerejestrowana: zmieniła nazwisko na panięskie. Jest teraz dla nas Niną Longstren.

– To prawda – potwierdził.

– Chcesz mi opowiedzieć, co się stało? Nie widzieliśmy się od tamtego wieczoru.

– Spotkajmy się gdzieś po pracy – zaproponował. – Gdzie masz ochotę. Ale teraz nie mogę rozmawiać. – Wskazał piętrzący się na biurku stos dokumentów. – Chyba nie muszę tłumaczyć.

Spotkali się na szerokich schodach przed wejściem do głównego gmachu Służby Bezpieczeństwa. Była siódma wieczorem. Lodowate zimowe niebo było czarne jak smoła. Tyler czekała na niego z rękami wciśniętymi w kieszenie ciężkiego, podbitego futrem płaszcza. Krótkie czarne włosy owinęła wełnianą chustą. Wyłoniła się z cienia, gdy schodził po betonowych stopniach. Wokół niej unosił się jak aureola obłok wilgotnego oddechu. Na futrzanym kołnierzu jej płaszcza migotały drobinki lodu.

– Możesz powiedzieć mi tyle, ile chcesz – oznajmiła. – Nie chcę, żebyś pomyślał, że się wtrącam.

Nie było wiele do opowiadania. O jedenastej rano zabrał Ninę do domu. Żadne nie wypowiedziało więcej niż parę słów. Dopiero kiedy znaleźli się w znajomych czterech ścianach, zdali sobie sprawę, jakie to było daremne. Trzy dni później otrzymał wstępne zawiadomienie z urzędu stanu cywilnego: Nina wszczęła proces rozwodowy. Widywał ją jeszcze od czasu do czasu, kiedy wynosiła swoje rzeczy. Nim sprawa została formalnie zakończona, zdążyła już sobie zorganizować mieszkanie.

– Jakie były wasze stosunki? – zapytała Tyler. – Rozstaliście się w zgodzie, prawda?

To było najbardziej bolesne.

– Tak – odparł sztywno. – Rozstaliśmy się w zgodzie. – W ostatni wieczór ich małżeństwa zabrał Ninę na obiad. Nie podpisany dokument rozwodowy spoczywał, złożony we czworo, w jego

kieszeni. Przesiedzieli apatycznie może godzinę w niemal pustej restauracji, po czym odsunęli zastawę stołową i podpisali papiery. To było wszystko. Ich małżeństwo przestało istnieć. Odwiózł ją do hotelu, sprowadził z mieszkania jej rzeczy i zostawił ją tam. Pomysł z hotelem był sprytnym wybiegiem: zgodzili się, że będzie lepiej, jeśli on nie będzie znał jej nowego adresu.

– A Jack? – zapytała Tyler. Zadygotała z zimna i wypuściła w jego stronę kłęb marznącego oddechu. – Co się z nim dzieje?

– Jack trafił do rządowego domu dziecka. Formalnie wciąż jest naszym synem, ale w praktyce nie mamy do niego żadnych praw. Możemy go widywać, kiedy chcemy. Tyle że nie mamy nad nim władzy.

– Czy będziecie mogli go kiedyś wydostać? Nie znam przepisów w tych sprawach.

– Tylko jeżeli złożymy wspólną petycję. Innymi słowy – dodał – jeżeli znów staniemy się małżeństwem.

– Więc teraz zostałeś sam – powiedziała.

– To prawda. Zostałem sam.

Pożegnawszy się z Tyler, odebrał swój samochód z policyjnego parkingu i pojechał przez miasto w stronę domu. Po drodze mijał niezliczone bandy zwolenników Jonesa – Chłopaków Jonesa, jak zaczęto ich już określać. Organizacja na każdym kroku demonstrowała swą rosnącą siłę. W gęstniejącym mroku krążyli demonstranci z transparentami w dłoniach. Gromady jednakowo ubranych postaci o żarliwych, rozpalonych twarzach.

KONIEC Z TYRAŃSKĄ

DOMINACJĄ RELATYWIZMU!

UWOLNIĆ LUDZKIE UMYSŁY!

Inny napis, oświetlony reflektorami jego samochodu:

ROZPUŚCIĆ TERRORYSTYCZNĄ

TAJNĄ POLICJĘ!

ROZWIĄZAĆ KONCENTRACYJNE

OBOZY NIEWOLNICZEJ PRACY!

PRZYWRÓCIĆ WOLNOŚĆ I SWOBODĘ!



Były też hasła prostsze... i najbardziej skuteczne:

## W DROGĘ DO GWIAZD

W ciemnościach co chwila migały podświetlone transparenty. Mimo woli przeszedł go dreszcz. Było w tym jakieś dzikie podniecenie, obłąkana radość, szaleńcze poczucie sensu zrodzone z idei oderwania się od Układu Słonecznego, sięgnięcia gwiazd, nieprzeliczonych światów krążących wokół innych słońc. Cussick nie był tu wyjątkiem. On również tego pragnął.

Utopia. Złoty Wiek. Nie znaleźli ich tu, na Ziemi. Ostatnia wojna uświadomiła im, że to nigdy nie nastąpi. Zwrócili się więc ku innym planetom. Zbudowali romantyczną fikcję, konstrukcję złożoną z miłych kłamstw. Inne planety, mówili, są zielonymi, żyznymi światami o perlących się strumieniach i lesistych wzgórzach. Raj: prastara, odwieczna tęsknota. Jednak znaleźli tam tylko upiorne bryły litej skały, zamrożonego metanu i ani śladu życia – martwe światy krążące w mrocznej, bezdźwięcznej pustce.

Ale zwolennicy Jonesa nie poddali się. Mieli marzenie, mieli wizję. Byli pewni, że druga Ziemia istnieje. Ktoś jednak postanowił przeszkodzić im w jej odkryciu: mieli do czynienia ze spiskiem. Tym kimś na Ziemi był Rząd Federalny. Relatywizm nie pozwalał im rozwinąć skrzydeł. Poza Ziemią były to dryftery. Kiedy Rząd Federalny przestanie istnieć, kiedy dryftery zostaną zniszczone... stara historia. Ziemia obiecana kryjąca się za następnym wzgórzem.

A jednak te rozmarzone, gnające naprzód postacie nie napawały Cussicka odrazą. Czuł dla nich podziw. Byli idealistami. On sam był tylko realistą. I było mu wstyd.

Na każdym rogu ulicy widać było jasno oświetlony stolik z wystawionym szyldem. Przy każdym siedział pracownik Organizacji, zbierając od oczekujących w kolejce ludzi podpisy pod petycją:

POWSZECHNE REFERENDUM.

ŻĄDAMY USTĄPIENIA RZĄDU FEDERALNEGO

I MIANOWANIA JONESA NACZELNYM DOWÓDCĄ

DO WALKI Z OBECNYM KRYZYSEM

Był to przygnębiający widok: rzędy zmęczonych ludzi, wyczerpanych po długim dniu ciężkiej pracy, nie oddanych zwolenników o rozpalonych entuzjazmem twarzach, ale zwykłych szarych obywateli, stojących cierpliwie w kolejkach, aby poprzeć obalenie legalnej władzy, pragnących końca rządów prawa, zastąpienia ich absolutyzmem, panowaniem jednego człowieka o nieokiełzanych kapryсах.

Idąc po schodach do mieszkania, Cussick usłyszał cichy, ostry pisk. Jego umysł, ociężały i pogrążony w apatii, nie zareagował od razu. Dopiero kiedy otworzył drzwi i zapalił światło, rozpoznał sygnał wideofonu.

Włączył urządzenie. Na ekranie pojawił się obraz nagrany wraz z krótką wiadomością. Miał przed sobą surową i groźną twarz dyrektora Pearsona.

– Chcę cię widzieć z powrotem w biurze – oświadczył Pearson. – To pilne. Rzucaj wszystko i przyjeżdżaj natychmiast. – Obraz zniknął, po czym pojawił się znowu. Jeszcze raz zasuszone wargi Pearsona poruszyły się i popłynęły z nich słowa: – Chcę cię widzieć z powrotem w biurze. To pilne. Rzucaj wszystko i przyjeżdżaj natychmiast. – Kiedy wideofon zaczął odtwarzać nagranie po raz trzeci, Cussick ze złością wduśił wyłącznik i ekran zgasł.

W pierwszej chwili ogarnęło go rozdrażnienie. Był zmęczony. Chciał zjeść obiad i pójść spać. A poza tym, czysto teoretycznie oczywiście, mógł przecież pójść z Tyler do teatru. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zignorować wiadomości. Pearson w żaden sposób nie był w stanie tego sprawdzić – mogło go nie być w domu jeszcze przez wiele godzin.

Rozmyślając nad tym, Cussick wszedł do pustej, opuszczonej kuchni i zaczął sobie robić kanapkę. Nim skończył, był już zdecydowany. Wypadł z mieszkania, wielkimi susami zbiegł po schodach do garażu i wyjechał z piskiem opon. Jedząc kanapkę, mknął z powrotem do gmachu policji. Coś, co powiedziała Tyler, coś, na co wtedy nie zwrócił uwagi, nagle nabrało przerażającego znaczenia.

Pearson przyjął go natychmiast.

– Sprawa wygląda następująco – wyjaśnił. – Dziś o piętnastej trzydzieści twój przyjaciel Kamiński spakował swoje raporty, napchał do teczki tyle dokumentów, ile wlazło, i prysnął.

Cussick skamieniały, nie mógł wydusić słowa. Stał z głupią miną, ocierając usta z okruchów kanapki.

– Nie byliśmy tym zaskoczeni – ciągnął Pearson, zerkając do raportu. Groźny, wyprężony, stał za biurkiem z szeroko rozstawionymi nogami. – Dopędziliśmy go po stu milach i zmusiliśmy jego statek do lądowania.

– Dokąd się wybierał? – wykrztusił wreszcie Cussick. Ale już znał odpowiedź.

– Wysmażył sobie mały układzik z ludźmi Jonesa. Gryzł się tym od miesiący. W zamian za dane mieli mu zapewnić azyl. Zorganizowali mu kryjówkę. Miał zamiar zaszyć się tam i przesiedzieć wojnę czy cokolwiek, co nas czeka. Rzucił to wszystko. Skończył z tym. Oczywiście nie mógł zrezygnować. Nikt nie odchodzi dziś z policji. Nie w tak krytycznej sytuacji.

– Co z nim zrobiliście? Gdzie on jest?

– W obozie pracy Saskatchewan. Na resztę swoich dni. Już go tam odwieziono. Kazałem zabrać go natychmiast. Zamierzam nagłośnić tę sprawę. Niech to będzie postrachem dla innych.

– Ale on jest chory – powiedział ochrypłym głosem Cussick. – To schorowany dziadek. Sam nie wie, co robi. Jest zupełnie rozbity... powinien być w szpitalu, nie w obozie!

– Powinien zostać rozstrzelany. Tyle że my już nie rozstrzelujemy ludzi. Jedyne, co możemy zrobić, to zapędzić ich do pracy na resztę życia. Twój stary instruktor będzie aż do śmierci sortował śrubki. – Pearson wyszedł zza biurka. – Mówię ci to, ponieważ jesteś za to częściowo odpowiedzialny. Mieliśmy oko na was wszystkich. Na Kaminskiego, na tę byłą komunistkę, Tyler Fleming, na twoją żonę... Wiemy, że twoja żona jest agentką Jonesa. Wiemy, że pracuje dla nich, mieszka w jednej z ich siedzib, jest indoktrynowana... daje im pieniądze. – Składając kartkę z notatką, dorzucił: – Kamiński wiedział o tym. Nie przekazał tej informacji... próbował ją zataić.

– Nie chciał, żebym się dowiedział – mruknął Cussick.

– Nie chciał, żebyśmy my się dowiedzieli, powiedz raczej. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jest duże prawdopodobieństwo, że on pryśnie, odkąd twoja żona rzuciła cię i przystała do nich. Spodziewaliśmy się, że Kamiński prędzej czy później pójdzie w jej ślady. Co do ciebie... – wzruszył ramionami – nie wydaje mi się, aby było jakieś ryzyko, że zrobisz to samo co on. Ta dziewczyna też. Nadal jest z nami. Ale to parszywa sprawa. – Jego głos stracił nagle szorstkość. – To straszne... ten wspaniały stary człowiek. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

– Dzięki – powiedział tępo Cussick.

– Prawdopodobnie masz rację. Oczywiście, że on powinien być w szpitalu. Ale nie możemy tego darować. Walczymy o życie. Wielu z nas chce się wyrwać... może nawet wszyscy.

– Zapewne – rzekł Cussick, ledwie go słysząc.

– Ludzie Jonesa przenikają wszędzie, do wszystkich klas, wszystkich grup. Cała struktura sypie się w gruzy. Tu, w Służbie Bezpieczeństwa, ludzie uciekają, znikają... jak Kamiński. Musiałem go wysłać do obozu pracy. Gdybym mógł, zabiłbym go z zimną krwią.

– Ale nie chciałbyś tego.

– Nie – przyznał. – Nie chciałbym. Ale bym to zrobił. – Umilkł. Po chwili podjął: – Kamiński zajmował się ochroną pewnego ściśle tajnego rządowego projektu. Coś dla Departamentu Zdrowia... nie wiem, co to takiego. Nikt z nas nie ma pojęcia. W Radzie oczywiście wiedzą. Chodzi o prace biochemika o nazwisku Rafferty. Prawdopodobnie słyszałeś o nim. Zniknął jakieś trzydzieści lat temu.

– Pamiętam – odparł niepewnie Cussick. Nie mógł się skoncentrować. – Czy z Maksymem wszystko w porządku? Nie jest ranny, prawda?

– Nic mu nie jest – zapewnił go niecierpliwie Pearson. – Będziesz musiał przejąć zabezpieczenie tego projektu. Przypuszczam, że ten skurwysyn Jones wie już wszystko. Nie pozwoliliśmy Kaminskiemu zabrać dokumentów, ale mógł mu to przekazać ustnie. Tak czy inaczej –

warknął ze złością – Jones nic tu nie wskóra. Nie jest u władzy... na razie. A dopóki nie jest, my zapewniamy ochronę.

– Co mam zrobić? – zapytał bezsensownie Cussick.

– Oczywiście wybierzesz się do Rafferty’ego, żeby rozeznać się, o co w tym wszystkim chodzi. – Gwałtownym ruchem wyciągnął z biurka plik dokumentów i podał mu je. – Rafferty wie już o Kaminskim. Oczekuje cię. Wszystko zostało załatwione. Udaj się tam natychmiast i zgłoś się do mnie, kiedy tylko uznasz, że wiesz już co i jak. Nie chodzi mi o sam projekt – o tym nie chcę nawet słyszeć. Interesują mnie tylko sprawy bezpieczeństwa. Zrozumiałeś?

Oszołomiony Cussick opuścił gabinet. Przy krawężniku czekał na jałowym biegu superszybki krążownik policyjny. Obok stało trzech uzbrojonych policjantów w lśniących hełmach, z przepisowymi karabinami w dłoniach. Wyprężyli się na baczność, gdy tylko doczłapał do nich, wstrząśnięty i zdezorientowany, ledwie zdając sobie sprawę, co się dzieje.

– Nic nie wiem – powiedział im. – Nie mam pojęcia, dokąd lecimy.

– Otrzymaliśmy już rozkazy – odparł jeden z nich. – Znamy trasę.

Chwilę później wzbijał się ponad pogrążone w mroku miasto, nie mając pojęcia, jaki jest cel podróży. Policjant siedzący z prawej strony ułożył karabin na kolanach i zapadł w błogą drzemkę. Pozostali dwaj zaczęli grać w karty. Statek był pilotowany automatycznie. Cussick rozparł się wygodnie w fotelu i przygotował się na długą podróż.

Lot jednak nie potrwał długo. W pewnej chwili statek zapikował gwałtownie. Jeden z policjantów odłożył karty i przejął stery. W dole, w ciemnościach, migotały światła wielkiego miasta. Dopiero kiedy wylądowali na dachu wieżowca, Cussick je rozpoznał. San Francisco. A więc to o tym Kamiński myślał tamtej nocy. „Blisko nich...” – sprawa, o której mruczał pod nosem, o której rozmyślał, o której nie mówił. Teraz miał się dowiedzieć wszystkiego... ale w tej chwili nie interesował go rządowy projekt. Nie mógł przestać myśleć o zamkniętym w obozie pracy przymusowej Kaminskim.

Pokrywa wjazdu odsunęła się z trzaskiem i trzech policjanci wysiedli jeden za drugim. Cussick ostrożnie schodził za nimi, chłostany podmuchami niewiarygodnie zimnego wiatru. Dygocąc, wyteżył wzrok, by zorientować się, gdzie jest. Wyglądało to na śródmiejską dzielnicę biurową. W mroźnych ciemnościach majaczyły potężne, ciemne kształty biurowców.

– Co teraz? – zapytał z rozdrażnieniem.

Poprowadzono go ruchomą pochylnią ku wymyślnej, wielokomorowej śluzie i dalej w dół po metalowych stopniach. Chwilę później stał przed niskim, skromnie wyglądającym starszym panem w białym lekarskim uniformie. Jegomość zdjął okulary, zamrugał i wyciągnął dłoń na powitanie. Rafferty był bezpretensjonalnym człowiekiem z wyrazem zatroskania i zaaferowania malującym się na twarzy o nieco suchych rysach. Nad jego górną wargą widniała nikła kępka niewydarzonego wąsa.

– Tak – potwierdził, gdy uścisnęli sobie dłonie. – Jestem Rafferty. Ale ich teraz tu nie ma. Będzie pan musiał poczekać.

– Panie doktorze, ja kompletnie nie wiem, o co chodzi – odparł Cussick. Przekazał mu otrzymane od Pearsona dokumenty. – Ściągnięto mnie tu bez uprzedzenia. Dostał pan informację o Kaminskim?

Rafferty rozejrzał się podejrzliwie, po czym odwrócił się i ruszył korytarzem. Po drodze wyjaśniał idącemu obok Cussickowi:

– Wyekspediowałem ich, kiedy Pearson zawiadomił mnie, że Kamiński przeszedł na stronę Jonesa. To był mój pomysł: wolałem, żeby nie było ich tutaj, na wypadek, gdyby Kamiński zdradził to swoim ludziom. Taki głupi gest. Gdyby tak się stało, Jones wiedziałby o wszystkim już od roku. Ale obawiałem się ataku... Oglądałem te bandy wspinające się na budynki do tych protoplazmatycznych stworzeń. Pomyślałem, że mogą zjawić się tutaj – wykorzystując to jako pretekst.

– Dokąd mnie pan prowadzi? – zapytał Cussick.

– Mam zamiar pokazać panu, nad czym pracuję. Muszę, skoro ma pan kierować ochroną. Mój Boże, nie może pan przecież zajmować się nimi, nie wiedząc, czym są.

Cussick stwierdził, że znajduje się w zawilum labiryncie lśniących białą, aseptycznych korytarzy. To tu, to tam krążyli lekarze, zajęci sprawami, o których nie miał pojęcia. Żaden z nich nie zwracał na niego uwagi.

– To jest ich Azyl – wyjaśnił Rafferty, kiedy zatrzymali się przed rozległą przezroczystą ścianą. – Kazałem pod ich nieobecność wysprzątać i przejrzeć cały ten baniak. Dzięki temu piekę dwie pieczenie na jednym ogniu. – Rzucił okiem na tablicę kontrolną. – Za kilka minut będziemy mogli wejść do środka.

Cussick spoglądał do wnętrza olbrzymiego, zaparowanego zbiornika. Kłęby gęstej mgły przesłaniały krajobraz niczym z koszmarnego snu. Jakieś maszyny sunęły ocieźale przez nasyconą wilgocią atmosferę, wypuszczając z cienkich dysz strugi pary. Grunt wydawał się gąbczasty. Gdzieś tam sterczały gęste kępy zarośli, skupiska zupełnie mu nie znanych roślin. Spod grząskiej powierzchni wypływały kałuże wody. Cała sceneria skąpana była w zieleniach i błękitach. Przywodziła na myśl raczej głębinę morza niż ląd.

– Atmosfera – mówił dalej Rafferty – jest mieszaniną amoniaku, tlenu i freonu, ze śladowymi ilościami metanu. Widzi pan, jak jest wilgotna. Jak dla nas, temperatura jest wysoka: zazwyczaj około trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza.

Cussick wyłowił wzrokiem zarysy budynków, na wpół zagubionych w gęstych kłębach pary. Niewielkie domki o połyskujących wilgocią, pokrytych grubymi kroplami wody ścianach. Wilgotny, gorący, zaparowany, zamknięty w ciasnych ścianach, całkowicie obcy świat.

– Oni tu żyją? – zapytał powoli.

– Azyl jest ich środowiskiem. Został zbudowany pod kątem ich potrzeb. To zamknięta enklawa zaprojektowana specjalnie dla zapewnienia im warunków do życia. Nazywają go swoją macicą. Chociaż właściwie jest to raczej inkubator: strefa przejściowa między macicą a światem zewnętrznym. Tyle że oni nigdy nie wyjdą stąd w nasz świat.

Podszedł do nich technik. Rafferty naradzał się z nim przez chwilę.

– W porządku – powiedział. – Możemy wejść.

Hermetycznie zamykane wrota rozsunęły się i obaj mężczyźni weszli do Azylu. W kłębach gryzącego gazu Cussick na moment stracił oddech. Zatrzymał się, zachwiał lekko i przycisnął do nosa chustkę.

– Przyzwyczaj się pan – powiedział kwaśno Rafferty.

– Tu jest jak w łaźni. A nawet gorzej. – Cussick był zlany potem. Nie mógł oddychać. Nic nie widział. Rafferty tymczasem spokojnie wyjaśniał sytuację.

– Oni nie mogą żyć poza tym miejscem, a my nie moglibyśmy żyć tutaj. Dlatego Azyl musi być stale utrzymywany w należytym stanie. Tak łatwo jest ich uśmiercić... wystarczyłoby po prostu otworzyć parę zaworów, wypuścić ich powietrze i zastąpić je naszym. Albo rozbić ścianę. Oziębic wewnątrz. Odciąć im dostawy pożywienia. Oczywiście ich organizmy wymagają zupełnie innej diety. Kamiński robił świetną robotę przy ochronie Azylu. Jego wywiadowcy byli wszędzie. Nikt, nawet ja, nie może wejść do tego budynku bez sprawdzenia przez jednego z waszych ludzi.

Ociężałe maszyny stopniowo oczyszczały powietrze. Po chwili Cussick widział już co nieco. Tampon gazu zalegający mu w płucach także ustąpił.

– Dokąd ich pan wysłał?

– Mamy niewielkie pomieszczenie zastępcze. Dzięki temu możemy wejść tu od czasu do czasu na gruntowny przegląd. – Rafferty wskazał zmierzające do Azylu ekipy techniczne. Pokrywa zbiornika została zdjęta, aby można było wprowadzić większy sprzęt. – Nie takie jak Azyl: to tylko mobilny kontener. Ale daje im poczucie wolności. Ściągniemy ich z powrotem około drugiej. Lubią zostawać tam jak najdłużej. Pokażę panu teraz ich mieszkania.

Cussick pochylił się w drzwiach.

– Muszą być niscy – zauważył.

– Bardzo niscy, bardzo drobni. Louis, najcięższy z nich, nie waży nawet czterdziestu pięciu kilo. – Rafferty zatrzymał się. – To jest ich kuchnia. Krzesła. Stół. Naczynia.

Wszystko było tu w zmniejszonej skali. Przypominało to domek dla lalek: maleńkie meble, maleńkie sztuce, miniaturowa kopia pierwszej lepszej kuchni. Cussick podniósł ze stołu

zaimpregnowany woskiem egzemplarz „Wall Street Journal”.

– Oni to czytają? – zapytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście. – Rafferty zaprowadził go niskim, wąskim korytarzykiem do jednego z pokoi. – Tu mieszka Frank. Najstarszy z nich. Proszę się rozejrzeć. Zobacz pan tu książki, taśmy z nagraniami, ubrania, takie same jak nasze. To są ludzie! Istoty ludzkie, w kulturowym, duchowym, moralnym i psychologicznym sensie tego słowa. Pod względem intelektualnym są nam tak bliscy jak... – tu machnął dłonią – są nam bliżsi niż niektórzy z tych szaleńców wyjących tam, na zewnątrz, z ich hasłami i transparentami.

– Mój Boże – jęknął Cussick, odnajdując szachy, elektryczną maszynkę do golenia, parę szelek i przypięty pinezką do ściany kalendarz z panienkami. Na szafce leżał egzemplarz *Ulisses*a Jamesa Joyce’a. – To mutanty, prawda? Ofiary wojny?

– Nie – odparł Rafferty. – To moje dzieci.

– W przenośni, jak rozumiem.

– Nie, dosłownie. Jestem ich ojcem. Ich embriony zostały wyjęte z macicy mojej żony i umieszczone w sztucznych osłonach. To ja spłodziłem każde z nich. Moja żona i ja jesteśmy rodzicami całej grupy.

– Ale w takim razie – powiedział powoli Cussick – są mutantami wytworzonymi rozmyślnie.

– To prawda. Pracuję nad nimi od ponad trzydziestu lat, modyfikując ich zgodnie z naszym programem. Każdy kolejny jest odrobinę doskonalszy od poprzednich. Wiele się nauczyliśmy... większość pierwszych osobników umarła.

– Ilu ich jest?

– Wszystkich było czterdzieścioro. Ale jedynie ośmioro żyje: siedmioro w Azylu i jedno, jeszcze niemowlę, w osobnym inkubatorze. To delikatna praca, a nie dysponujemy wiedzą, na której moglibyśmy się oprzeć. – Bezbarwny doktor mówił to wszystko zupełnie spokojnie. Po prostu podawał fakty. Jego duma sięgała ponad wszelką chępliwość.

– Sztucznie hodowane mutanty – powiedział Cussick, krążąc po ciasnym pokoju. – To dlatego wszystkie żyją w jednakowym środowisku.

– Widział pan już jakieś z powojennych anomalii?

– Tak, nawet sporo.

– Więc nie będzie pan zaszokowany. To jest w pierwszej chwili trochę trudne do przyjęcia. I, jak sądzę, na swój sposób śmieszne. Zdarzało się, że lekarze na ich widok wybuchali śmiechem. Oni są mali. Są delikatni. Mają zatroskany wyraz twarzy. Tak jak ja. Męczą się w tym Azylu. Spierają się i dyskutują, toczą ze sobą boje, denerwują się i kochają. To kompletna społeczność. Azyl jest ich

światem, a oni tworzą w nim pełne, organiczne społeczeństwo.

– Ale po co zostali stworzeni? – zapytał Cussick. Zaczynał mu już niejasno świtać cel tego projektu. – Jeśli nie mogą żyć na zewnątrz, w ziemskich warunkach...

– O to właśnie chodzi – oświadczył rzeczowo Rafferty. – Oni nie mają żyć na Ziemi. Są przeznaczeni do życia na Wenus. Próbowaliśmy stworzyć grupę przystosowaną do warunków marsjańskich, ale nic z tego nie wyszło. Mars i Ziemia są zbyt odmienne... Wenus nadaje się trochę lepiej. Ten Azyl, ten miniaturowy świat, jest dokładną kopią warunków, jakie nasze statki zwiadowcze napotkały na tamtej planecie.



## Rozdział dwunasty

Wychodząc z miniaturowego budynku, Rafferty schylił się i wskazał Cussickowi jedną z charakterystycznych dla Azylu gąbek.

– Jest sztuczna. Ale na Wenus żyją identyczne okazy. Sprowadziliśmy je tutaj i nasi fachowcy zrobili kopie.

– Dlaczego po prostu nie przesadziliście prawdziwych? Nie chciały tu rosnąć?

– Wytlumaczę to panu trochę później. – Wstał i poprowadził Cussicka na brzeg małego pluskającego jeziora. – To też są imitacje. – Wyłowił z wody wijące się węzowate stworzenie, młóące zaciekle krótkimi, grubymi odnóżami. Szybkim ruchem ukreślił mu głowę. Głowa została mu w ręce i zwierzę zastygło w bezruchu. – Mechaniczna zabawka... widzi pan przewody. Ale to również jest wierny model autentycznego wenusjańskiego zwierzęcia. – Przykręcił głowę i stworzenie znów zaczęło się szamotać. Gdy Rafferty cisnął je z powrotem do jeziora, odpłynęło z wyraźnym zadowoleniem.

– Te góry – odezwał się Cussick – też przypominają wenusjański krajobraz?

– Tak. – Rafferty ruszył zwawym krokiem. – Możemy tam podejść, jeśli pan chce. Oni sami często po nich chodzą.

Kiedy przechadzali się między skałami, doktor kontynuował wyjaśnienia:

– Ten Azyl jest nie tylko ich środowiskiem, ale i szkołą. Ma ich ukształtować, oswoić z nieziemskim otoczeniem. Kiedy znajdą się na Wenus, będą przygotowani... w takiej mierze, w jakiej potrafimy im to umożliwić, prawdopodobnie część z nich umrze. Już sama zmiana środowiska może się okazać zabójcza. W końcu nie jesteśmy nieomylni. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by odtworzyć tamtejsze warunki, ale daleko temu do doskonałości.

– Chwileczkę – przerwał mu Cussick. – Oni sami... nie są modelowani na wzór wenusjańskich humanoidalnych form życia?

– Nie – potwierdził Rafferty. – Stworzyliśmy ich od podstaw, nie są imitacjami. Zwykłe ludzkie embriony zostały zmodyfikowane fenotypowo: poddawaliśmy je pozaziemskim, a konkretnie zbliżonym do wenusjańskich, warunkom. Wchodzi tu w grę skomplikowane zależności. Mieliśmy mnóstwo niepowodzeń. Zmodyfikowane niemowlęta zaraz po urodzeniu, trafiały do inkubatorów, gdzie znajdowały wenusjańskie środowisko. Innymi słowy, deformowaliśmy każdy embrion i gdy rodziły się dzieci, poddawaliśmy je wpływowi tych samych, modelowych warunków środowiskowych. Jak pan zapewne wie, gdyby zwykli koloniści wylądowali na Wenus, nie przeżyliby. Rząd Federalny próbował już tego. Są zapisy w raportach. Ale parę ściśle określonych zmian fizjologicznych pozwoliłoby im utrzymać się przy życiu. Gdybyśmy mogli zapewnić im stopniowe przystosowanie, etapy pośrednie, coś w rodzaju komory dekompresyjnej...

potrzebowaliśmy aklimatyzacji. A ściślej mówiąc: adaptacji. Wiedzieliśmy, że z czasem ich potomstwo zmutuje się w odpowiedzi na wymogi otoczenia. Krok po kroku kolejne pokolenia będą coraz lepiej przystosowane do życia w tamtejszych warunkach. Wielu z nich umrze, ale pozostali będą się adaptować. W końcu otrzymamy niemal ludzki gatunek, nie przypominający nas fizycznie, ale mimo wszystko ludzki. Będzie to człowiek przetworzony, przystosowany do życia na Wenus.

– Rozumiem – powiedział Cussick. – Tak to chce rozwiązać Rząd Federalny.

– Właśnie. Nigdy nie znajdziemy warunków dokładnie takich, jakie mamy na Ziemi. Nie ma dwóch identycznych planet. Na Boga, mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na Wenus, planetę o niemal takiej samej gęstości, z podobną siłą ciężenia, wilgotnością, temperaturą. Oczywiście, że panu czy mnie przypomina to raczej piekło. Ale nie trzeba wiele, by nawet raj stał się piekłem: wzrost temperatury o dziesięć stopni, o jeden procent większa wilgotność... – Trącając nogą siny porost pokrywający skraj płaskiego głazu, Rafferty mówił dalej: – Moglibyśmy czekać tysiąc lat, osiągnąć to okrężną drogą. Moglibyśmy wysyłać zwykłych ludzi, jeden transport po drugim, wyekspediować niezliczone statki, założyć kolonię. Osadnicy marliby jak muchy. Żyliby nędznie. Natura może sobie na to pozwolić, ale my nie. Ludzie nie zgodziliby się na to.

– Tak – przyznał Cussick – przekonaliśmy się już o tym.

– Rezultat byłby taki sam. Ale czy bylibyśmy skłonni ponosić te straty? Myślę, że byśmy się wycofali. Nie stać nas na poświęcenie temu tysiący lat i milionów istnień. Poddalibyśmy się, ściągnęlibyśmy kolonistów z powrotem na Ziemię. A to dlatego, że tak naprawdę wcale nie chcemy adaptować się do innych planet: chcielibyśmy, żeby to one odpowiadały naszym potrzebom. Nawet gdybyśmy znaleźli gdzieś drugą Ziemię, jedna taka planeta to zbyt mało. A nasz projekt stanowi załączek o wiele wspanialszej przyszłości. Jeśli się powiedzie, jeśli wenusjańscy mutanci przeżyją, możemy zrobić następny krok, udoskonalić nasze technologie. Opracować kolonie mutantów dla przeróżnych innych planet, dla bardziej nieprzyjaznych środowisk. Możemy w końcu zaludnić cały wszechświat, przeżyć w każdych warunkach. Jeśli się nam uda, odniesiemy całkowite zwycięstwo. Gatunek ludzki będzie niezniszczalny. Ten Azyl, ta zamknięta enklawa, i cała moja praca – wszystko to wydaje się sztuczne. Tymczasem ja podjąłem próbę przyspieszenia naturalnej ewolucji. Starłem się ją usystematyzować, usunąć z niej przypadkowość, marnotrawstwo, bezcelowość. Zamiast wysyłać na Wenus Ziemian, wysłamy tam Wenusjan. Kiedy tam dotrą, nie trafią na obcą, wrogą planetę. Zastaną tam swój prawdziwy świat, świat, który już znają jako model. Zastaną doskonałą postać tego, co tu było tylko ułomną kopią.

– Czy oni o tym wiedzą?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego – wyjaśnił Rafferty – że powinni sądzić, iż nikt nie ponosi winy za ich sytuację. Gdyby wiedzieli, że to my ich odmieniliśmy, rozmyślnie uczyniliśmy niezdolnymi do życia na Ziemi, nigdy by nam tego nie wybaczyli. Przeszło dwa dziesiątki lat w tym Azylu... ofiary naukowego eksperymentu... Ciągłe im tłumaczyliśmy, że są naturalnymi, powojennymi mutantami, jak inni,

a odmieniliśmy ich bez pytania o zgodę. Chcąc nie chcąc, zostali królikami doświadczalnymi i wielu z nich zmarło. Myśli pan, że wybaczyliby nam kiedykolwiek, wiedząc, że to nasze dzieło?

– W końcu jednak to odkryją.

– Odkryją, kiedy dostaną się na Wenus. A wtedy nie będzie to już miało w praktyce żadnego znaczenia. Ponieważ nas tam nie będzie. Będą sami, u siebie. W takiej sytuacji żywienie urazy byłoby absurdem. Będą zadowoleni ze swej odmienności – na Boga, to właśnie ona umożliwi im przeżycie! Na Wenus to pan i ja bylibyśmy niezdolnymi do życia dewiantami. To my potrzebowałibyśmy tam Azylu.

Cussick zamyślił się.

– Kiedy będę mógł zobaczyć tych Wenusjan? – zapytał po chwili.

– Załatwię to. Na pewno w ciągu najbliższych kilku dni. Całe to zamieszanie przewróciło nasz tok zajęć, i oni też to czują. Są tak samo zdenerwowani jak my.

Dwadzieścia cztery godziny później, zajęty przenoszeniem swych papierów do San Francisco, Cussick po raz pierwszy zobaczył wenusjańskich mutantów.

Doktor Rafferty spotkał się z nim na parterze budynku. Była druga w nocy i na ulicy zalegała mroźna mgła.

– Ściągnąłem tu pana, ponieważ to doskonała okazja – powiedział, prowadząc go ku ruchomej pochylni. – Nasi mali przyjaciele od czasu do czasu trochę dokazują. Wydaje im się, że mogliby zmierzyć się z każdym.

Furgon odwiózł półprzytomnych mutantów z powrotem do Azylu. Cussick i Rafferty zostali sami na wilgotnym od mgły chodniku. Bezowocność zmagania tej czwórki wisiała wciąż w mrocznym powietrzu. Obaj mężczyźni wyczuwali przygniatającą atmosferę klęski.

– Być może ma pan rację co do Jonesa – powiedział w końcu Rafferty. – Być może on jest tylko człowiekiem. – Wyciągnął z kieszeni kluczyki i skierował się w stronę swojego samochodu. – Ale to jest jak walka z oceanem. Idziemy pod wodę, każdego dnia głębiej. To nowy potop, pochłaniający naszą cywilizację.

– Dopust boży – w głosie Cussicka zabrzmiała ironia.

– Nie jesteśmy w stanie zniszczyć Jonesa. Możemy tylko mieć nadzieję, że jest jeszcze coś poza nim, po drugiej stronie. – Rafferty otworzył drzwi i wszedł do samochodu. – Jeśli pan chce, może pan już odblokować ulice. Ale proszę trzymać zapory w pogotowiu.

– Dobrze – odparł Cussick. – Dobranoc.

– Dobranoc. – Rafferty uruchomił silnik. Samochód odjechał. Cussick został sam. Wokół niego

kłębiły się pasma mroźnej mgły. Zadrżał z zimna, uświadamiając sobie, jak przykre musiało to być dla czworga mutantów. Drobne, delikatne istotki z wszystkimi swymi nadziejami, złudnymi marzeniami, nie wiedzące, kim są ani po co żyją... a na zewnątrz szklanego kokona oczekująca ich noc i szare maszerujące postacie: Organizacja Jonesa.

Ruszył powoli nie oświetlonym chodnikiem w stronę pierwszej zapory.

– W porządku – zwrócił się do sierżanta w hełmie. – Możecie już to uprzętać.

Sierżant nie zwrócił na niego uwagi. Cały oddział zgromadził się wokół radiotelefonów, słuchając niewzruszenie wewnętrznego komunikatu.

Zirytowany Cussick już, już miał chwycić go za ramię, kiedy nagle dotarło do niego, co słyszy. Zapomniał o sierżancie, o Raffertym, o blokadach, o wenusjańskich mutantach. Przecisnął się do głośnika i przykucnął, słuchając w napięciu.

– „...w pierwszej fazie akcji Służba Bezpieczeństwa zatrzymała co najmniej połowę prowodyrów tej przestępczej organizacji. Oddziały szturmowe przeczesują centra wielkich miast, ścigając pozostałych członków aparatu... obserwuje się znikome przejawy aktywnego oporu. Krążą pogłoski, że wielebny Floyd Jones został ranny podczas utarczki sił policyjnych z jego zwolennikami. Z Nowego Jorku doniesiono o poważnych walkach ulicznych między fanatycznym tłumem a jednostkami pancernymi. Wszyscy funkcjonariusze oddziałów szturmowych z tego obszaru otrzymali rozkaz stawienia się w punktach zbornych. Wszelkie wcześniejsze instrukcje zostają automatycznie unieważnione. Powtarzam: Rada Najwyższa Federalnego Rządu Światowego uznała organizację znaną pod nazwą Zjednoczeni Patrioci za nielegalną. Wszystkich członków rzeczonyj organizacji uznaje się niniejszym za element przestępczy. Tajna policja otrzymuje prawo aresztowania na miejscu i doprowadzenia przed sąd wszystkich członków organizacji znanej pod nazwą Zjednoczeni Patrioci, jak również wszelkich osób należących do podporządkowanych jej grup, takich jak Liga Lojalnej Młodzieży, Kobięca...”

Cussick odwrócił się, na wpół skostniały od nocnego chłodu. Dla rozgrzewki chuchnął parę razy w dłonie, przytupywał nogami, zabijał ręce. A więc Pearson ruszył do akcji. Rada zatwierdziła jego plany: Jones i jego zwolennicy mieli być odtąd ścigani, skazywani i rozsyłani do obozów pracy. Prawdopodobnie na mocy paragrafu drugiego, dającego Służbie Bezpieczeństwa prawo aresztowania wyznawców kultów opierających się na charyzmie przywódcy, zagrażających swobodnemu rozprzestrzenianiu się zasad Relatywizmu. Ten przepis, swego rodzaju wytrych, był rozmyślnie niejasny, by można go było rozciągnąć na wszelkie nie przewidziane sytuacje.

Ale Jones nie dałby się przecież zaskoczyć. Organizacja musiała spodziewać się ataku. Już od roku Jones musiał wiedzieć, że Pearson, rozjuszony, zdecyduje się na ten krok, podejmie ostatnią, heroiczną próbę zdławienia ich gwałtownie rozwijającego się ruchu. Zdrada Kaminskiego dodała mu bodźca. Chciał działać, zrobić coś, próbować ocalić Rząd Federalny, nim dojdzie do rozstrzygającej konfrontacji. Ale dla Jonesa konfrontacja była już rozstrzygnięta.

Przysłuchując się policyjnemu komunikatowi, Cussick zastanawiał się, jakim cudem udało się zaskoczyć Jonesa. Aresztować go i zranić. Chyba że on sam tego chciał. Chyba że rola ofiary

zamachu mieściła się w jego planach. Jeśli tak było, Pearson prawdopodobnie przypieczętował upadek rządu.

Niewykluczone, a nawet bardzo możliwe, że Pearson, kierując się swą wściekłą żądzą działania, sam przyczynił się do zwycięstwa Jonesa.

## Rozdział trzynasty

Tłum zawył. Jego zarysy falowały w żarze słońca tego historycznego popołudnia. Dobywający się z tysięcy gardeł krzyk wyrażał aprobatę dla stojącego na trybunie człowieka, drobnej, gestykulującej, przemawiającej postaci. Megafony wzmacniały jego głos, niosły go ponad falującym rykiem tłumu. Z tyłu, za morzem ludzkich głów, sterczały ruiny, które niegdyś były niemieckim Frankfurtem.

– Przyjaciele! – krzyczał Jones. – Ci twardogłowi plutokraci próbowali mnie uciszyć! Ale stali się zbyt miękczy! Te wielkie pasożyty kierujące zza swych biurków sprawami świata spasyły się na nas! Napchały się po dziurki w nosie! Ale to się wkrótce skończy! Widzę to!

Odpowiedział mu aplauz tłumu.

– Musimy zacząć od początku! – wrzeszczał dalej. – Opuścić tę planetę, opuścić ten martwy układ gwiazdny! Takie jest nasze przeznaczenie! Gatunku ludzkiego nie można pozbawić jego własnej przeszłości! Nikt nas nie powstrzyma! Nic nas nie pokona.

Jones ciągnął tak dalej. A gdzieś w wiwatującym tłumie, obojętny wobec gorączkowej oracji, w milczeniu czał się nasłany przez policję zamachowiec.

Wojnę przesłużył w piechocie. Był wyśmienitym snajperem, z całym plecakiem medali. Pod koniec działań zbrojnych stał się profesjonalnym zamachowcem. Prawdopodobieństwo chybionego strzału wynosiło u niego jeden do miliona.

W dniu przemowy Jonesa, Pratta przewieziono z obozu pracy w Manresie w Hiszpanii na peryferie Frankfurtu. Gdy długi, nisko zawieszony samochód pędził z warkotem po krętych drogach, on powtarzał sobie w myślach plan akcji. Nie zajęło mu to wiele czasu. Całe jego ciało gotowe było do działania. Opuścił głowę na oparcie luksusowego fotela, rozkoszując się mocą potężnej turbiny.

Wysiadł na odludziu, wśród ruin i ziejących lejów po bombach. Usiadł na gruzach, rozpakował drugie śniadanie i posilił się. Gdy skończył, otarł usta, wziął do ręki karabin i ruszył w stronę miasta. Była pierwsza trzydzieści. Miał mnóstwo czasu. Drogą ciągnął nieprzerwany strumień ludzi i pojazdów zmierzających na przemówienie Jonesa. Pratt przyłączył się do nich. Wtopił się w tłum. Idąc, nie ukrywał broni. Był to ten sam karabin, którego używał podczas ostatnich, pełnych zamętu dni wojny. Zdobyte medale dawały mu do niego prawo. Ta broń była jego odznaką honorową.

Przemowa go nie interesowała. Był zbyt praktyczny, aby dać się porwać potokowi żarliwych słów. Kiedy Jones krzyczał i gestykulował, on, żołnierz o zapadniętych policzkach, krążył tu i tam, szukając miejsca, z którego miał wyruszyć pochód, miejsca, w którym Jones przejąć miał dowództwo nad swymi szarymi oddziałami.

Ta część Frankfurtu wciąż jeszcze leżała w gruzach. Jako dzielnica willowa, przewidziana była do odbudowy w ostatniej kolejności. Mieszkańcy żyli we wzniesionych przez rząd barakach. Oracja

Jonesa dobiegła końca. Członkowie Organizacji zaczęli grupować się w kilku punktach, najwyraźniej zgodnie z ustalonym wcześniej planem. Pratt przyglądał się temu z uwagą.

Przed sobą miał coś, co z tej odległości przypominało wielki krąg betonu. Tworzył go zwarty tłum zwolenników Jonesa, skupionych w złowrogą masę. Wszędzie powiewały flagi z dwoma skrzyżowanymi retortami. Wszyscy zgromadzeni nosili mundury lub opaski na ramieniu. Przed szarym kręgiem ciągnął się odkryty pas – Landstrasse, nie zniszczona pomimo wojny, wiodąca do miasta szosa. Powstała za czasów Trzeciej Rzeszy. Wybudował ją hitlerowski geniusz techniczny, doktor Todt, i jego OT. Była to doskonała droga. Już za chwilę szare koło miało się rozwinąć i pomaszerować nią w stronę miasta.

Policja dokładnie oczyściła trasę pochodu. Patrole krążyły w tę i z powrotem po opustoszałej nawierzchni, gniewnie odpędzając gapiów. Gdzieś w dali umykało przed nimi w popłochu kilkoro dzieci i zbłąkany pies.

Hałas stawał się nie do zniesienia. Kręcące się po pobliskim polu grupki gapiów ciągnęły do punktu zbiórki. Pratt skrzywił się, widząc płynącą ku niemu masę ludzi o szklistych oczach i otwartych ustach wrzeszczących oklepane slogany. Unosząc karabin, wspiał się na stertę gruzu, by zejść im z drogi.

Grupa fotoreporterów uzbrojonych w aparaty z lampami błyskowymi fotografowała tłum i skupioną w pierwszych szeregach szarą masę pracowników Organizacji. Wszechobecni policjanci, uzbrojeni, krążący po dwóch lub trzech, wyglądali bojowo i niepewnie w swych brązowych mundurach i hełmach. U wylotu szosy stały cztery karetki pogotowia, po dwie z każdej strony. Tuż obok rozstawiono skomplikowany sprzęt telewizyjny. Technicy i sanitariusze przechadzali się razem, wymieniając żartobliwe uwagi. Reporterzy sfotografowali również ich. Fotografowali wszystko.

Pratt ostrożnie posuwał się naprzód. Udało mu się prześlizgnąć przez obrzeża tłumy i wydostać na otwartą przestrzeń. Chwilę później stał przy głównej zaporze, wzniesionej przez policję na skraju szosy. Umundurowani gliniarze spojrzeli na niego obojętnym wzrokiem. Był dla nich obcy. Jeden z nich, gigant o twarzy jak księżyc w pełni, odłączył się od grupy i podszedł złowieszczym krokiem, unosząc karabin maszynowy.

– Przechodź! – wrzasnął do Pratta. – Złaż z szosy!

Policjanci rozciągali wzdłuż chodnika grubą białą linię, mającą ograniczyć trasę pochodu. Chcieli mieć pewność, że tłum pójdzie we właściwym kierunku – tam, gdzie czekały uzbrojone jednostki szturmowe.

– Niech cię diabli! – ryknął olbrzym. – Powiedziałem ci, żebyś stąd zjeżdżał! Życie ci niemiłe?!

– Gdzie jest McHaffie? – zapytał Pratt.

– Kim jesteś?

Pratt odnalazł majora McHaffiego, oficera odpowiedzialnego za szczegóły akcji. Pokazał mu

swój identyfikator.

– W porządku – mruknął tamten, zajęty czym innym. Nie wiedział, na czym ma polegać zadanie Pratta, tyle tylko, że pracuje dla Służby Bezpieczeństwa. – Wejdz na którąś z ciężarówek. Stamtąd będziesz miał najlepszy widok. Te głupie sukinsyny zaczną lada moment.

McHaffie znakomicie wybrał miejsce na zaporę. Kiedy pochód minie jego oddział w drodze do miasta, ciężarówki przejadą przez białe liny i zablokują szosę. Potem, kiedy tłum ruszy z powrotem, ludzie McHaffiego posegregują go. Zamknięci między dwiema ścianami policjantów, Jones i jego zwolennicy zostaną schwytani w pułapkę jak bydło. A w pogotowiu stało więcej ciężarówek: te miały odwieźć demonstrantów do obozów pracy.

Sama zapora była potężna. McHaffie nie sądził, by motłoch – a gdy przyjdzie co do czego, będzie to już motłoch – zdołał ją przełamać. Ciężarówki, broń ciężka, może nawet czołgi. Nie wiedział zbyt wiele o tej części akcji. Miało to być ich pierwsze posunięcie: uśmiercenie Jonesa, okrażenie jego współpracowników. A potem, na całym świecie, miasto po mieście, miano wyłapać pozostałych. Obława trwałaby kilka dni, może tygodni. Powoli, aż do skutku.

Pratt chwycił za burtę, by się wspiąć na platformę ciężarówki. Sześć czy siedem rąk wyciągnęło się do pomocy. Upadł jak długi na podłogę i szamotał się niezdarnie nie wypuszczając z rąk karabinu, dopóki ktoś nie pomógł mu wstać. Otrzepta ubranie i ulokował się z przodu skrzyni. Nie był tu jedynym człowiekiem z bronią. Karabiny połyskiwały w popołudniowym słońcu. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy oparł swój na kolbie. Wszyscy obserwowali pochód.

– Świetne miejsce – pochwalił McHaffiego, gdy oficer wspiął się za nim.

Major przyjrzał się uważnie jego broni.

– Co ty tu masz? Starego A-5? Wolałbym, chłopaki, żebyście już to powyrzucali. – Najwyraźniej uważał Pratta po prostu za wojowniczego weterana wojennego, nic więcej. – Powinniśmy byli pozabierać wam te pukawki.

– Tam w dole jest mnóstwo ludzi – zauważył z niepokojem stojący obok sierżant.

– Myślicie, że nas ominą? – zapytał nerwowo inny, młodzieńcki chłopak. – Oni są szaleni... zdolni do wszystkiego.

– Nie wydaje mi się – powiedział wymijająco McHaffie, obserwując tłum przez lornetkę.

– Oni chcą zostać zabici – stwierdził sierżant. – Po to właśnie tu przyszli. Widzą nas przecież. Jones musi wiedzieć, że mamy zamiar ich okrażyć. W końcu widzi przyszłość, prawda? Tym właśnie się przechwala.

Owiewał ich ciepły wiatr, dmący znad ruin i na wpół zasypanych lejów po bombach. W oddali, na zamglonym niebie, powoli, nieubłaganie ciągnął sznur samolotów transportowych. Ludzie na ciężarówkach stawali się coraz bardziej niespokojni i drażliwi. Postukiwali kolbami o metalową skrzynię ciężarówki, spluwali za burtę, osłaniali oczy przed jasnym słońcem i wpatrywali się



gniewnie w szary krąg demonstrantów.

– Już niedługo – zawyrokował McHaffie.

Tłum karnie formował się w szyk za szarą falangą.

– Jak sądzisz, ilu ich jest? – zapytał Pratt.

– Tysiące. Miliony. Zdaje się, że szycha ma zamiar pojechać samochodem, kiedy reszta pójdzie pieszo. – McHaffie wskazał podstawioną limuzynę. – Dostał go od jednego z bogatych wielbicieli.

– Podobno ma być na przedzie – wtrącił się jakiś reporter, dosłyszawszy słowa McHaffiego. – Jeśli wierzyć plotkom, które rozpuszczają, będzie maszerował na samym czele.

– Sądzę, że tak właśnie zrobi – powiedział Pratt.

– Wie pan coś o nim? – zapytał reporter. Jego pulchna, obwisła twarz ożywiła się w jednej chwili. Był to typowy berliński dziennikarz w wypchany tweedowym ubraniu, z fajką w ustach, cyniczny i zdystansowany.

– Nie – odparł Pratt.

– Czy to prawda, że on jest zbiegiem z boliwijskiego obozu pracy?

– Słyszałem, że występował kiedyś na jarmarkach – powiedział sierżant. – To mutant, anomalia wojenna.

Pratt nie odzywał się. Od blasku i kurzu niesionego przez suchy wiatr bolała go głowa. Chciał, żeby sprawy potoczyły się szybciej.

– Pozwoli pan, że o coś zapytam – zwrócił się reporter do McHaffiego. – Ci wszyscy ludzie... co to jest, protest przeciwko czemuś? O co tu chodzi?

– Zjeżdżaj pan – mruknął McHaffie.

– Czy to jakieś machinacje? Co tu robi Jones? On ma mnóstwo bogatych zwolenników, prawda? Jest jakimś tam pastorem. To kult, no nie? Bogaci ludzie ładują w to pieniądze, dają mu w prezencie szpanerskie ciuchy, samochody, biżuterię, może mieć każdą dziewczynę, jaką zechce... nie jest tak?

Nikt nie odpowiedział.

Reporter odwrócił się do wysokiego, chudego gliniarza stojącego tuż przy barierce z raketami sygnalizacyjnymi w dłoniach.

– Hej – powiedział cicho. – Czy Rząd Federalny naprawdę maczał w tym palce? Żeby zainteresować ludzi kolonizacją? Chcą rozkręcić wielki interes z osadnictwem? Niech mi pan powie, w czym rzecz.

– Chryste – mruknął po chwili, rozżalony brakiem odpowiedzi. – Ja chcę tylko zrozumieć, co jest grane. W tym musi być jakiś haczyk... próbuję po prostu rozgryźć, co on tutaj robi.

Na ciężarówkę wspiął się niewysoki, ogorzały policjant z bębnum kabla telefonicznego.

– Dobrze, że jestem tu, na górze – wysapał. – Kiedy ci ludzie wpadną do miasta, będzie niezły zamęt.

Reporter położył mu dłoń na ramieniu.

– Hej, kolego – powiedział – o co tu biega, u diaska? Czego chcą te bałwany?

Ogorzały gliniarz przystanął, dysząc ciężko.

– To nie jest protest.

– W takim razie o co im chodzi? Niech mi pan powie.

– Gdyby to był protest, nie mielibyśmy żadnych problemów. Moglibyśmy ich przekupić.

– To ciekawe. – Reporter przyjrzał mu się leniwie. – Spotkał pan kiedyś tego Jonesa?

– Nie – odparł policjant. – Ale moja żona ścisnęła mu rękę. Ona należy do nich – dodał.

Reporter nie dowierzał.

– Mówi pan serio?

– Prawdopodobnie jest tam w dole.

– Uciekaj – warknął na telefonistę McHaffie. – Zamelduj się z powrotem w swoim oddziale.

Policjant posłusznie przecisnął się na tył ciężarówki i zeskoczył na szosę.

Reporter bazgrał przez chwilę w notesie, po czym wsadził go do kieszeni. Przyjrzał się ciekawie karabinowi Pratta.

– Co to takiego, ojczulku? – zapytał.

Pratt nie odpowiedział. Stojąc w oślepiającym słońcu, z każdą chwilą miał się coraz gorzej. W wyschniętych ustach czuł kwaśny posmak. Był osłabiony i przechodziły go dreszcze. Pozostałości przebytej niegdyś malarii dawały o sobie znać. Tak było przed każdym zabójstwem.

– To paskudny kawał złomu – stwierdził reporter. – Ma pan zamiar odstrzelić tym komuś głowę?

– Zabieraj się stąd, sukinsynu – warknął chudy gliniarz – zanim ci tym odstrzeli tyłek.

– Jezu – jęknął reporter – ale jesteście drażliwi. – Odsunął się na drugi koniec platformy. – Wcale nie jesteście lepsi od tych bałwanów w dole.

Pratt otarł pot z górnej wargi i oparł karabin o burtę ciężarówki. Rozgrzana stal lśniła jasnym blaskiem we wściekłym żarze słońca. Piekły go oczy, a nogi zaczynały dygotać. Zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim szara masa ruszy wreszcie i spłynie w stronę miasta. Chyba już niedługo.

– Pożycz mi szkła – odezwał się do McHaffiego.

– Tylko nie upuść. – McHaffie podał mu lornetkę. Trzęsły mu się ręce. – Chryste, jak mnie to wkurza. Jeśli coś pójdzie nie tak, trafię do obozu pracy razem z nimi.

Pratt przyjrzał się przez lornetkę szaremu kręgowi, za którym ustawił się karnie gęsty tłum. Jones już przybył. Stał na przedzie, rozmawiając z pracownikami Organizacji. Pochód formował się w dziesięcioosobowe kolumny – długi wąż z szarą głową na skraju szosy i wijącym się wśród ruin cielskiem. Demonstranci z dalszych szeregów czekali, drepcząc w miejscu i przepychając się. Do uszu Pratta dobiegał stamtąd słaby, nieustanny gwar. Zebrani krzyczeli ile sił w płucach.

– Słyszysz ich? – zapytał majora.

– Oddaj lornetkę. Chyba już ruszają.

– Jeszcze nie. – Pratt wyregulował ostrość. Tam była jego ofiara: chudy, niepozorny człowieczek z okularami w stalowych oprawkach. Jones.

– No już! – wrzasnął McHaffie. Głos przeszedł mu w histeryczny skrzek. – Dawaj!

Pratt oddał mu lornetkę. McHaffie wyrwał mu ją i przeogniskował.

– Na Boga – szepnął – zaczęło się. Ruszyli.

Szare kolumny wkroczyły na szosę. Za nimi włókł się wyjący, rozkrzyczany tłum. Zajadłe szczekały psy. W tę i z powrotem biegały podniecone dzieci. Na ciężarówkach niespokojnie kręcili się policjanci, unosząc karabiny.

Jones maszerował na czele urywanym, niepewnym krokiem, kierując się prosto na środek szosy. Poruszał się gwałtownie, mechanicznie, jak nakręcana lalka. Bez lornetki Pratt nie mógł dostrzec jego twarzy. Odległość wciąż była zbyt duża. Pochwycił i odbezpieczył broń. Spięty, gotowy, uniósł ją do strzału. Otaczający go policjanci robili to samo.

– Pamiętajcie: nie strzelać – upominał ich ściszym głosem McHaffie. – Pozwólcie im przejść. Przepuście ich za zaporę. Potem bądźcie gotowi do zamknięcia okrążenia.

Jeden z policjantów na którejś ze stojących dalej ciężarówek stracił równowagę i runął jak długi na szosę. Przeturlał się, błyskawicznie zerwał się na nogi i w popłochu skrył się za białą liną.

– Podprowadźcie pierwsze wozy – rozkazał McHaffie do telefonu.

Kolumny demonstrantów przeciągały obok zapory. Niektórzy oglądali się z lękiem na stojące ciężarówki, na przyczajonych policjantów.

– Ruszać się! – ryknął McHaffie. – Uruchomić silniki, bałwany!

Czoło pochodu minęło już zaporę. Od Frankfurtu nadciągała pierwsza linia policyjnych czołgów. Pułapka zamykała się. Demonstranci nie mieli już szans dotrzeć do miasta. Z rykiem i warkotem ruszyły do akcji ciężarówki. Okrążając maszerujących od tyłu, wylały się na szosę, odcinając im odwrót. Pochód nagle się zatrzymał. Ponad huk silników wzbily się okrzyki przerażenia.

Kolumny załamały się i zachwiały. Długi szary wąż rozpadł się. Idący z tyłu stanęli, nie wiedząc, co robić. Ci na przedzie kręcili się bezładnie.

– Mamy ich – powiedział bezbarwnym głosem McHaffie. – Są w potrzasku.

Pochód dreptał w miejscu. Jones zatrzymał się. Ostrożnie rozglądał się dookoła. Jak szczur, pomyślał Pratt. Brudny, mały szczur o żółtych zębach. Uniósł karabin i złożył się do strzału.

Tłum zaczął się kłębić. Sunąca szosą ludzka masa rozpadła się na pędzące bez celu grupki. Ludzie rozbiegali się na wszystkie strony, poza szosę, poza liny. To nie miało znaczenia. Szybkie samochody policyjne mknęły skrajem ruin, zaganiając ich z powrotem. Zapanował chaos. Pratt nie zwracał jednak na to wszystko uwagi. Widział przed sobą tylko drobną, chudą postać Jonesa.

– Jesteście aresztowani! – grzmiały głośniki. – Stać i nie ruszać się! Jesteście aresztowani przez Służbę Bezpieczeństwa!

Część osób zatrzymała się. Zdumione twarze zwróciły się w górę. Lądowały właśnie jednostki aeromobilne. Grupa ochroniarzy Organizacji ożywiła się i pognąła ku policjantom. Wymachując pałkami, runęli wprost na oczekujące oddziały. Chodnik pokrył szamocący się kłęb brązowych i szarych mundurów. Większość demonstrantów uciekała z szosy w stronę ruin. Policjanci gonili ich, okładając pałkami. Z ziemi unosiły się chmury gęstego pyłu, przesłaniając widok. W powietrzu rozbrzmiewały krzyki i odgłosy walki. Ciężarówka stęknęła pod naporem rozszalałych fanatyków i opadła na burtę.

Celując uważnie, Pratt ściągnął język spustowy.

Kula nawet nie musnęła Jonesa. Osłupiały Pratt przeładował karabin i jeszcze raz wycelował. Jednak gdy nacisnął spust, Jones w cudowny, niewytłumaczalny sposób zszedł z linii strzału. Uprzedził go o ułamek sekundy. To było niewiarygodne. Najwyraźniej jego ofiara spodziewała się tego.

Przechodząc niezgrabnie z jednej ciężarówki na drugą, Pratt dostał się na skraj tłumu. Zeskoczył na stertę ruin. Ściskając mocno karabin, złapał równowagę i popędził przed siebie wielkimi susami. Tym razem strzeli z kilku stóp. Tym razem będzie stał dokładnie na wprost Jonesa.

Wpadł na szosę, przepychając się przez tłum. Torował sobie drogę uderzeniami kolby karabinu.

W pewnej chwili oberwał butelką w głowę. Na chwilę pociemniało mu w oczach. Potknął się w masie szamocących się dziko ciał, szybko się jednak pozbierał i ruszył ku Jonesowi.

Nagle upadł jak długi. Trzymając kurczowo broń, przetoczył się i zdążył unieść się na kolana, gdy jakaś postać w szarym mundurze wyrzuciła go kawałkiem rury. Tym razem stracił zęby. Do gardła spłynęła mu ciepła krew. Padł oślepiiony, dławiąc się i dysząc ciężko. Na zebrach stanęły mu wielkie, miażdżąco ciężkie buty. Wrzasnął chrapliwie, wyciągnął w górę rękę, namacał nogawkę spodni i pociągnął. Napastnik zachwiał się i upadł. Pratt przygniótł go, ściskając w dłoni odłamek stłuczonej butelki, i szybkim ruchem poderżnął mu gardło. Odepchnął trupa i podniósł się z ziemi.

Przed nim znajdowała się opustoszała przestrzeń, martwa strefa wśród kłębowiska rozszalałych ludzi. Jones stał bez ruchu. Tylko jego oczy za szkłem okularów miotwały się niespokojnie. Wokół niego skupiła się garstka ochroniarzy – ostatnia linia obrony.

Pratt przyklęknął i z wysiłkiem uniósł broń. Przed oczyma tańczyła mu migotliwa mgła. Czas zamarł – otaczała go cisza i bezruch. Jego palec automatycznie zgiął się na języku spustowym. Nie rozległ się żaden dźwięk, poczuł tylko lekki wstrząs odrzutu.

Widział, jak Jones potyka się, zaciska ręce na brzuchu i pada na wznak. Zranił go tylko – trafił w brzuch, nie w głowę. Klnąc, szlochając, przeładował broń. Zawiódł. Nie zabił go.

Gdy próbował wystrzelić jeszcze raz, zobaczył nad sobą ogromną szarą postać. Bojówkarz zamachnął się nogą i wykopał mu karabin z rąk. Natychmiast przyskoczyli do niego dwaj inni. Po sekundzie męczarni nastąpił koniec. Ostatnia chwila jego życia przeminęła. Obstąpiwszy go w trójkę, goryle Jonesa ścięli mu głowę.

Jones, plując krwią, siedział na chodniku i czekał na policyjne ekipy medyczne. Z miejsca, gdzie przykucnął, mógł dostrzec to, co zostało z zamachowca. Niewyraźnie, jak przez mgłę, widział rozwścieczone szare postacie pastwiące się nad trupem.

Było już po wszystkim. Spomiędzy zaciśniętych kurczowo palców sączyło się żywe ciepło jego krwi. Został ranny, lecz przeżył. Jego cierpienie kryło już w sobie szumną radość zwycięstwa.

## Rozdział czternasty

Gdy napłynęły pierwsze raporty, Pearson siedział przy biurku w swoim gabinecie. Tępo przysłuchiwał się nowinom. Zdawały się docierać z oddali, abstrakcyjne i nic nie znaczące, jak gdyby dotyczyły kogoś innego. Przyjął je do wiadomości i odwrócił się od radia.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że przegrał. Pratt nie żył, a Jones jęczał na szpitalnym łóżku. Nie zginął. Tak, to by było na tyle.

Wstał i podszedł do okna. Wetknąwszy ręce w kieszenie, spoglądał na mroczne, uśpione miasto. Na ulicach prawie nie było ruchu. Jutro, albo trochę później, oddziały policji okrążą tutejszych zwolenników Jonesa. Nie było pośpiechu. To mogło poczekać. Właściwie mogło czekać wiecznie.

Ale musiał przez to przejść. Całą drogę aż do gorzkiego końca. On to rozpoczął. On to musi skończyć. Nie zamierzał się wycofywać tylko dlatego, że nie było już nadziei.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zamordować Jonesa, dopóki leży bezradnie w szpitalu. Ale nie. Wykonał już swój donkiszotowski gest. Udowodnił to, co chciał udowodnić, przekonał się o tym, o czym musiał się przekonać.

Jonesa nie można było zabić. Daremny trud. Rząd Federalny był skończony. Mógł już właściwie dać sobie spokój.

Odczekał jednak jeszcze dwa tygodnie. Czekał, dopóki nie zaczęły przeciekać pierwsze wiarygodne wyniki plebiscytu. Zwlekał nawet do czasu, gdy budynek wypełniła gryząca woń palonego papieru: ulatujących z dymem dokumentów Służby Bezpieczeństwa. Gdy Rada Najwyższa podała się do dymisji, on wciąż jeszcze stał w swoim gabinecie w Detroit, z głową spuszczoną na piersi, z rękami w kieszeniach, pogrążony w milczeniu.

Kilka godzin przed tym, jak Jones, blady i słaby, podniósł się ze szpitalnego łóżka, wsiadł do służbowego samochodu i ruszył ku Detroit, Pearson zadzwonił do Cussicka.

– Przyjdę do ciebie – powiedział. – Porozmawiamy w twoim domu. Wysadzamy ten budynek. Nie mamy zamiaru zostawić mu czegokolwiek.

Wchodząc do mieszkania Cussicka, zauważył najpierw panujący tu nieład. Nie takim je pamiętał. Przez chwilę stał w progu, zaniepokojony i zdezorientowany.

– Ach, prawda – odezwał się wreszcie. – Twoja żona odeszła. Jesteś tu teraz sam.

Cussick zamknął drzwi.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Jasne – odparł z wdzięcznością Pearson. – Whisky z wodą.

– Mam flaszkę dobrej szkockiej – powiedział Cussick. Przygotował drinki i obaj usiedli.

– Jesteśmy skończeni – odezwał się Pearson.

– Tak, wiem.

– To był błąd. Oczywiście nie dało się go zabić. Ale musiałem spróbować. W końcu ten sukinsyn mógł blefować. Mało prawdopodobne, ale była taka możliwość. Chciałem go sprawdzić. Na wszelki wypadek.

– I co dalej? – zapytał Cussick. – Czy w ogóle możemy coś jeszcze zrobić?

Surowa twarz Pearsona skrzywiła się.

– Prawda jest taka – powiedział wolno – że zostały nam, teoretycznie, dwie godziny władzy. Tyle zajmie Jonesowi utworzenie legalnego rządu. A do tego czasu wciąż mi podlega projekt Rafferty’ego.

– Wiesz, o co w nim chodzi? Myślałem, że nie masz pojęcia.

Pearson spojrzał w sufit.

– Mamy przygotowane dwa statki. Z prawdziwego zdarzenia, nadające się do podróży kosmicznych. Wiesz, co mam na myśli. Nazywają je interplanami. Są przechowywane w jednej z baz artylerii, gotowe do lotu. Utrzymywane w ciągłym pogotowiu. Zawsze sprawne i z pełnym zapasem paliwa. Podobno to najnowocześniejszy model – dodał. – Podejrzewam, że sterowane są automatycznie. Ktoś, nie pamiętam już kto, powiedział mi kiedyś, że gdy opuszczą Ziemię, sterowanie przejmuje stacja na Wenus. Może zresztą nie chodziło o Wenus, tylko o Marsa.

– O Wenus – potwierdził Cussick.

Pearson skinął głową. Pociągnął łyk ze szklanki.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, że to skomplikowana rozgrywka. Oczywiście, że wiem, na czym polega ten projekt. Wiem to już od pierwszego dnia. Ale oficjalnie mówię tylko o tych dwóch statkach. Oni... wiesz, o kogo chodzi... zostaną podzieleni na dwie grupy, po czworo w każdej. W ten sposób, jeśli jednemu ze statków nie uda się dotrzeć do celu, pozostanie drugi.

– Czy tam, na Wenus, są jakieś zapasy? – zapytał Cussick. – Jakieś wyposażenie?

– Całe góry zapasów. Tony sprzętu. Musimy już tylko dostawić tam tę ósemkę.

Cussick wstał.

– Zawiadomię Rafferty’ego.

Pearson także podniósł się z krzesła.

– Na dole mam samochód. Zawiozę cię na lądowisko. A najlepiej polecę tam z tobą.

Pół godziny później lądowali już w San Francisco. Rafferty spał. Cussick obudził go i przekazał nowiny. Uprzedzono bazę artylerii. Uruchomiono Furgon i załadowano do niego Wenusjan: siedmioro dorosłych i niemowlę, wciąż leżące w inkubatorze. Przerażeni, zdezorientowani, mutanci siedzieli ściśnięci w ciasnym kontenerze. Zerkali niespokojnie w górę, mrugali powiekami, rozmawiali niepewnym szeptem – wylęknieni młodzi ludzie.

– Powodzenia! – zawołał Rafferty.

Pearson i Cussick pojechali za Furgonem do bazy. Nadzorowali załadunek statków, po czworo mutantów w każdym. Włazy zostały zaryglowane, statki ustawione na wyrzutniach i jednocześnie wyniesione w kosmos. Cussick, Pearson i Rafferty przyglądali się temu, stojąc w cieniu na skraju pola startowego. Wszystko to zajęło półtorej godziny: Jones miał przed sobą jeszcze trzydzieści minut oczekiwania.

– Macie ochotę się napić? – zapytał Cussick.

Wszyscy trzej upili się do nieprzytomności. W ponurym alkoholowym otępieniu czas i przestrzeń przestały mieć dla nich znaczenie. Świat rozpląnął się w chaotycznym wirze ulotnych zjaw, niewyraźnych dźwięków, zmiennych barw i plam światła. Gdzieś po drodze do świadomości Cussicka wdarło się na chwilę pewne wydarzenie.

Wokół nich stało czterech mężczyzn w szarych mundurach, którzy sprawnie przeglądali ich dokumenty. Zamroczony, siłą woli skupił na nich całą swą uwagę.

– Czego chcecie? – zapytał.

Ale oni nie interesowali się nim. Szukali Pearsona. Pochwycili go i zaczęli wywlekać z baru. Przerażony Cussick rzucił się na nich jak oszalały, by ocalić Pearsona. Jeden z mężczyzn w szarych mundurach pchnął go na podłogę, drugi nadepnął mu na twarz.

Potem odeszli. Cussick leżał na podłodze obok nieruchomego Rafferty'ego, pośród przewróconych stołków i potłuczonego szkła. Stopniowo, opornie, do jego umysłu wpełzała lodowata trzeźwość. Pearson został aresztowany. Za ścianami baru grzmiała narastająca kakofonia dźwięków, ryk silników, jakieś wrzaski, tupot ciężkich butów, wybuchy granatów.

Ostatnie pół godziny minęło. Jones objął swój urząd. Nastął pierwszy dzień Rządu Kryzysowego i pierwszy dzień nowego porządku na świecie.



## Rozdział piętnasty

W ciasnej, niskiej kabinie siedziała pochylona nad stołem roboczym drobna postać. Ściskając w rękę lutownicę, Louis ponuro wpatrywał się w splątaną masę przewodów i części elektronicznych. Jeśli nie liczyć cichego buczenia cewek lutownicy, w kabinie panowała zupełna cisza. Nic się nie poruszało. Metalowe ściany były zimne, gładkie, bezosobowe. Każdą płaską powierzchnię pokrywały szafki, oznaczone wymalowanymi przez szablon symbolami. Nie zmarnowano nawet całej sześciennego przestrzeni. Kabina mogła stanowić wzór funkcjonalności.

Rozłożone na stole tranzystory, przekaźniki i stopy kabli były elementami układu sterowania rakiety sygnalizacyjnej. Sama rakietka, długa na sześć stóp, o czterocalowej średnicy, stała w kącie, oparta o ścianę – cienka metalowa skorupa, pozbawiona zawartości. Nad stołem wisiały przylepione do ściany zatłuszczone, pomięte schematy. Z giętkiego węża lampy spływało w dół błękitno-białe światło, odbijając się w połyskujących metalicznie narzędziach.

– Nie potrafię – powiedział głośno sam do siebie. Gorączkowo poodrywał przewody i zaczął je lutować od nowa, w innych kombinacjach. Przez dziesięć minut słychać było skwierczenie parującej cyny. Uruchomił mechanizm rakiety. Lampy rozgrzały się. Przez obwód popłynął prąd.

I nic. W ferworze pracy jeszcze raz pozrywał przewody połączył je na chybił trafił i znów złutował. Dmuchając i plując na stygnący metal, szturchając palcem dymiące końcówki, jeszcze jeden, ostatni raz, przepuścił przez obwód prąd.

Wciąż nic.

Ustawił wyłącznik zegarowy na dziewięćdziesiąt sekund, przedział wyliczony przez Dietera. Mechanizm ruszył. Tik-tak, tik-tak, tik-tak, tik-tak. To było nie do zniesienia. Zmniejszył przedział do pięciu sekund i czekał, starając się opanować histerię, aż wreszcie przekaźnik zaskoczył i tykanie ustało.

Zegarek mówił mu, że i tak była sekunda różnicy. Przy dziewięćdziesięciu sekundach dałoby to różnicę osiemnastu sekund. Albo jeszcze gorzej. Być może to w ogóle nie zadziała. Może rakietka sygnalizacyjna ominie drugi statek i oddali się w ciemność, nie wyzwalając magnetycznego chwytaka. Do diabła z tym. Za mało znał się na elektronice.

– Jestem do niczego – powiedział, mając na myśli nie tylko to niepowodzenie. Myślał o całym swoim życiu. Jego głos odbił się echem w małej kabinie, cienki i słaby... ale jednak głos. Każdy głos był mile widziany.

– Ty... – powiedział z głębi duszy do rozłożonych na stole szczątków. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby to usłyszeć, wy dobył więc z pamięci jeszcze parę soczystych określeń i wypowiedział je głośno. Dziwnie było słyszeć przekleństwa miotane własnym, wątłym głosem. Był zaskoczony, niemal wstrząśnięty. Wściekłość zniknęła. Jej miejsce zajął wstyd.

– Irma by sobie z tym poradziła – mruknął rozzalony. I nagle ogarnął go strach. Czysty, zwyczajny strach. Powoli, spokojnie zamknął oczy i krzyknął. Niczym człowiek, któremu ugrzęzło w gardle coś strasznego, siedział zeszywniały, wyginając palce jak szpony, ze skórą pokrytą zimnym, lepkiem potem, z wyciągniętym językiem, skulonymi ramionami, otwartymi ustami, wywrzaskując na całe gardło swój strach.

Ale wszystko to było na próżno, ponieważ oni, na Ziemi, i tak nie mogli go usłyszeć. Jestem tutaj! – krzyczał. Zupełnie sam, o miliardy mil od was. Wokół mnie jest pustka! Lecę gdzieś, a nikt o tym nie wie, nikogo to nie obchodzi! Pomóżcie mi! Zabierzcie mnie stąd! Chcę wrócić do domu!

A jednocześnie przez cały czas zdawał sobie sprawę, że to dziecinada, głupota, ponieważ tak naprawdę wcale nie był sam: byli z nim Dieter i Vivian, i niemowlę, Laura oraz gigantyczny metalowy statek, wielki jak cztery kamienice, ważący tysiące ton, nafaszerowany wartymi miliardy dolarów silnikami, zabezpieczeniami, zapasami żywności. Był to więc kompletny nonsens.

Dygocąc, wyciągnął rękę i dotknął ściany. Boże, wydawała się dosyć rzeczywista. Czego więcej mógłby sobie życzyć? Czy to wszystko mogło stać się choć trochę bardziej realne? Jak miałoby wtedy wyglądać? Jego myśli krążyły szaleńczo, niczym nie napędzane, coraz szybciej i szybciej.

Podszedł do drzwi, zatrzaskał je i zaryglował solidnie. Wyjrzał przez wizjer.. Doskonale. Był zamknięty. Nawet jeśli wpadnie w szal, wszystko będzie w porządku: nikt go nie zobaczy, nikt się nie dowie, nikomu nie stanie się krzywda. Może zdemolować całą kabinę, a i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia. Co innego, gdyby dostał amoku na zewnątrz, gdzie mógłby uszkodzić delikatne zespoły automatycznego pilota.

Jasne metalowe ściany kabiny wyglądały, jakby zrobiono je z cienkiej jak papier, może jeszcze cieńszej, folii. Delikatna metalowa skórka oddzielająca go od pustki. Odczuwał to niemal namacalnie. Kiedy przykładął dłoń do ściany, kiedy zmuszał się do tego, pokonując niewiarygodne cierpienie, dotykał w gruncie rzeczy otaczającej statek próżni.

Słyszał ją. Czuł jej dotyk, jej zapach. Zimną, stęchłą woń spleśniałego papieru. Odór rozdmuchiwanego nocnym wiatrem śmietniska. Powiew tak lekki, że aż niedostrzegalny, dmący tak słabo, że nie czuło się żadnego ruchu, nic poza ciągłym wrażeniem jego obecności. Był tam zawsze. Nigdy nie ustawał.

Strach ustąpił miejsca oburzeniu. Dlaczego nie ma łączności między obydwoma statkami? I dlaczego nie postarano się o jakiś dźwięk? Na statku panowała zupełna cisza. Silniki były wyłączone – tylko od czasu do czasu na denerwujący ułamek sekundy włączały się boczne dysze, by skorygować kurs. Skąd mógł wiedzieć, że statek się porusza? Nasłuchiwał, ale nie usłyszał nic. Węszył, rozglądał się, macał wkoło, lecz nie znajdował nic poza ścianą z metalowej folii, na pozór cieńszą niż papier, tak delikatną, że mógłby ją porwać na strzępy.

Siedział tak i dumał. Jego myśli krążyły bez celu. A tymczasem statek wraz ze swym niewidocznym towarzyszem z każdą chwilą przybliżał się do Wenus.

Na drugim statku Frank siedział w kabinie łączności pochylony nad odbiornikiem.

– „Już w ciągu pierwszych siedemdziesięciu dwóch godzin od ustanowienia Rządu Kryzysowego”, mówił przez trzaski zanikającym głosem spiker z Ziemi, „daje się zauważyć wyraźną zmianę w postawie ludności”.

Irma i Frank wymienili cyniczne spojrzenia.

„Zniknęła dotychczasowa apatia i przeświadczenie o braku perspektyw, charakteryzujące życie w systemie narzuconym przez Rząd Federalny. Przeciętny człowiek odzyskał zapał, znów ujrzał przed sobą cel w życiu. Ma zaufanie do swych obecnych przywódców. Wie, że będą działać. Wie, że nie są dotknięci intelektualnym paraliżem”.

– Co to znaczy? – zapytała cierpko Syd.

– To znaczy, że najpierw działają, a dopiero potem myślą – odparła Irma.

Głos płynął dalej. Stojący w kącie magnetofon rejestrował wszystko. Czwórka ludzi słuchała w skupieniu, nie chcąc uronić słowa. To, co słyszeli, budziło w nich wstręt.

– To takie... głupie – odezwała się Irma. – Głupie i bezsensowne, jak kiepski slogan reklamowy. Ale oni w to wierzą. Oni traktują to poważnie.

– Oselki poszły w ruch – powiedział, zacinając się, Garry. – Tylko śmigają. Tanie ostrzenie mieczy... hurra, nowy interes. Jeśli kiedykolwiek wrócimy na Ziemię, możemy się do tego zabrać. Ostrzenie mieczy, polerowanie zbroi, podkuwanie koni. Nasze hasło brzmi: „Wszystko w średniowiecznym stylu”. Jeśli szukasz czegoś średniowiecznego, zgłoś się do nas.

Nikt go nie słuchał. Spiker skończył i troje dorosłych zatoneło w ponurych myślach.

– Mamy szczęście – powiedział po chwili Frank. – Gdybyśmy tam zostali, Krucjata Ludzi Przeciwno Hordom Najeźdźców siedziałyby nam już na karku. Nie jesteśmy hordą i nie jesteśmy najeźdźcami, ale poza tym wszystko się zgadza.

– Dobrze, że ktoś pomyślał, żeby nas wyprawić – zauważyła Syd. – Czy to był pomysł Rafferty’ego? Na koniec było takie zamieszanie... wciąż dobrze nie wiem, co się właściwie stało.

– Rafferty był przy tym – zapewnił Garry. – Widziałem, jak się tam kręcił. Krzyczał coś do nas, ale nie słyszałem co.

– Najwyraźniej mieli to wszystko przygotowane – stwierdził Frank. – Nie zbudowali przecież tych statków w ciągu jednego dnia. Ktoś... Rafferty, jak sądzę... zaplanował wysłanie nas poza Ziemię. Tego łatwo się domyślić. Prawdziwą zagadką jest co innego: czego, u licha, możemy się spodziewać na drugim końcu.

– Może po prostu chcieli się nas pozbyć – odezwała się niepewnie Irma. – Na zasadzie wywalenia śmieci w kosmos. Przejażdżka w jedną stronę.

– Przecież gdyby chodziło im tylko o to, żeby się nas pozbyć, mogli to być zrobić już dawno – zauważyła Syd. – Tanio i łatwo, nie zwracając sobie głowy budowaniem Azylu i tych statków, z całym sprzętem dostosowanym do naszych potrzeb. To nie ma sensu.

– Jak wygląda Wenus? – zwróciła się do Garry’ego Irma. – Ty dużo czytasz, wszystko wiesz.

Chłopiec zarumienił się.

– To zupełnie pustkowie. Bez powietrza, bez życia.

– Jesteś tego pewien? – zapytał z powątpiewaniem Frank.

– Spalony słońcem ugór. Bez wody. Tumany pyłu. Pustynie.

– Ty ośle! – wykrzyknął z oburzeniem Frank. – Mówisz o Marsie!

– Co za różnica? Mars, Jowisz, Wenus, Pluton... wszystkie są takie same.

– Czy będziemy żyć w kopułach, razem ze zwiadowcami? – zastanawiała się głośno Syd. – To niemożliwe. Będziemy musieli mieć własną kopułę. Azyl w Azylu.

– Powinni byli nam powiedzieć – poskarżył się Garry.

– Nie było czasu – wyjaśniła Syd.

– Do diabła, nie było czasu? – odparował Frank. – Mieli trzydzieści lat na to, żeby nam powiedzieć. Całe moje życie, rok po roku, i ani jednego słowa.

– Przepraszam – odezwała się Irma – ale nie wydaje mi się, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Co mogli nam powiedzieć? Wiemy, dokąd lecimy. I nic nie możemy na to poradzić. Nie potrafimy zmienić kursu statków.

– Nasz problem polega na tym – powiedziała z namysłem Syd – że przyzwyczajaliśmy się do tego, że decydowano za nas. Nigdy właściwie nie robiliśmy nic na własną rękę. Jesteśmy jak dzieci. Nie mieliśmy szans wydorosnąć.

– To ta nasza macica – zgodził się z nią Frank. Wskazał na statek. – I nawet tu ją mamy wokół siebie.

– Pozwoliliśmy im myśleć za nas, planować za nas. Po prostu unosiliśmy się z prądem, tak jak teraz. Nie mamy pojęcia o odpowiedzialności.

– Co innego moglibyśmy zrobić? – zapytał Garry.

– Nic – stwierdziła Syd. – Zastanawiam się, czy to się w ogóle skończy. Czy zaczniemy kiedykolwiek żyć sami, realizować nasze własne plany.

Milczeli. Żadne z nich nie umiało sobie tego wyobrazić.

Podróż z Ziemi na Wenus trwała dwieście osiemdziesiąt godzin i czterdzieści pięć minut. W ostatniej fazie lotu, kiedy mglisty zielonkawy glob wypełnił całe niebo, Frank został sam w kabinie łączności. Zapłócił dłonie, siedział w oczekiwaniu.

Statek nie był już cichy. Podłoga i ściany dudniły od ryku dysz hamujących. Automatem reagowały na bliskość planety. Statek wszedł na spiralną trajektorię i zaczął stopniowo opadać ku powierzchni Wenus. Przed Frankiem zapalały się i gasły w różnych układach rzędy świateł: automatyczny sprzęt włączał się i wyłączał w odpowiedzi na rozwój sytuacji.

Głośnik zatrzeszczał, zaskwierczał szmerem zakłóceń, po czym przemówił:

– Tu kopia obsługi na Wenus – rozległ się ludzki głos, głośny i bardzo bliski, oddalony nie więcej niż o parę tysięcy mil. – Kim jesteście? Dlaczego lądujecie? Nie otrzymaliśmy żadnych meldunków. – Głos brzmiał przyjaźnie, choć sceptycznie. – Przedstawcie się. Statek dostawczy? Części zamienne? Trupa tancerka?

– Czy przywozicie nam sprzęt? – zapytał inny głos. – Cholernie brakuje nam maszyn do przetwórstwa żywności.

– I książek – westchnął pierwszy. – Chryste, zdychamy tutaj. Co to za sprawa z tym Jonesem? Kim, u diabła, on jest? Jak to się ma do prawa?

– Macie jakieś nowiny? – zapytał z przejęciem drugi. – Czy to prawda, że wysyłają statki poza Syriusza? I to całymi stadami?

Frank siedział bezradny. Nie mógł nic zrobić. Nadajnik, jak wszystko inne, pracował automatycznie. Straszne było słyszeć tak blisko te błagalne głosy i nie móc im odpowiedzieć.

A potem nadeszła odpowiedź. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, skąd pochodzi. Ogłuszający ryk falami uderzał w jego uszy.

– Ten statek – grzmiał głos – jest sterowany automatycznie. Jego pasażerowie nie mają nad nim kontroli. Ten statek, oraz drugi, towarzyszący mu, są pod ochroną Rządu Federalnego.

Był to głos doktora Rafferty'ego. Nagrany na taśmę i wprowadzony do automatycznego wyposażenia statku, wydobywał się z baterii świateł tuż nad głową Franka. Stare nagranie, sporządzone, kiedy istniał jeszcze Rząd Federalny, kiedy ta nazwa jeszcze coś znaczyła.

– Ten statek – ciągnął Rafferty – skieruje się sam do zamkniętego sektora w strefie N planety. Towarzyszący mu statek, także sterowany automatycznie, wyląduje za nim po godzinie. Jesteście proszeni o okazanie pasażerom wszelkiej możliwej pomocy, zwłaszcza w wypadku nieprzewidzianych trudności. Ten komunikat został nagrany przez legalnego przedstawiciela Rządu Federalnego. Będzie on powtarzany do momentu lądowania.

Znów dały się słyszeć ciche, pełne zdumienia głosy.

– To oni! – wykrzyknął ktoś cienko. – Wyślijcie karetki do strefy N! Będą lądować na automatyce!

Rozległa się seria zgrzytliwych dźwięków i wenusjański nadajnik wyłączył się z trzaskiem. Przez chwilę słyhać było tylko szum zakłóceń. Po pięciu minutach ponownie zagrzmiął głos Rafferty'ego.

Powtarzający się co pięć minut komunikat było słyhać, dopóki nie zagłuszyły go silniki pomocnicze, a statek nie zanurzył się w gęstych dolnych warstwach otaczającej planetę atmosfery.

Potykając się w pośpiechu, Frank wybiegł z kabiny łączności i popędził korytarzem do świetlicy. Była pusta. Pozostali już ją opuścili. Przerażony, zaczął miotać się wkoło, starając się przekrzyczeć hałas. Statek, wypełniony zgrzytliwym, organicznym jazgotem, jak gdyby każdy jego atom wykrzykiwał swój ból, wydawał się żyć.

Pojawił się przy nim Garry, chwycił go za ramię. Wołał coś, ale jego głos niknął w zgiełku: świadczyły o tym tylko gesty i ruchy jego ust. Frank poszedł za nim. Garry poprowadził go do wewnętrznej kabiny, wzmocnionej celi w samym sercu statku. Irma i Syd już tu były. Stały obok siebie w milczeniu, śmiertelnie blade, z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia. Kabina mieściła sprzęt medyczny. W poczuciu zagrożenia wycofali się tu instynktownie, szukając najbezpieczniejszego miejsca na całym statku.

Silniki hamujące wyłączyły się. Albo statkowi zabrakło paliwa, albo go zaprogramowano na schodzenie do lądowania lotem bezwładnym. Frank zastanawiał się, co dzieje się z drugim statkiem. Myślał o Louisie, Vivian, Dieterze i niemowlęciu. Wolałby, żeby wszyscy byli razem, cała ósemka. Wolałby...

Uderzenie wymazało jego myśli. Na dłuższy czas, sam nie wiedział, jak długi, pograżył się w nicości. Zniknął świat, zniknęła tożsamość, pozostała tylko pustka nieistnienia. Nie odczuwał nic, nawet bólu.

Pierwszym doznaniem, jakie dotarło do jego świadomości, było ciśnienie. Leżał w kącie, a w głowie dudnił mu wielki dzwon kościelny. Jego mózg powoli wirował, przyprawiając go o mdłości. Kabina była zdemolowana, zgnieciona, jak gdyby nastąpił na nią jakiś Behemot. W jednym miejscu sufit i podłoga zetknęły się z sobą. Z popękanych rur w ścianach wypływał i rozlewał się w kałuże jakiś płyn, prawdopodobnie ciecz chłodząca.

W półmroku krzątał się pojazd naprawczy, nedorzecznie usiłując zatkać pęknięcie w kadłubie, wielkie jak dwupiętrowy budynek.

Cóż, to było to. Statek rozerwał się jak przepelniony pęcherz. Do środka wpływała gęsta, aromatyczna, kłębiąca się mgła. Karetki zabiorą tylko ich trupy.

– Frank – szepnął Garry.

Frank uniósł się z wysiłkiem. Syd leżała zwinięta w kłębek. Prawdopodobnie nie żyła. Pod palcami wyczuł tętno. Nie, jednak żyła. Potykając się, ruszył z Garrym przez zdemolowaną kabinę, kierując się tam, gdzie dawniej był korytarz. Zatrzymali się przed tarasującą drogę zapadniętą ścianą. Mogli wyjść tylko przez rozdarcie w kadłubie. Istniała tylko jedna droga: na zewnątrz. Pozostała część statku zamieniła się w rozplaszczoną kupę złomu.

– Gdzie jest Irma? – zapytał ochryplym głosem. Garry, klucząc wśród żelastwa, zmierzał ku pęknięciu.

– Na zewnątrz. Wyczołgała się. – Stękając, szamocąc się, zniknął w kłębach wilgotnej mgły i wyskoczył przez otwór. Frank ruszył za nim.

To, co zobaczyli, wydawało się niewiarygodne. Przez chwilę rozglądali się, nic nie rozumiejąc.

– Znów jesteśmy w domu – powiedział półgłosem Frank, oszołomiony i zaskoczony. – Coś nie wyszło. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Ale to nie był ich Azyl. A zarazem był. Wokół rozciągały się znajome zamglone wzgórza, tonące w rozfalowanej wilgoci. Grunt pokrywał gęsty dywan bujnej roślinności, wszechobecne zielone porosty. Powietrze przesycone było bogatą, złożoną, organiczną wonią, podobną do tej, jaką pamiętali, lecz pełną życia. Stali tak, gapiąc się z otwartymi ustami. Nie otaczały ich żadne ściany, jak w Azylu. Ten świat rozciągał się po sam widnokrąg. I dalej. Ten świat był wszędzie.

– Mój Boże – powiedział Frank. – To nie jest lipa. – Pochylił się i podniósł z ziemi pełzające, podobne do ślimaka stworzenie. – To nie robot... to żyje. To jest prawdziwe!

Z mgły wyłoniła się Irma. Krew spływała jej na oko, włosy miała splątane, ubranie podarte.

– Jesteśmy w domu – wydyszała. W rękach ścisnęła pokaźny pęk roślin.– Spójrzcie tylko... pamiętacie to? I możemy oddychać. Możemy żyć.

Daleko od nich wzbijały się w górę wielkie kolumny pary, gejzery wrzącej wody wypchniętej z głębi skał na powierzchnię. Niewidoczny za kłębiącą się zasłoną wilgoci, huczał potężny ocean.

– Posłuchajcie – powiedział Frank. – Słyszycie to? Słyszycie wodę?

Słuchali. Słyszeli. Pochylili się i dotykali. Rzucili się na ziemię jak szaleńcy, wbijali w nią dłonie, przyciskali twarze do wilgotnej, ciepłej gleby.

– Jesteśmy w domu! – zawołała Irma przez łyzy. Wszyscy troje szlochali i zawodzili z radości. A nad ich głowami z hukiem schodził już do lądowania drugi statek.

## Rozdział szesnasty

Pod warstwą chmur, przy powierzchni Wenus temperatura wahała się od 37 do 38 stopni Celsjusza. Dolna warstwa atmosfery składała się głównie z amoniaku i tlenu i była mocno nasycona parą wodną. W oceanach i wśród falujących wzgórz kłębiły się przeróżne formy życia, budując i ewoluując, planując i tworząc.

Louis i Irma naprawiali właśnie napędzany turbiną ciągnik, kiedy zjawił się u nich Dieter.

– Gotowe! – zawołał z podnieceniem, stając w drzwiach szopy. – Wkrótce zaczynamy!

Louis wystawił głowę spod traktora.

– Co jest gotowe? – zapytał oschle.

– Zboże. Będziemy je zbierać. Mamy tam na dole cały sprzęt. Vivian właśnie go montuje. – Dieter podskakiwał jak szalony. – Wszyscy musicie zabrać się do roboty. To tutaj może poczekać. Ściągnąłem już Franka i Syd. Są w drodze. Spotkamy się z nimi na trasie. Garry też zjawi się trochę później.

Louis, zrzędcząc, wygramolił się spod ciągnika.

– To nie jest zboże. Przestań tak to nazywać.

– To jest zboże w głębszym znaczeniu tego słowa. To istota zboża.

– Chociaż jest ciemnozielone? – zapytała rozbawiona Irma.

– Choćby nawet było w fioletowe prążki i srebrne kropki, choćby miało dziewięćdziesiąt stóp wysokości i koronkowe strąki, choćby nawet rozpryskiwało dookoła ambrozję i fusy od kawy, i tak byłoby zbożem.

Louis stał, ocierając czoło.

– Nie przyjdziemy, dopóki nie uruchomimy traktora. – Do zagrody Dietera było pięćdziesiąt mil przez pofalowany teren. – Chyba będzie nam potrzebna nowa cewka zapłonowa. A to oznacza wyprawę do statku.

– Do diabła z tym – powiedział niecierpliwie Dieter. – Mam tu mój wóz z koniem pociągowym. Zmieścimy się wszyscy.

Zapręg czekał spokojnie przed szopą. Louis zbliżył się ostrożnie, przyglądając się „koniowi” zwężonymi podejrzliwie oczyma.



– Jak tyś to nazwał? – Widywał już te stworzenia, ale jeszcze nigdy z tak bliska. Koń składał się przede wszystkim z nóg o ogromnych płaskich stopach przypominających skórzaste przysawki. Z grzbietu zwisało mu w strąkach skłębione, nierówne futro. Głowę miał niewielką. Jego na wpół przymknięte oczy patrzyły obojętnie. – Jak udało ci się go złapać?

– Nie są zbyt płochliwe, trzeba mieć tylko cierpliwość. – Dieter wspiał się pa wóz i ujął lejce. – Nauczyłem to stworzenie masę rzeczy. One posługują się jakąś niby telepatią. Wystarczy, że pomyślę, o co mi chodzi, a on już to robi. – Pogardliwie zmarszczył nos. – Zapomnijcie o traktorze. I tak na dłuższą metę nie dacie rady utrzymać go w dobrym stanie. Oto pojazd przyszłości: wóz konny. To jest to.

Irma weszła ostrożnie na kozioł i usiadła obok Dietera. Chwilę później Louis poszedł w jej ślady. Wóz był prymitywny, ale solidny. Dieter pracowicie budował go przez ostatnie cztery miesiące. Materiałem było poznane niedawno przez nich zwarte włókno roślinne o strukturze przypominającej chleb, błyskawicznie twardniejące w kontakcie z atmosferą. Wysznięte dawało się ciąć, piłować, polerować i barwić. Od czasu do czasu pożywiały się nim migrujące zwierzęta, ale było to jedyne znane niebezpieczeństwo.

Wóz ruszył. Wielkie stopy konia zaczęły uderzać rytmicznie o ziemię. Chata Louisa malała za nimi w oddali. Wzniesli ją z Irmą własnymi rękami. Miniony rok przyniósł wiele dokonań. Chatę, zbudowaną z tej samej chlebowatej substancji, otaczały rozległe pola ziemi uprawnej. Rosły na nich zwarte kępy tego, co nazywali zbożem. Właściwie nie było to wcale zboże, taką jednak spełniało rolę. Nabrzmiące strąki dojrzewały w wilgotnym powietrzu. U stóp roślin pełzały drapieżne owady polujące na szkodniki. Pola nawadniane były przez system płytkich rowów, rozprowadzających wodę z podziemnego źródła, które gorącym, bulgocącym strumykiem wylewało się na powierzchnię. W ciepłym, wilgotnym klimacie, stabilnym niemal jak w cieplarni, możliwe były nawet cztery zbiory w ciągu roku.

Przed chatą stały na wpół zmontowane maszyny, przywiezione z rozbitych statków. Irma stopniowo budowała nowy sprzęt ze szczątków starego. Przewody paliwowe statków służyły teraz jako rury kanalizacyjne. Okablowanie tablicy kontrolnej doprowadzało do chaty prąd z napędzanego wodą generatora.

W szopie za chatą stały smętnie rozmaite miejscowe zwierzęta, ospale żując wilgotne siano. Zgromadzili ich tu całkiem sporo, nie każde jednak potrafili wykorzystać. Na razie poznali dziesięć gatunków o jadalnym mięsie oraz dwa wydzielające nadające się do picia płyny. Olbrzym pokryty gęstym włosiem służył im jako zwierzę pociągowe. A teraz doszedł jeszcze ten wielkostopy koń, którego Dieter zaprzągnął do swego wozu.

Koń śmiało pędził drogą. W ciągu kilku sekund osiągnął pełną prędkość. Gnał niczym futrzasty struś, unosząc wysoko drobną główkę. Przebierał nogami tak szybko, że wyglądały jak rozmyta plama. Wielkie stopy bębniły o ziemię: pac, pac. Wóz podskakiwał dziko. Louis i Irma trzymali się mocno, drżąc o swe życie. Dieter, pijany z radości, strzepywał lejcami, poganiając zwierzę do szybszego biegu.

– Jedziemy już wystarczająco szybko – wydusiła Irma, zaciskając zęby.

– To jeszcze nic! – wrzasnął Dieter. – Ten zwierzak naprawdę uwielbia biegać!

Przed nimi ukazał się rów, szeroki pas kamieni i krzewów. Louis zamknął oczy. Wóz już teraz zdawał się rozpadać na kawałki.

– Nie damy rady – wyszeptał. – Nie przejedziemy.

Tuż przed rowem koń rozpostarł dwoje krótkich skórzastych skrzydeł i zatrzepotał nimi energicznie. Zwierzę i wóz uniosły się nieco w powietrze, przeleciały nad rowem i z impetem opadły na ziemię po drugiej stronie.

– To ptak – szepnęła zdumiona Irma.

– Tak! – krzyknął Dieter. – Może się dostać wszędzie. Dobry konik. – Niebezpiecznie wychylił się do przodu i poklepał stworzenie po kudłatym zadzie. – Wspaniały konik! Królewski ptak!

Pejzaż przemykał obok nich w szaleńczym tempie. Po prawej wznosiło się w oddali zamglone pasmo gór, niemal niknące w snujących się kłębach pary nawilżającej powierzchnię planety. Zwarta pokrywa bujnej roślinności, pełzające wśród niej owady... gdziekolwiek Louis obrócił wzrok, wszędzie widział życie. Wszędzie, poza jedną wypaloną plamą u podnóża gór, czarną raną zaczynającą się już powoli pokrywać świeżą zielenią.

Było to miejsce, gdzie niegdyś znajdowały się kopuły zwiadowców. Tam żyli, stłoczeni w swoich „azyłach”, w hermetycznych bazach, ich poprzednicy. Teraz oni wszyscy już nie żyli. Pozostało tylko ośmioro Wenusjan.

Kiedy wylądował drugi statek, karetki były już w drodze. Osiadł łagodniej niż pierwszy. Nikt nie odniósł obrażeń, a statek wyszedł niemal bez szwanku. Karetki zebrały rannych do przygotowanych dla nich pomieszczeń. Przez pierwszy miesiąc – pomimo rozkazów Rządu Kryzysowego – zwiadowcy okazywali im wszelką pomoc. Potem, pod koniec lutego, rządowe komunikaty urwały się. Tydzień później na kopuły spadł ciężki pocisk. Przy życiu pozostali tylko Wenusjanie.

Śmierć zwiadowców była dla nich szokiem, ale szokiem, z którego mogli się otrząsnąć. Kwestia ich przetrwania została uproszczona. Odtąd byli zdani wyłącznie na siebie, nie mieli co liczyć na jakikolwiek kontakt z Ziemianami.

W zrujnowanych kopułach, statkach, którymi przylecieli, i w przygotowanych dla nich zabudowaniach było pod dostatkiem nie uszkodzonego sprzętu. Natychmiast zaczęli go zwozić i uruchamiać. Wkrótce jednak ogarnęła ich ospałość. W końcu zaprzestali regularnych pielgrzymek. Przestali gromadzić pochodzące z Ziemi materiały, skomplikowane maszyny i wyroby przemysłowe.

Żadne z nich nie miało już w gruncie rzeczy ochoty tego ciągnąć. Chcieli zacząć wszystko od początku. Nie zamierzali kopiować ziemskich wzorców. Potrzebowali własnej, skrojonej na ich miarę społeczności, dostosowanej do ich specyficznych potrzeb i tutejszych warunków.

Musiała to być społeczność rolnicza.

Mieli już pola uprawne i proste chaty, rowy nawadniające, ubrania tkane z roślinnego włókna, elektryczność, dwa wozy konne, kanalizację i studnie. Udomowili miejscowe zwierzęta. Znaleźli naturalne materiały budowlane. Wytwarzali podstawowe narzędzia i sprzęty. W ciągu pierwszego roku przebyli tysiące lat ewolucji kulturowej. Kto wie, może za dziesięć lat...

W dali, za łąką, ciągnął się długi wąwóz. Tu i tam leżało wśród zarośli kilka dryfterów. Zaczęły opadać przed tygodniem. A za wąwozem, w cieniu szerokiej grani, spoczywał potężny zwal jakiejś białej substancji.

– Co to jest? – odezwał się Dieter, wrywając Louisa z zamyślenia. – Pierwszy raz widzę tę formę życia.

Drugim wozem nadjechali właśnie Frank i Syd. Wenusjanie zebrali się w milczeniu, zaniepokojeni obecnością złowieszczej białej hałdy. Syd trzymała w ramionach wierzące się kapryśnie dziecko.

– To coś obcego – powiedział w końcu Frank.

– Skąd wiesz? – zapytał Dieter. – Kim jesteś, żeby to oceniać?

– Chodzi mi o to, że to nie jest z Wenus – wyjaśnił Frank. – Opadło jakiś dzień czy dwa po dryfterach.

– Opadło? – w głosie Dietera brzmiało zdumienie. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Frank wzruszył ramionami.

– Tak jak dryftery. Spadło z nieba.

– Widziałam jeszcze jedno – wtrąciła się Irma. – Wygląda na to, że to następna międzygwiazdna forma życia.

Louis gwałtownie ujął Dietera za ramię.

– Podjedź tam. Chcę się temu przyjrzeć.

Twarz Dietera wydłużyła się z rozczarowania.

– Dlaczego? Chcę ci pokazać moje zboże.

– Do diabła ze zbożem – odparł ostro Louis. – Lepiej zobaczmy, co to jest.

– Przyglądałem się temu drugiemu – powiedział Frank. – Wydaje się nieszkodliwe. Nie mogłem dostrzec jakichś szczególnych cech... to pojedyncza komórka, tak jak dryftery. – Zawahał się. – Rozkroiłem ją. Ma jądro, ścianę komórkową, jakieś twory ziarniste w cytoplazmie. Nic niezwykłego: to normalny pierwotniak.

Dieter skierował wóz w tamtą stronę. Chwilę później zatrzymał konia obok białego zwaliska. Drugi wóz poszedł w ich ślady. Jeden z koni obwąchał białą poduszkę. Ni z tego, ni z owego zaczął ją podskubywać.

– Zostaw to! – krzyknął na niego Dieter. – Jeszcze się tym strujesz!

Louis zeskoczył na ziemię i zbliżył się do dziwnego tworu.

Poduszka była lekko wilgotna. Faktycznie było to coś żywego. Louis wziął kij i szturchnął ją parę razy na próbę. Oto była druga przybyła z kosmosu forma życia, rzadsza, nie tak pospolita jak mniejsze od niej dryftery.

– Tylko dwie? – zapytał. – Nikt nie widział więcej?

– Tam jest jeszcze jedna. – Irma wskazała ręką.

Ćwierć mili od nich opadła niedawno trzecia poduszka. Z miejsca, gdzie stali, mogli dostrzec jej ospały ruch... stworzenie powoli sunęło po ziemi, coraz wolniej i wolniej, aż zatrzymało się zupełnie.

– Nie żyje – stwierdził obojętnie Dieter.

Louis ruszył w tamtą stronę, brnąc przez gąbczastą, zieloną okrywą roślinności. Drobne zwierzęta, skorupiaki o twardych pancerzach, umykały mu spod stóp. Nie zwracał na nie uwagi, z wrokiem utkwionym w majaczącej przed nim masie bieli. Gdy do niej dotarł, przekonał się, że pierwotniak wcale nie jest martwy. Znalazł zagłębienie w ziemi i pracowicie się w nim zakotwiczył. Zafascynowany, przyglądał się, jak ogromna komórka wydziela śluzowate spoiwo, które twardniało, przytwierdzając ją solidnie do podłoża. Teraz leżała spokojnie, jak gdyby w oczekiwaniu.

W oczekiwaniu na co?

Zaciekawiony, obszedł ją dookoła. Jej powierzchnia była jednolicie gładka. Istotnie wyglądała jak pojedyncza komórka: gigantycznych rozmiarów pierwotniak. Podniósł odłamek skały i rzucił go. Kamień zagłębił się i utkwiał w białej masie.

Pewien był, że to stworzenie ma jakiś związek z dryfterami. Być może były to dwa stadia jednego organizmu. Wyjaśnienie to wydawało się prawdopodobne. Dryftery sprawiały wrażenie niekompletnych: jak wiedział, były niezdolne do pobierania pokarmu, do rozmnażania się, nawet do życia. To stworzenie jednak bez wątplenia potrafiło utrzymać się przy życiu: właśnie wybrało sobie siedlisko. Może chodziło o jakiś związek symbiotyczny?

Przyglądając się poduszce, zauważył dryftera.

Dryfter lądował. Louis widywał to już wcześniej, nigdy jednak nie przestawało go to fascynować. Stworzenie unosiło się w powietrzu niczym niesione wiatrem nasienie dmuchawca. Manewrowało ostrożnie, płynąc to w jednym kierunku, to w drugim, byle tylko jak najdłużej utrzymać się nad ziemią. Dryftery nie lubiły lądować. To kładło kres ich ruchliwości.

I oto nadlatywało, opadając ku śmierci, by zginąć bezowocnie. Niedorzeczny sekret stworzenia z gwiazd: przewędrowało miliony, miliardy mil, przez stulecia przemierzało kosmos – i po co? By skończyć tutaj, by szczeznąć na daremno?

Zwykły bezsens wszechświata. Życie bez celu. W ciągu ostatnich dwóch lat unicestwione zostały miliardy tych istot. To było tragiczne, głupie. Osobnik, którego miał przed sobą, usiłował utrzymać się przy życiu jeszcze przez jedną, ostatnią sekundę, nim opadnie ku bezcelowej śmierci. Beznadziejny trud. Jak cała jego rasa, był już skazany na zagładę.

Nagle dryfter zapadł się w siebie. Jego cienkie, wydłużone ciało skurczyło się raptownie jak gumowa taśma. Jeszcze przed sekundą, rozpostarte, chwyciło prądy powietrzne – chwilę później zmieniło się w cienki, długi ołówek. Dryfter dosłownie zwinął się w trąbkę. A teraz, w postaci wąskiej rurki, spadał w dół, trafiając bezbłędnie, celowo, prosto w ciastowatą poduszkę bieli.

Gładko wniknął w białą masę. Jej powierzchnia zamknęła się nad nim, zacierając wszelki ślad kontaktu.

– To ich dom – powiedział niepewnie Dieter. – Dryftery mieszkają tam w środku.

Poduszka zaczęła zmieniać kształt. Louis z niedowierzaniem przyglądał się, jak pęcznieje. Niemal podwoiła swe początkowe rozmiary. Wydawało mu się, że śni. To było niemożliwe. Tymczasem, na jego oczach, biała masa podzieliła się na półkule, złączone ze sobą, lecz wyraźnie odrębne. Rosnąc gwałtownie, znów się rozszczepiła, na ćwiartki. Tempo stawało się szaleńcze. Hałda bieli kipiała i puchła niczym drożdże. Dwie, cztery, osiem, szesnaście... dzieliła się w postępie geometrycznym.

Owionął go zimny, złowieszczy wiatr. Pęczniący kształt zdawał się przesłaniać sączące się przez chmury światło słońca. Nagle zorientował się, że stoi w gęstniejącym cieniu. Cofnął się z lękiem. Jego przerażenie udzieliło się obu koniom: kiedy wyciągnął rękę, by złapać za burtę wozu Dietera, niespodzianie rozłożyły skrzydła i rzuciły się do ucieczki. Ciągnąc za sobą wozy, umknęły byle dalej od potężniejszego zwału bieli. Louis został sam, bezsilny i oszołomiony.

– Co to jest?! – krzyknął Frank. W jego głosie znać było histerię.

Teraz wrzeszczeli już wszyscy:

– Co to jest?! Co się dzieje?!

Dieter zeskoczył na ziemię i stanął w szerokim rozkroku, ściskając lejce.

– Chodź! – zawołał na Louisa. – Wsiadaj! Prychnąwszy z odrazą, koń wzdrygnął się i odsunął od niego. Nie zwracając na to uwagi, Louis wdrapał się niezgrabnie na wóz i usiadł zgarbiony, poblady, z drżącymi wargami. Dieter wskoczył na swoje miejsce i wóz ruszył w dalszą drogę.

– To jest jajo – powiedziała cicho Syd.

– Było – poprawił ją Louis. – Przedtem. Teraz to jest zygota.

Kosmiczne jajo zostało zapłodnione przez mikrogametę. Louis, przyglądając się temu, odgadł, czym są dryftery.

– Pyłek – wyszeptał wstrząśnięty. – Tym właśnie były przez cały czas. A nam nawet nie przyszło to do głowy.

Dryftery były pyłkiem, którego chmury wędrowały Przez międzygwiazdne przestrzenie w poszukiwaniu swych makrogamet. Ani one, ani białe poduszki nie były ostatecznym organizmem. Oba te elementy złożyły się na wzrastający w ich oczach zarodek.

Uświadomił też sobie coś jeszcze. Nikt dotąd tego nie odgadł, lecz Jones musiał o tym wiedzieć – i to już od pewnego czasu.

Zespół biologów przedstawił swój raport. Jones ledwie spojrział na plik papierów. Skinął głową i oddalił się, pogrążony w myślach.

– Czegoś takiego właśnie się obawialiśmy – powiedział Trillby, szef zespołu. – To tłumaczy ich niekompletność. To dlatego nie mają układu trawiennego ani rozrodczego. To one są układem rozrodczym – dodał. – W każdym razie jego połową.

– Co to było za słowo? – zapytał nagle Jones. – Zapomniałem.

– Metazoon. Wielokomórkowiec. Wykształcający narządy i wyspecjalizowane tkanki.

– I nie widzieliśmy go w stadium końcowym?

– Na Boga, nie – odparł gwałtownie Trillby. – Z całą pewnością. Ten organizm wykorzystuje planetę jako macicę. Wszystko, co udało nam się zaobserwować, to embrion i coś, co mogłoby odpowiadać stadium płodowemu. Na tym etapie rozrywa planetę na kawałki. Atmosfera, pole grawitacyjne są środowiskiem wczesnych faz rozwoju. Potem koniec z nami. Przypuszczam, że w pełni wykształcony organizm nie jest planetarny.

– Żyje pomiędzy gwiazdami? – Jones zmarszczył brwi. Na jego pobrużdżonej twarzy malowało się zaaferowanie. Niemal nie słyszał słów swego rozmówcy. – Rodzi się na planetach... w ich zaciszu.

– Mamy powody sądzić – powiedział Trillby – że wszystkie tak zwane dryftery są ziarenkami pyłku z jednej dorosłej rośliny... jeśli takie określenie ma tu jakiś sens. Być może nie jest to ani roślina, ani zwierzę. Połączenie obydwu... Nieruchome jak roślina, wykorzystujące roślinną metodę zapylania.

– Rośliny... – odezwał się Jones. – One nie walczą. Są bezradne.

– Mówiąc ogólnie. Ale nie powinniśmy zakładać, że te... – Jones z roztargnieniem skinął głową.

– Oczywiście... to absurd. Właściwie nie wiemy o nich nic pewnego. – Znużony, potarł czoło. –

Zatrzymam pański raport. Dziękuję.

Zostawił ich tam, skupionych wokół raportu niczym stadko zaniepokojonych kur. Mijane powierzchownie biurowe płaszyły mu przed oczyma, aż wreszcie znalazł się na zewnątrz, w pustym, pełnym przeciągów korytarzu łączącym skrzydło administracyjne z policyjnym. Spojrzał na zegarek: był już niemal czas. Czas. Rozwścieczony, wetknął zegarek z powrotem do kieszeni, nie mogąc znieść widoku jego pogodnej i kpiącej tarczy.

Przez rok obracał ten raport w myślach. Znał go na pamięć, słowo po słowie – i wreszcie powołał zespół, który miał go sporządzić. Zrobili dobrą robotę: wnikliwie przeanalizowali problem.

Spoza budynku dobiegały jakieś odgłosy. Jones przystanął i zadrżał lekko. Niejasno uświadamiał sobie, wyczuwał raczej, rozlegający się tam, na zewnątrz, nieustający szum głosów. Roztrzęsiony, przeciągnął palcami po włosach, wygładzając je, jak mógł najdokładniej. Próbował się doprowadzić do jako takiego porządku.

Był prostym człowiekiem w okularach o stalowych oprawkach i rzędzących włosach. Nosił prosty szary mundur, z pojedynczym medalem na zapadniętej piersi, oraz przepisową opaskę ze skrzyżowanymi retortami na ramieniu. Jego życie wypełniała bezustanna praca. Od nieustannego napięcia i trosk miał wrzód na dwunastnicy. Był sumienny.

Był skończony.

Ale stojący pod budynkiem tłum nie wiedział o tym wszystkim. Gromadził się, przybierając monstrualne rozmiary. Tysiące ludzi, skupionych w jedną, ogarniętą podnieceniem masę, wrzeszczących i wymachujących ramionami, wiwatujących i wznoszących transparenty i plansze. Hałas napływał falami, odległy pomruk utrzymujący się – z nielicznymi przerwami – od ponad roku. Tam, na zewnątrz, zawsze ktoś stał, drąc się na całe gardło. Jones wsłuchał się od niechcienia w wykrzykiwane hasła. Odruchowo, niemal biurokratycznie, porównał je z programem, który nakreślił.

**WIERZYMYS!**

**JESZCZE NIE TERAZ, ALE JUŻ NIEDŁUGO!**

**JONES WIE – JONES DZIAŁA!**

Jones wiedział, oczywiście. W ponurym nastroju założył ręce i niecierpliwie, niespokojnie zaczął chodzić w kółko. W końcu, rozdeptawszy żywopłot wokół budynku policji, tłum się rozproszy. Wciąż wiwatując, wciąż przekrzykując się hasłami, ludzie się wreszcie rozejdą. Najbardziej zagorzali zwolennicy wezmą lodowato zimny prysznic i wrócą na posterunek, by zaplanować kolejny etap wielkiej strategii. Nikt z nich nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że Krucjata jest skończona. Za kilka dni statki zaczną powracać.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi. Ukazało się w nich dwóch mężczyzn: Pearson oraz uzbrojony strażnik w szarym mundurze. Pearson zbliżył się, wysoki, szczupły, o bladej twarzy i wąskich, zaciśniętych ustach. Nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok Jonesa. Zatrzymał się tuż przed nim, zmierzył go wzrokiem, spojrzął przez ramię na stojącego z tyłu strażnika i wzruszył ramionami.

– Kopę lat – powiedział. Zwilżył wargi. – Nie widziałem cię od tamtego dnia, kiedy wpadłeś nam w ręce.

– Od tego czasu wiele się zmieniło – odparł Jones. – Byłeś dobrze traktowany?

– Przesiedziałem prawie rok w celi – Pearson mówił łagodnie. – Nie wiem, czy można to nazwać dobrym traktowaniem.

– Przynieś dwa krzesła – rozkazał Jones strażnikowi. – Żebyśmy mogli usiąść. – Widząc, że strażnik waha się, Jones poczerwieniał i wrzasnął: – Rób, co ci każę! Wszystko jest pod kontrolą!

Strażnik przytaszczył krzesła. Jones usiadł bez ceregieli, Pearson również.

– Czego chcesz? – zapytał wprost.

– Słyszałeś o Krucjacie?

Pearson skinął głową.

– Słyszałem.

– Co o niej sądzisz?

– Uważam, że to strata czasu.

Jones zamyślił się.

– Tak – przyznał po chwili. – To strata czasu.

Pearson, zdumiony, otworzył usta, by coś powiedzieć, rozmyślił się jednak.

– Krucjata jest skończona – oświadczył Jones. – Nie powiodła się. Właśnie mnie poinformowano, że to, co nazywamy dryfterami, jest tylko pyłkiem niewiarygodnie złożonych roślinopodobnych organizmów, tak nam obcych i na takim stopniu rozwoju, że nigdy nie zdołamy zdobyć jaśniejszego wyobrażenia o ich naturze.

Pearson wbił w niego wzrok.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.



– W takim razie my jesteśmy... – Machnął ręką. – Czym my jesteśmy? Niczym!

– Dość trafnie to ująłeś.

– Może one uważają nas za jakieś związki chemiczne.

– Albo wirusy. Coś tego rodzaju. Tej skali.

– Ale... – Pearson zawahał się. – Co one mają zamiar zrobić? Skoro atakowaliśmy ich pyłek, niszczyliśmy ich zarodniki...

– W pełni wykształcone, dorosłe formy reagują prosto, racjonalnie. Ujmując rzecz w skrócie: bronią się. Nie mogą ich o to winić.

– To znaczy, że... wyeliminują nas?

– Nie, tylko unieszkodliwią. Wkrótce powstanie wokół nas pierścień, a raczej sfera. Będziemy mieli Ziemię, Układ Słoneczny, gwiazdy, do których już dotarliśmy. I to wszystko. A dalej... – Jones pstryknął palcami – okręty wojenne po prostu znikną. Zaraza, wirus, związek chemiczny czy za co nas one biorą, zostaną powstrzymane. Zamknięte w saku. Rozwiązanie jest efektywne: żadnego zbędnego ruchu. Czysta, precyzyjna reakcja. W sam raz pasująca do ich roślinnej natury.

Pearson wyprostował się.

– Od jak dawna wiesz o tym?

– Zbyt krótko. Wojna już się zaczęła. Gdyby toczyły się jakieś spektakularne międzygwiazdne bitwy – głos Jonesa przycichł do zakłopotanego, niemal niesłyszalnego szeptu – ludzie mogliby być usatysfakcjonowani. Nawet gdybyśmy przegrali, byłaby chociaż chwała, walka, przeciwnik którego można by nienawidzić. Tymczasem nie będzie nic. Za parę dni pierścień zamknie się i statki będą musiały zawrócić. Nie będzie nawet porażki. Po prostu pustka.

– A co z nimi? – Pearson wskazał ręką okno, za którym wciąż wiwatował tłum. – Jak oni to przyjmą?

– Robiłem, co mogłem – odparł spokojnie Jones. – Blefowałem i przegrałem. Nie miałem pojęcia, co atakujemy. Błądziłem po omacku.

– Powinniśmy byli się domyślić – powiedział Pearson.

– Niby dlaczego? Uważasz, że łatwo to sobie wyobrazić?

– Nie – przyznał Pearson. – Nie, to trudne.

– Byłeś kiedyś dyrektorem Secpolu – mówił Jones. – Kiedy doszedłem do władzy, kazałem rozpuścić i zlikwidować Służbę Bezpieczeństwa. Struktura została zniszczona. Obozy pracy są zamknięte. Jednoczył nas entuzjazm. Ale teraz nie będzie już entuzjazmu.

Pearson poczuł mdlący strach.

– Co to znaczy, u diabła?

– Proponuję ci twoją dawną pracę. Możesz mieć z powrotem swoją odznakę i biurko. I swój tytuł: dyrektor Służby Bezpieczeństwa. Swoją tajną policję, swoje oddziały szturmowe. Wszystko tak jak dawniej... z jednym wyjątkiem. Nie będzie Rady Najwyższej.

– A ty będziesz miał najwyższą władzę.

– Naturalnie.

– Idź się utop.

Jones dał znak strażnikowi.

– Sprowadź tu doktora Maniona.

Doktor Manion okazał się łysym, dobrze zbudowanym osobnikiem w nieskazitelnie białym mundurze. Miał wypielęgnowane paznokcie, lekko uperfumowane włosy i grube, wilgotne wargi. Przytaszczył ciężkie metalowe pudło, które postawił ostrożnie na stoliku.

– Doktorze Manion, to jest pan Pearson – powiedział Jones.

Dwaj mężczyźni odruchowo uścisnęli sobie dłonie. Pearson stał zeszywniały, podczas gdy Manion podwinął rękawy, spojrzał na Jonesa i zaczął otwierać stalową skrzynkę.

– Mam go tutaj – zapewnił. – Jest w doskonałej formie. Wspaniale przeżył podróż. To najlepszy egzemplarz, jaki dotąd zdobyliśmy – dodał z dumą.

– Doktor Manion jest parazytologiem – wyjaśnił Jones.

– Tak – potwierdził skwapliwie Manion. Na jego okrągłej twarzy uwidocznili się zawodowy zapał. – Widzi pan, Panie... Pearson? Tak, panie Pearson, jak chyba zdaje pan sobie sprawę, jednym z naszych najważniejszych zadań jest sprawdzanie, czy powracające statki nie przywlokły jakichś pozaziemskich pasożytów. Nie chcemy dopuścić na Ziemię nowych organizmów... – pudło otworzyło się z trzaskiem – ...chorobotwórczych.

Wewnątrz leżał zwinięty w kłębek flak gąbczastej, szarej, organicznej materii. Zwój żywej tkanki zamknięty był w przezroczystej żelatynowej kapsułce. Stworzenie poruszało się niemal niedostrzegalnie. Ślepy, bezoki koniec jego ciała kołysał się, obmacywał teren, przywierał wilgotną ssawką do żelatyny. Przypominał robaka. Jego segmentowane ciało falowało ospale.

– Jest głodny – wyjaśnił Manion. – Właściwie w tej postaci nie jest pasożytem. Nie wyrządza szkody nosicielowi, żyje z nim w symbiozie. Gdy jednak złoży jaja, larwy wykorzystują gospodarza jako źródło pożywienia. – Głos doktora brzmiał niemal czule. – Przypomina tym niektóre z naszych os. Pełny cykl wzrostu i składania jaj trwa około czterech miesięcy. A problem jest następujący:

wiemy, jak żyje to stworzenie u siebie. Nawiasem mówiąc, pochodzi z piątej planety Alfy. Widzieliśmy, jak zachowuje się w organizmie swego zwykłego żywiciela. I udało się nam, z różnymi rezultatami, wprowadzić go do naszych wielkich ssaków, takich jak krowa czy koń.

– Teraz doktor chce się przekonać – wtrącił Jones – czy ten pasożyt mógłby żyć w ciele człowieka.

– Rozwój jest powolny. – Manion aż wrzał z podniecenia. – Wystarczy, że będziemy go obserwować raz w tygodniu. Gdy tylko złoży jaja, dowiemy się, czy sobie poradzi w organizmie człowieka. Ale jeszcze nie udało nam się znaleźć ochotnika.

Zapadła cisza.

– Miałbyś ochotę? – zwrócił się do Pearsona Jones. – Masz wybór. Bierzesz jedną pracę albo drugą. Ja na twoim miejscu wolałbym tę, na której już się znam. Byłeś świetnym gliniarzem.

– Jak możesz? – zapytał słabym głosem Pearson.

– Muszę – odparł Jones. – Będę potrzebował policji. Tajne służby muszą zostać odtworzone, i to przez ludzi, którzy są w tym ekspertami.

– Dziękuję – powiedział ochryple Pearson. – Nie jestem zainteresowany. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Doktor Manion był zachwycony. Starając się zapanować nad sobą, zaczął majstrować przy żelatynowej kapsułce.

– A więc mogę zaczynać? Możemy skorzystać z laboratoriów medycznych w tym budynku – wyjaśnił Pearsonowi. – Miałem okazję się im przyjrzeć i uważam, że są znakomicie wyposażone. Zależy mi na tym, żeby wprowadzić to biedne stworzenie do organizmu żywiciela, zanim zagłodzi się na śmierć.

– To byłaby hańba – stwierdził Jones. – Cała droga z Alfy na nic. – Stał zamyślony, bawiąc się rękawem płaszcza. Zarówno Pearson, jak i Manion nie spuszczaali zeń oka. – Ma pan zapalniczkę? – zwrócił się nagle do doktora.

Manion, zbity z tropu, poszperał w kieszeni i podał mu ciężki, złoty przedmiot. Jones wykręcił zatyczkę i spryskał benzyną żelatynową kapsułkę. Z twarzy Maniona zniknął nagle wyraz kołtuńskiego zadowolenia.

– Dobry Boże – zaczął, wstrząśnięty. – Co, u licha...

Jones podpalił benzynę. Oszołomiony, bezradny, Manion musiał stać i patrzeć, jak benzyna, kapsułka i zamknięty w niej organizm giną w gryzących pomarańczowych językach ognia. Stopniowo płomień wygasał, pozostawiając jedynie czarny bulgocący szlam.

– Dlaczego? – zaprotestował słabo, nic nie pojmując.

– Jestem prowincjuszem – wyjaśnił krótko Jones. – To, co nieznanne, obce, przyprawia mnie o mdłości.

– Ale...

Oddał Manionowi zapalniczkę.

– Pan przyprawia mnie o jeszcze większe mdłości. Niech pan zabiera swoje pudło i wynosi się stąd.

Oniemiały, przybity katastrofą, Manion podniósł stygnącą metalową skrzynkę i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. Strażnik odsunął się i doktor zniknął za drzwiami.

Oddychając swobodniej, Pearson odezwał się:

– Ty nie zgodziłbyś się na współpracę z nami. Kamiński chciał, żebyś wspomógł Odbudowę.

Jones szorstko skinął głową na strażnika.

– W porządku. Zaprowadź tego człowieka z powrotem do celi. Niech tam zostanie.

– Na długo? – zapytał strażnik.

– Jak tylko się da – odparł Jones. W jego głosie zabrzmiała gorycz.

Wracając do kwatery głównej Organizacji, Jones pogрузzył się w ponurych rozmyślaniach.

Cóż, oczekiwał przecież porażki, czyż nie? Czyż nie wiedział, że Pearson odmówi? Czyż nie widział całej tej żalostnej sceny, nie wiedział, że nie zdobędzie się na to, by poddać go torturom? Może powiedzieć, że to zrobił. I powie. Tyle że to nie odmieni faktów.

Zbliżał się do końca. Pozostało mu jeszcze parę straszliwych, brutalnych chwil, nic więcej. To, co zrobi teraz, będzie czynem rozpaczliwym. Bezlitosnym i ostatecznym. Będzie to coś, o czym ludzie będą rozprawiać przez następne stulecia. Lecz przy całym szaleństwie tej myśli, chodziło po prostu, niezaprzeczalnie, o jego śmierć.

Nie wiedział, co czeka ludzkość, ponieważ nie miał już tego oglądać. Mówiąc bez ogródek, miał umrzeć. Roztrząsał tę myśl prawie od roku. Mógł ignorować ją przez jakiś czas, zawsze jednak powracała do niego, za każdym razem bardziej straszliwa i nieubłagana.

Gdy umrze, jego ciało i mózg ulegną rozkładowi. To właśnie było najbardziej odrażające: nie krótka chwila męki podczas egzekucji. Tę mógł jeszcze znieść. Ale nie to powolne, stopniowe odchodzenie w niebyt.

Iskra tożsamości utrzyma się w mózgu przez miesiące. Nikły płomyk świadomości będzie wciąż trwał: to były jego przyszłe wspomnienia. To właśnie ukazywała mu fala. Ciemność, pustkę śmierci.

I, zawieszoną w tej próżni, wciąż żywą osobowość.

Rozpad zacznie się od najwyższych poziomów. Pierwsze znikną najwyższe władze umysłowe, najbardziej rozumne, najbardziej świadome procesy. Godzinę po śmierci jego osobowość stanie się zwierzęca. Tydzień później stoczy się do poziomu rośliny. Rozpad będzie postępował tą samą drogą, którą niegdyś szedł rozwój. Krok po kroku odtwarzać będzie w odwrotnej kolejności szczeble, którymi pięła się w górę przez miliardy lat, od człowieka do małpy, od małpy do wczesnych naczelnych, potem do jaszczurki, żaby, ryby, skorupiaka, trylobita, pierwotniaka, aż wreszcie zginie w martwej nieorganicznej materii. W końcu nastąpi miłosierny koniec. Ale to potrwa.

W normalnych warunkach umierająca osobowość nie byłaby świadoma, nie zdawałaby sobie sprawy z tego procesu. Ale Jones był wyjątkiem. Przeżywał to tu i teraz, w całej pełni swych władz umysłowych. W jednej i tej samej chwili był najzupełniej świadomym, doskonale panującym nad swymi zmysłami, żywym człowiekiem – a zarazem trupem, którego psychika rozkładała się ostatecznie i nieodwołalnie.

To było nie do zniesienia. A jednak musiał to znieść. I z każdym dniem, z każdym tygodniem stawało się gorsze – aż wreszcie umrze naprawdę. A wtedy, Bogu dzięki, skończy się jego męka.

Cierpienia, jakie sprawiał innym, nie dorównywały tym, które musiał przechodzić on sam. Ale nie skarżył się na to. Zasłużył na taki los. To była jego kara. Grzeszył i doczekał się za to zapłaty.

Rozpoczął się ostatni, ponury etap jego egzystencji.

## Rozdział siedemnasty

Cussick rozmawiał właśnie z dwoma członkami policyjnego ruchu oporu, kiedy pod budynkiem zatrzymał się długi, czarny samochód Organizacji.

– Jasna cholera – powiedział cicho jeden z nich, wsuwając rękę pod płaszcz. – Czego tu szukają?

Cussick zgasił światło. Pokój pogrążył się w mroku. W samochodzie znajdowały się dwie osoby. Był to pojazd służbowy: na drzwiach i masce widniał starannie wymalowany emblemat ze skrzyżowanymi retortami. Przez chwilę obie postacie siedziały bez ruchu, zapewne rozmawiając.

– Poradzimy sobie z nimi – dobiegł stojącego przy oknie Cussicka nerwowy głos jednego z gliniarzy. – Jest nas trzech.

– To tylko forpoczta – stwierdził z rezygnacją drugi policjant. – Pewnie są też na dachu i na schodach.

Cussick, spięty i pełen najgorszych przeczuć, obserwował dalej. W nikłym świetle padającym na pogrążoną w mroku ulicę jedna z siedzących w wozie osób wydała mu się znajoma. Obok przemknął jakiś samochód, na mgnienie obrysowując ich sylwetki blaskiem reflektorów. Serce drgnęło mu boleśnie: miał rację. Przez kilka długich jak godziny chwil obie postacie siedziały nieruchomo w samochodzie. W końcu drzwi rozsunęły się. Znajoma postać wyszła na chodnik.

– To kobieta – powiedział ze zdumieniem jeden z policjantów.

Postać zatrzasnęła za sobą drzwi, obróciła się na pięcie i z wawym krokiem podeszła do bramy.

– Wy dwaj uciekajcie – odezwał się ochryłym, lekko drżącym głosem Cussick. – Sam się tym zajmę.

Gapili się na niego, nic nie rozumiejąc, ale on nie zwracał uwagi na ich zaskoczone miny. Otworzył drzwi i wypadł na wyłożony grubym dywanem korytarz, pędząc jej na spotkanie.

Była już na schodach. Kiedy go spostrzegła, zatrzymała się ze wzrokiem zwróconym w górę, chwytając się poręczy. Oddychała szybko. Miała na sobie surowy, szary mundur Organizacji, z małą czapczką na gęstych jasnych włosach. Ale to była ona. To była Nina. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, Cussick u szczytu schodów, ona poniżej, z blaskiem w oczach, z rozchylonymi wargami, rozszerzonymi nozdrzami. Wreszcie puściła poręcz i wbiegła na górę, wyciągając do niego ramiona, a on zszedł po dwóch dzielących ich jeszcze stopniach. Potem nastąpiła długa, zawieszona w niebycie chwila, gdy tulił ją do siebie, chłonał jej bliskość, wdychał ciepły zapach jej włosów. Znow, po tak wielu miesiącach, rozkoszował się gładkim naporem jej ciała, tęskną, żarliwą potrzebą bycia przy niej.

– Uff – stęknęła w końcu. – Udusisz mnie.

Poprowadził ją na górę, wciąż przytulając ją mocno, nie wypuszczając z objęć, dopóki nie znaleźli się w pustym już mieszkaniu i nie zamknęli za sobą drzwi.

Nina, zdyszana, rozglądając się dookoła, ściągała rękawiczki. Zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana, gdy drżącymi dłońmi machinalnie wpychała rękawiczki do torebki.

– I cóż? – zapytała matowym głosem. – Jak żyjesz?

– Nieźle. – Odsunął się nieco, by lepiej jej się przyjrzeć. Zachwiała się wyraźnie pod jego spojrzeniem. Skuliła się pod ścianą, na wpół uniosła dłoń do szyi, uśmiechając się z błagalnym spojrzeniem jak zwierzątko, które spóźniło się na obiad.

– Mogę wrócić? – szepnęła cicho.

– Wrócić? – Bał się nawet pomyśleć, co to znaczy. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Rozumiem, że nie.

– Oczywiście, że możesz wrócić. – Podszedł i objął ją. – Wiesz, że możesz wrócić. Zawsze. Kiedy tylko zechcesz.

– Lepiej mnie puść – wyszeptała. – Zaraz zacznę płakać. Chcę wyjąć chusteczkę.

Niechętnie wypuścił ją z objęć. Niezdarnymi palcami wyjęła skrawek materiału i wytarła nos. Przez chwilę stała, przytykając chusteczkę do oczu, wykrzywiając czerwone usta. Nie mówiła nic, nie patrzyła na niego, po prostu stała tak w swym szarym organizacyjnym mundurze, usiłując powstrzymać łzy.

– Ten sukinsyn – odezwała się wreszcie cienkim, słabym głosem.

– Jones?

– Powiem ci... kiedy będę mogła. – Zwinęła chusteczkę w kłębek i zaczęła krążyć po pokoju ze splecionymi ramionami, z uniesionym podbródkiem, wykrzywioną twarzą. – To długa i niezbyt przyjemna historia. Należałam do Organizacji... chyba już przeszło dwa lata.

– Dwadzieścia osiem miesięcy – uściślił.

– Być może. – Odwróciła się nagle w jego stronę. – To skończone. Zerwałam z tym.

– Co się stało?

Nina poszperała w kieszeniach.

– Masz papierosa?

Wyciągnął paczkę, zapalił jednego i włożył go między jej drżące wargi.

– Dzięki – powiedziała i wydmuchnęła silnie strumień sinego dymu. – Przede wszystkim myślę, że lepiej będzie, jak się stąd wyniesiemy. On może cię zgarnąć. Łapie teraz wszystkich.

– Przecież zostałem oczyszczony z zarzutów – zaprotestował.

– Kochanie, to nie ma najmniejszego znaczenia. Słyszałeś, co zrobił Pearsonowi? Nie, chyba nie mogłeś słyszeć. – Energicznie ujęła go za ramię i popchnęła ku drzwiom. – Na zewnątrz będzie o wiele bezpieczniej. Zabierz mnie gdzieś, dokądkolwiek. – Wciąż roztrzęsiona, wspięła się na palce i szybko pocałowała. – Coś się wydarzyło. My, z Organizacji, wiemy już o tym. Jones nam powiedział. Jutro dowiedzą się o tym wszyscy.

– O co chodzi?

– Wielka Krucjata jest skończona. Statki wracają. To oznacza koniec Jonesa, koniec Organizacji. Koniec Ruchu, chciałam powiedzieć. Teraz, kiedy jesteśmy u władzy, mamy nazywać...

Cussick namacał klamkę.

– To wspaniale – wydusił z siebie.

– Wspaniale? – Zaśmiała się gorzko. – To straszne, kochanie. Kiedy tylko stąd wyjdziemy, powiem ci dlaczego.

W zaułku dwie mile od domu znalazł całonocną knajpkę. Przy barze siedziało nad filiżankami kawy dwóch zaspanych klientów. Apatycznie czytali gazety. W głębi, znad sprzętu kuchennego, wpatrywała się w noc kelnerka. W kącie szafa grająca przygrywała sobie a muzom wciąż te same kawałki.

– Świetnie – powiedziała Nina, wślizgując się za przepierzenie na tyłach salki. – Jest tu gdzieś tylne wyjście, prawda?

Cussick dostrzegł drzwi za sprzętem kuchennym: wejście dla personelu i obsługi.

– Zjesz coś? – zapytał.

– Nie, chcę tylko kawę.

Przyniósł dwie filiżanki i przez chwilę siedzieli zamyśleni, mieszając kawę i spoglądając na siebie ukradkiem.

– Świetnie wyglądasz – powiedział z wahaniem.

– Dziękuję. Chyba udało mi się zrzucić kilogram czy dwa.



– Mówisz poważnie? Masz zamiar zostać? – Musiał się upewnić. – Nie odejdziesz znowu?

– Mówię poważnie – odparła po prostu, patrząc mu szczerze w oczy. – Jutro rano odbiorę Jackiego. Widywałam go od czasu do czasu – dodała. – W pewnym sensie opiekowałam się nim.

– Ja też – powiedział Cussick.

Sącząc kawę, Nina wytłumaczyła mu, co zaszło. Zwięźle nakreśliła sprawę dryfterów i sytuację, w jakiej znalazły się wysłane w kosmos jednostki.

– Pierścień jest już zamknięty – powiedziała. – Statki wracają na Ziemię. Czemu nie? Nic więcej nie mogą zrobić. Okręt flagowy kapitana Ascotta, ten kolos, wyląduje pierwszy. W tej chwili opróżniają dla niego port w Nowym Jorku.

– Pyłek – powiedział Cussick, wstrząśnięty nowiną. – To wyjaśnia, dlaczego wydawały się niekompletne. – Poczł, jak oblewa go zimny pot. – Wygląda na to, że nieźle się wkopaliśmy.

– Nie wyobrażaj sobie tylko tych wszystkich starych bredni – rzuciła ostro Nina. – Inwazji kosmitów na Ziemię czy czegoś w tym rodzaju. Nic z tych rzeczy. To są rośliny. Chodzi im o samoobronę, nic więcej. Chcą nas tylko zneutralizować... i to właśnie zrobiły. – Bezradnie rozłożyła ręce. – To już się stało! Skończone! Pozostał nam mały obszar, w którym możemy działać, jakieś sześć układów gwiazdnych. A dalej... – uśmiechnęła się drętwo – dalej jest ich pierścień.

– A Jones o tym nie wiedział?

– Kiedy zaczynał, nie. Odkrył to przed rokiem, ale co mógł poradzić? Wojna się rozpoczęła... kiedy się dowiedział, było już za późno. Zaryzykował i przegrał.

– Ale nie przyznał się, że ryzykuje. Twierdził, że wie.

– To prawda. Kłamał. Potrafił dostrzec wiele, ale jednak nie wszystko. No więc teraz płaci za to... widzi powrót floty. Wprowadził ludzkość w pułapkę. Zawiódł nas. Zdradził.

– Co teraz?

– Teraz naprawdę przystępuje do walki – powiedziała, blada i zgaszona. – Dziś po południu zwołał nas, wszystkich działaczy Organizacji. – Rozpięła szary płaszcz i odchyliła klapę. Do materiału przyszyta była odznaka z szeregiem liter i cyfr pod stylizowanym ornamentem. – Jestem grubą rybą, kochanie. Wicekomisarzem Kobiecej Ligi Obrony... to część nowego systemu bezpieczeństwa wewnętrznego. Tak więc zagnano mnie tam razem z innymi VIP-ami, postawiono w długim szeregu i uraczono prawdziwą historią, pierwszym spojrzeniem na nadchodzące wydarzenia.

– Jak on to przyjmuje?

– Prawie odchodzi od zmysłów.

– Dlaczego?

– Dlatego... – upiła łyk kawy – że mimo całej swej potęgi i władzy poniósł klęskę. Widzi swój upadek i śmierć... widzi swoją okropną, rozpaczliwą walkę o życie... i jej daremność. Miał to wypisane na twarzy. Wyglądał strasznie, jak trup. Rybie oczy. Bez życia, bez blasku. Cały się trząsł. Ledwie mógł ustać na nogach. Krzywił się, jękał... przykro było na to patrzeć. Powiedział nam, że Kruczata się nie powiodła, że flota wraca na Ziemię, że wkrótce możemy się spodziewać wybuchu zamieszek.

Cussick zamyślił się.

– Zamieszki. Zdradzeni zwolennicy.

– Wszyscy. Wszyscy poza szkieletem Organizacji, poza fanatykami. Oni będą walczyć dla niego jak szaleńcy.

– Ilu ich jest?

– Niezbyt wielu, jak sądzę. Idealiści, młodzi zapaleńcy. W końcu Jones naprawdę nas zawiódł. To fakt. On to wie, my to wiemy, niedługo będą o tym wiedzieli wszyscy. Ale są tacy, którzy pozostaną mu wierni mimo wszystko. – Martwym głosem dodała: – Ja nie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że powiedział nam, co zamierza zrobić – powiedziała cicho, wolno wymawiając słowa – aby zachować władzę. Chce posłużyć się flotą przeciwko tłumom. Dać flocie sposobność – do walki. A to oznacza... – jej głos załamał się, lecz szybko odzyskał dawne brzmienie – cóż, to oznacza wojnę domową. Mimo że nas okłamał, zdradził i doprowadził do upadku, z którego nigdy się nie podniesiemy, nie ma zamiaru ustąpić. Tak naprawdę on dopiero zaczyna. Jeśli ktokolwiek sądzi...

Cussick chwycił ją za ramię.

– Spokojnie – powiedział stanowczo. – Mów ciszej.

– Dzięki. – Skinęła sztywno głową. – To takie okropne. On wie, że to się nie uda... wie, że w końcu dobiorą się do niego. Sześć miesięcy. Tyle właśnie ma czasu. Ale nie ustąpi. Chce pociągnąć za sobą cały świat... jeśli on ma zginąć, niech razem z nim zginą wszyscy.

Cisza.

– I nic – dodała po chwili słabym głosem – nic nie możemy zrobić. Pamiętasz zamachowca? Pamiętasz próbę Pearsona? To tylko przysłużyło się Jonesowi... dzięki temu przejął władzę.

– Co się stało z Pearsonem?

– Umiera. Bardzo powoli i nieodwołalnie. Niedawno Jones zaraził go jakimś pasożytem, który go pożera, a w końcu złoży w nim jaja. Jest z tego niesamowicie dumny. Mógłby opowiadać nam

o tym bez końca.

Cussick oblizał wyschnięte wargi.

– I to jest człowiek, za którym poszłaś? – odezwał się ochryłym głosem.

– Mieliśmy marzenie – odparła po prostu. – I on je miał. Marzenie skwaśniało, rozpadło się... ale on nie zrezygnował. Nie chciał powiedzieć „dość”. I nic go nie powstrzyma. A my możemy tylko siedzieć i patrzeć na jego poczynania. Zaczynają się nagonki. Każdy, kto miał jakikolwiek związek z Rządem Federalnym, zostanie zlikwidowany. Wszystkie grupy, choćby tylko teoretycznie zdolne stawić mu opór, będą systematycznie i racjonalnie ścierane na miazgę.

Palce Cussicka machinalnie szarpały papierową serwetkę, rozrzucając strzępy po podłodze.

– Jones wie, że odeszłaś?

– Nie sędzę. Chyba jeszcze nie.

– Myślałem, że on wie o wszystkim.

– Wie tylko to, o czym ma się dowiedzieć. A tego może nigdy nie odkryć. Ostatecznie jestem tylko jedną z wielu. Ludzi, na których powinien mieć oko, są miliony. Wymknęło się sporo działaczy. Człowiek, który mnie tu przywiózł, był moim szefem. On też odchodzi, razem z żoną i całą rodziną. Ludzie wrywają się stadami, szukają miejsc, w których mogliby się ukryć. Przygotowują sobie schronienia, żeby to wszystko przeczekać.

– Chcę, żebyś tam wróciła – powiedział Cussick.

Nina jęknęła bezgłośnie.

– Mam wrócić? – Przebiegł ją dreszcz. – Chcesz z nim porozmawiać? Przekonać go?

– Nie – odparł Cussick. – Niezupełnie.

– Ach – skinęła ze zrozumieniem głową – wiem.

– Prawdopodobnie robię to samo co Pearson. Jeszcze raz ten sam donkiszotowski gest. Ale nie mogę siedzieć beczynn timer. – Nachylił się ku niej. – A ty możesz? Potrafisz siedzieć tu i pić kawę, kiedy on zabiera się do roboty?

Spuściła oczy.

– Chcę się tylko z tego wyplatać. I znów być z tobą – wyrzucała z siebie słowa, wbijając wzrok w filiżankę kawy, splatając nerwowo palce. – Mam pewne miejsce. W Afryce Zachodniej. Ciągłe jest tam sporo terenów niczyich. Załatwiłam to parę miesięcy temu. Wszystko jest gotowe. Dom budowały brygady Organizacji. Jest już wykończony. Sprowadzam tam teraz Jackiego.

– To nielegalne. Do tego trzeba nas obojga.

– Nie ma już czegoś takiego jak nielegalne. Nie wiesz o tym? Jest tylko to, czego chcemy... albo co rozkazuje Organizacja. Wszystko już zorganizowałam. Jeśli wyruszymy natychmiast, możemy być tam jutro rano. Międzykontynentalny statek Organizacji zabrałby nas do Leopoldville. Stamtąd dostalibyśmy się w góry transportem naziemnym.

– Brzmi nieźle – stwierdził Cussick. – Być może mogłoby nam się udać. Może nawet przeżylibyśmy te sześć miesięcy.

– Jestem tego pewna – powiedziała z naciskiem Nina. – Weźmy choćby tych Wenusjan. Oni go nie obchodzą. Wielu ludziom uda się przeżyć. On będzie miał dosyć roboty z zamieszkami w wielkich miastach.

Cussick spojrzął na zegarek.

– Chcę, żebyś wróciła do biura i zabrała mnie tam ze sobą. Potrafisz mnie przeprowadzić przez systemy kontroli?

– Jeśli to zrobimy, już się stamtąd nie wydostaniemy – powiedziała cicho stanowczym, bezbarwnym głosem. – Wiem... czuję to. Nie uda nam się uciec.

– Jedną z rzeczy, których nauczył nas Jones – odezwał się po chwili milczenia – jest to, jak ważne jest działanie. Myślę, że nadszedł czas, aby coś zrobić. Powinienem zostać stronnikiem Jonesa. Pora, bym wstąpił do jego Chłopaków.

Z drżących palców Niny wyslizgnęła się filiżanka. Naczynie przewróciło się i letnia kawa rozlała się w brzydką, brązową kałużę. Nawet nie drgnęli. Nawet nie zwrócili na to uwagi.

– I co? – zapytał Cussick.

– Myślę, że tak naprawdę wcale ci na mnie nie zależy – powiedziała cicho Nina. – Wcale nie chcesz, żebym do ciebie wróciła.

Nie odpowiedział. Czekał, aż się zgodzi, aż zacznie wprawiać w ruch koła, które doprowadzą go do Organizacji i do samego Jonesa. I zastanawiał się, z początku obojętnie, potem coraz bardziej bezradnie, jak zdoła zabić człowieka, który zna topografię przyszłości. Człowieka, którego nie można zaskoczyć. Człowieka, dla którego nie ma niespodzianek.

– Dobrze – odezwała się wreszcie niemal niesłyszalnym szeptem.

– Możesz sprowadzić służbowy samochód?

– Jasne. – Apatycznie podniosła się z krzesła. – Pójdę zadzwonić. Kierowca może podjechać po nas tutaj.

– To świetnie – odparł z zadowoleniem Cussick. – Zaczekamy.



## Rozdział osiemnasty

Samochód jechał przez zatłoczone ulice, smagany ciemnymi strugami deszczu. Kierowca w szarym mundurze z uwagą patrzył na jezdnię. Siedzący z tyłu Nina i Cussick milczeli.

Na zewnątrz przemykały oślepiające światła przednich reflektorów, odbijając się w miliardach kropli deszczu spływających po plastikowych szybach. Światła sygnalizacyjne zapalały się i gasły, powodując przełączanie się odpowiednich przełączników na desce rozdzielczej. Kierowca miał, poza nadawaniem kierunku jazdy, niewiele do roboty – większość urządzeń sterowniczych pracowała automatycznie. Był to młody, jasnowłosy służbista bez poczucia humoru, zręcznie i beznamiętnie wykonujący swoją pracę.

– Posłuchaj deszczu – szepnęła Nina.

Samochód zatrzymał się przed ciągiem świateł wytyczających zmianę trasy. Cussick poruszył się niespokojnie. Zapalił papierosa, zgasił go, nerwowo zapalił drugiego. Nina wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń.

– Kochanie – powiedziała płaczliwie. – Chciałabym... co, u diabła, mogę zrobić? Jak mogę ci pomóc?

– Po prostu wprowadź mnie tam.

– Ale jak chcesz to zrobić? To niemożliwe.

Cussick ostrzegawczo wskazał na kierowcę.

– Nie rozmawiajmy o tym.

– On jest w porządku – odparła Nina. – To jeden z moich ludzi.

Samochód znów ruszył i już po chwili wjechali na szeroką autostradę prowadzącą prosto do dawnych gmachów Rządu Federalnego. Tam właśnie zaszył się Jones. To już niedługo, uświadomił sobie Cussick. Może pół godziny, nie więcej. Ponuro spojrział przez okno na sznury rozpedzonych aut. Ruch był duży. Po chodnikach snuły się przygarbione sylwetki: pasażerowie miejskich ekspresów, wyrzuceni w miejscu przeznaczenia na łaskę losu i ulewnego deszczu.

Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd małą, lśniącą błyskotkę, starannie zawiniętą w półprzezroczystą brązową bibułkę. Siedział z rozstawionymi kolanami, trzymając świecidełko w złożonych w miseczkę dłoniach.

– Co tam masz? – zapytała Nina. Wzruszona wyciągnęła rękę. – Prezent dla mnie?

– Używaliśmy tego przez cały czas – powiedział, powstrzymując jej dłoń – dopóki Pearson nie zakazał. Pewnie o nich słyszałaś... komuniści opracowali je podczas wojny jako narzędzie do walki

ideologicznej. Przejęliśmy od nich ten pomysł. To lustro Lete.

– Ach, tak. – Pokiwała głową. – Słyszałam. Ale nie przypuszczałam, że jeszcze jakieś zostały.

– Każdy z nas zachował sobie jedno czy dwa. – Światełko w jego dłoniach połyskiwało złowieszczo. By je uaktywnić, wystarczyło tylko usunąć brązową bibułkę. Nic więcej. Lustro Lete było soczewką, która ogniskowała i pętała uwagę ośrodków mózgu odpowiadających za funkcje wyższe.

Samochód przyhamował lekko.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał natychmiast Cussick.

– Nie, proszę pana – odparł młody kierowca. – Jakies dzieciaki próbują złapać okazję. Czy mam je zabrać? Leje dosyć mocno.

– Oczywiście – powiedział Cussick. – Podwieziemy je.

Czwórka dzieciaków, która z wdzięcznością wgramoliła się do środka, obładowana była pociemniałymi od deszczu wiklinowymi koszykami i rozmokłymi resztkami proporczyków.

– Dzięki – sapnęła przywódczyni tej grupki, mniej więcej piętnastoletnia dziewczynka. – Uratowaliście nam życie.

– Sprzedawaliśmy odznaki Krucjaty – wyjaśniła inna, ocierając chustką twarz. Kosmyki brązowych włosów przyklepiły się jej do uszu. – I udało nam się sprzedać prawie wszystkie, zanim zaczęło padać – dodała wesoło.

Pulchny nastolatek o zaczerwienionej twarzy wpatrywał się w Ninę z lękiem i szacunkiem.

– Jest pani w Organizacji? – zapytał piskliwie.

– Tak – odparła niemal niedosłyszalnie.

Dziewczęta osuszały chustkami przemoczone ubrania, wyżymały włosy. Samochód wypełniła woń mokrych tkanin i podniecenia.

– Słuchajcie, to samochód służbowy – zauważyła jedna z dziewcząt.

Pierwsza dziewczynka, drobna, o ostrych rysach twarzy i wielkich, ciekawych oczach, zwróciła się nieśmiało do Cussicka:

– Czy ma pan odznakę Krucjaty?

– Nie – odparł krótko. Uderzyła go ironia tej sytuacji: oto siedzi wraz z typową grupką młodych zapaleńców sprzedających na ulicach odznaki, by zebrać fundusze na Krucjatę. Z dzieciakami o twarzach rozpalonych oddaniem dla sprawy, które sterczą na rogach ulic, zatrzymują samochody,

zaczepiają robiących zakupy lub pędzących do pracy przechodniów. W czterech młodych twarzach nie widział nic poza niewinnym podnieceniem. Dla nich Krucjata była wielką i szlachetną sprawą. Duchowym zbawieniem.

– Czy chciałby pan... – zaczęła dziewczynka, zerkając ku niemu bojaźliwie – czy chciałby pan kupić jedną?

– Jasne, czemu nie? – Sięgnął do kieszeni. – Ile kosztuje?

Nina wydała zdławiony dźwięk i gwałtownie schyliła głowę. Nie zwracając na nią uwagi, wydobył kilka zmiętych banknotów.

– Na ogół ludzie dają po dziesięć dolarów – powiedziała dziewczynka, pospiesznie sięgając do wiklinowego koszyka po odznakę. – Ile pan chce... to na słuszny cel.

Podał jej pieniądze. Poważnie, nieśmiało, przypięła mu do płaszcza odznakę: mały krążek jasnego plastiku z symbolem Kruczaty – wzniesionym mieczem na tle znajomych skrzyżowanych retort. Poczul się jakoś dziwnie i nieszczęśliwie. Nagle pochylił się i wyciągnął z koszyka jeszcze jedną.

– Masz – odezwał się łagodnie do Niny. – To dla ciebie. – Z namaszczeniem przypiął ją do jej płaszcza.

Nina uśmiechnęła się słabo i dotknęła jego dłoni.

– Teraz wszyscy mamy po jednej – powiedziała nieśmiało dziewczynka.

Cussick zapłacił jej za drugą odznakę, a ona skrupulatnie dołożyła pieniądze do wcześniej zebranych datków. Samochód jechał przez deszcz. Sześć osób na tylnym siedzeniu zamilkło. Każde z nich zatoneło we własnych myślach. Cussick zastanawiał się, co tych czworo dzieciaków będzie robiło i myślało za kilka dni. Bóg raczy wiedzieć... Bóg i Jones, ci dwaj wiedzieli. On jednak nie.

Kierowca wysadził gromadkę na głównym skrzyżowaniu. Trzasnęły drzwi, dzieciaki z wdzięcznością pomachały rękami i pojazd znów nabrał szybkości. Przed nimi wyłaniał się złowieszczy, szary sześcian – bunkier Rządu Federalnego. Byli już prawie na miejscu.

– Te dzieciaki... – powiedziała smętnie Nina. – Jeszcze nie tak dawno byłam taka jak one.

– Wiem – odparł Cussick.

– One nie mają złych zamiarów. Po prostu nie rozumieją.

Nachylił się i pocałował ją. Wilgotne, gorące wargi Niny przywarły rozpaczliwie do jego ust, póki nie odsunął się od niej z żalem.

– Życz mi szczęścia – powiedział krótko.



– Życzę ci. – Tuliła się do niego żarliwie. – Proszę, nie pozwól, żeby stała ci się krzywda.

Cussick przesunął dłonią po płaszczu. W kieszeni, oprócz lustra Lete, spoczywał zwykły policyjny pistolet. Lustro było dla Jonesa. Pistoletem miał sobie wywalczyć odwrót przez pierścień straży.

– Jak daleko możesz mnie wprowadzić? – zapytał. – Dokąd sięga twoja władza?

– Aż do końca – odpowiedziała. Jej twarz była blada jak kreda. Oddychała płytko, gwałtownie.  
– To nie będzie trudne... wszyscy mnie tu znają.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana – powiedział kierowca. Opuścili już autostradę i zjeżdżali teraz długim podjazdem ku garażom w podziemiach budynku. Wokół nich narastał odbijający się echem łoskot. Koła samochodu ślizgały się na stalowych prowadnicach. W półmroku zapalały się i gasły światła. Pojazd reagował natychmiast na ich sygnały. Niemal się zatrzymał, gdy kierowca przekazał sterowanie automatycznemu pilotowi garażowemu. Sunął w żółtym tempie, aż wreszcie stanął. Silnik zgasł, a hamulec zablokował koła. Podróż dobiegła końca.

Cussick ostrożnie otworzył drzwi i wysiadł z wozu. Poznawał to pomieszczenie. W tej wielkiej betonowej jaskini trzymał kiedyś swój własny samochód. Jediną różnicę stanowił mundur strażnika, który właśnie zmierzał w ich stronę. Szary mundur Organizacji zamiast brązowego uniformu policjanta. Mężczyzna z szacunkiem przyłożył dłoń do czapki.

– Dobry wieczór – powiedział półgłosem. – Czy mogę prosić o pańską przepustkę?

– Ja z nim porozmawiam – powiedziała Nina. Wysiadła pośpiesznie i stanęła u boku Cussicka. Poszperawszy w torebce, wydobyla stamtąd metalową plakietkę. – Proszę. To mój samochód.

– Kiedy ma pani zamiar go odebrać? – zapytał strażnik. Obejrzał uważnie plakietkę, po czym zwrócił ją Ninie. Pierwszą przeszkodę mieli więc już za sobą. – Zostawia go pani na noc?

– Proszę zatrzymać go na dolnym poziomie – poleciała, spoglądając pytająco na męża. – Może być nam potrzebny w każdej chwili.

– Dobrze, proszę pani – odparł, jeszcze raz dotykając czapki. – Będzie tu na panią czekał.

Gdy weszli do windy, Cussick miał nogi jak z waty. Nina była straszliwie blada. Objął ją i wbił palce w jej ramię, aż skrzywiła się z bólu.

– Nic mi nie jest – powiedziała pogodnym tonem.

– Czy tu zawsze jest taki ruch? – Do windy wcisnęła się właśnie spora grupa urzędników o zaaferowanych twarzach, spychając ich w głąb kabiny.

– Nie zawsze. Ostatnio mamy spore... – wymijająco zawiesiła głos – duże ożywienie.

Drzwi windy zamknęły się. Umilkli, zacisnęli zęby i rozpaczliwie próbowali zachować zimną

krę. Urzędnicy szeptem podawali numery pięter. Nina zebrała się w sobie i powiedziała:

– Osiemnaste, proszę.

Wyszli z windy wraz z gromadką rozgorączkowanych dygnitarzy, którzy natychmiast rozbiegli się w różne strony. Przed nimi znajdowała się poczekalnia i szeroka lada recepcji. Nina ruszyła szybko w tamtą stronę. Jej obcasy stuknęły na twardej, wypolerowanej posadzce.

– Chciałabym umówić tego człowieka na spotkanie z panem Jonesem – powiedziała obojętnie do umundurowanego urzędnika za kontuarem. Wyjęła z torebki komplet dokumentów i rozłożyła na blacie.

Urzędnik wolno sięgnął po jej papiery i przestudiował je. Był to mężczyzna w średnim wieku, z obrzmiałą szyją, która wylewała się fałdami z ciasnego kołnierzyka. Pulchne, białe palce poruszały się wprawnie, gdy z irytującym, biurokratycznym zainteresowaniem przeglądał każdy dokument. Wreszcie odezwał się.

– Jaki jest powód pani prośby, panno Longstren? Ta sprawa będzie musiała przejść zwykłymi kanałami. Mamy już zajęte wszystkie terminy na najbliższe dwanaście godzin. – Z ociąganiem sięgnął po księgę i przesunął palcem po kolumnach. – Możliwe, że będzie pani musiała poczekać do rana.

Nina rzuciła Cussickowi nieme, udręczone spojrzenie.

– To pilna sprawa – powiedziała niepewnie. – Musi być załatwiona natychmiast.

– Dobrze – odparł bez specjalnego zainteresowania urzędnik – w takim razie musi pani wypełnić specjalną deklarację. – Wyciągnął z szuflady bloczek formularzy i obrócił w jej stronę. – Proszę określić szczegóły sprawy w punkcie piątym i jeszcze raz w punkcie ósmym. I proszę się upewnić, czy kalki są włożone prawidłowo. Może pani wypełnić to tam. – Wskazał mały stolik w kącie poczekalni.

Nina i Cussick jak odrętwiali podeszli z formularzami do stolika i usiedli.

– I co teraz? – zapytała zgnębionym głosem Nina. – Co mam napisać?

– Napisz, że przyprowadziłaś kogoś z laboratorium badań kosmicznych. Napisz, że pojawiły się pewne poszlaki co do charakteru otaczającego nas pierścienia.

Posłusznie wypełniła formularz.

– Widzisz tych ludzi w kolejce? Oni też czekają na rozmowę... i to wszystko są grube ryby. On jest zajęty non stop już od tygodnia.

Podpisała formularz i obydwójce powoli podeszli do kontuaru. Tym razem stało tam już kilka osób. Gdy przyszła wreszcie ich kolej, urzędnik szorstkim ruchem odebrał formularz, przejrzał go, oderwał od bloczka i wrzucił w szczelinę rejestratora.

– Proszę usiąść – powiedział ceremonialnie. – Minie co najmniej pół godziny, zanim pan Jones będzie miał czas przejrzeć państwa prośbę. Proszę poprzeglądać czasopisma – dodał.

Znaleźli sobie wolne krzesła i czekali, siedząc sztywno, obojętnie mnąc w dłoniach czasopisma. Wszędzie wokół kręcili się urzędnicy. Z bocznych korytarzy dobiegał szmer głosów, stłumiony stukot sprzętu. Budynek rozbrzmiewał niespokojnym ożywieniem.

– Praca wre – zauważył Cussick. Przekartkował egzemplarz „Saturday Evening Post” i odłożył go na stojak.

Nina skinęła głową, zbyt przerażona, by odpowiedzieć. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w podłodze, sztywno ściskając torebkę i czasopismo, z wargami ściągniętymi w wąską bezkrwistą kreskę. Cussick sięgnął do kieszeni, aż jego palce natrafiły na lustro Lete. Ukradkiem rozwinął bibułkę. Było już uaktywnione... musiał je tylko wyciągnąć.

Ale w gruncie rzeczy nie wierzył, by mu się udało.

– Żałujesz? – zapytała nieśmiało Nina. – Żałujesz, że przyszedłeś?

– Nie – odpowiedział. – Nie żałuję.

– Jeszcze nie jest za późno... mogliśmy po prostu wstać i wyjść.

Nie odpowiedział. Bał się. Nie trzeba było wiele, wystarczyłby najlżejszy impuls, by wstał i opuścił ten budynek. Dom, Nina, Jackie. Wszyscy troje razem, tak jak dawniej... odsunął od siebie tę myśl i zaczął obserwować w skupieniu, jak surowy urzędnik przegląda napływające formularze.

Urzędnik skinął na niego głową. Sztywno, z niedowierzaniem, Cussick wstał i podszedł do kontuaru.

– My? – wychrypiał przez ściśnięte gardło.

– Może pan wejść.

Cussick zamrugął.

– Chce pan powiedzieć, że podanie przeszło?

– Pan Jones zatwierdził je natychmiast. – Nie unosząc wzroku znad papierów, urzędnik wskazał głową boczne drzwi. – Proszę wejść i niech pan postara się załatwić swoją sprawę najszybciej, jak się da. Inni czekają.

Cussick wrócił do Niny. Przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma, gdy szedł przez poczekalnię.

– Wchodzę – powiedział krótko. – Lepiej chyba będzie, jeśli już stąd pójdiesz. Skoro dostałem się do środka, nie ma potrzeby, żebyś siedziała tu dłużej.

Spokojnie podniosła się z krzesła.

– Dokąd mam pójść?

– Do domu. Czeka tam na mnie.

– Dobrze – zgodziła się. Nie mówiąc nic więcej, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do windy.

Zmierzając w stronę wewnętrznych biur, Cussick zastanawiał się ponuro, co sprawiło, że jego wniosek został przyjęty tak szybko. Wciąż dumał nad tym, kiedy drogę zastąpiło mu czterech pracowników Organizacji w szarych mundurach.

– Dokumenty – odezwał się jeden z nich, wyciągając dłoń. – Pańskie dokumenty.

Cussick podał mu papiery, które zwrócił mu urzędnik w recepcji. Tamci przejrzeni je, przyjrzeni mu się uważnie i zadowolili się tym.

– W porządku – powiedzieli. – Proszę dalej.

Potrójne zespolone wrota rozsunęły się z hałasem i przed Cussickiem ukazały się kolejne biura i korytarze. Tu było już mniej ludzi. Odgłos jego kroków odbijał się echem w ponurej ciszy. Po chwili znalazł się w obszernym, wyłożonym dywanem holu. Był sam. Wokół nie było widać żywej duszy. W powietrzu unosił się nastrój niemal nabożnego skupienia... nie było tu żadnych ozdób, żadnych obrazów, posągów, nic, tylko dywan, nagie ściany, sufit. Na końcu pomieszczenia znajdowały się półprzymknięte drzwi. Podeszedł tam i zatrzymał się niepewnie.

– Kto to? – odezwał się wysoki, metaliczny głos, nabrzmiały zmęczeniem, zdenerwowany i zrzędnny.

W pierwszej chwili Cussick go nie rozpoznał. Potem przyszło olśnienie.

– Wejść – usłyszał zirytowany. – Nie stój tak pod drzwiami.

Wszedł, ściskając w dłoni lustro Lete. Za potężnym, zagraconym biurkiem siedział Jones. Twarz miał pobrużdżoną znużeniem i rozpaczą, niemal nie było go widać zza stosów dokumentów. Wyglądał jak wyczerpana, pokonana marionetka zmagająca się z górą.

– Cześć, Cussick – mruknął Jones, na chwilę unosząc wzrok. Wyciągnął szponiaste dłonie i odsunął kilka stert taśm i papierzyśk, które zalegały biurko. Mrużąc oczy jak to krótkowidz, machnięciem ręki wskazał mu krzesło. – Usiądź.

Cussick, oszołomiony, postąpił parę kroków. Naturalnie... to było oczywiste, tylko on nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Jones spodziewał się go. Na długo zanim jeszcze zobaczył wniosek, na długo zanim Cussick podyktował go Ninie, Jones wiedział już, kim jest ów „specjalista od badań kosmicznych”.

Za Jonesem stało dwóch potężnych, umundurowanych osiłków o tępych twarzach i pustych oczach. Trwali w milczeniu, nieruchomi jak posągi, z pistoletami maszynowymi w dłoniach. Cussick zawahał się. Obrócił w palcach lustro Lete.

– Dobra – warknął gniewnie Jones, wyciągając rękę. W ułamku sekundy lustro znalazło się w jego dłoni. Nie rzuciwszy nawet na nie okiem, upuścił je na dywan i zmiażdżył obcasem. Opierając splecione ręce na blacie biurka, wlepił wzrok w Cussicka. – Nie usiądziesz? – zapytał zgrzytliwie. – Nie cierpię patrzeć w górę. Siadaj, porozmawiamy. – Zaczął szperać wśród szpargałów na biurku. – Palisz, prawda? Nie mam tu papierosów. Rzuciłem palenie. To niezdrowe.

– Mam własne – odparł Cussick, sięgając niepewnie do płaszcza.

Bębniąc nerwowo palcami o blat, Jones powiedział:

– Nie widziałem cię od lat, od tamtego dnia w waszym biurze. Wciąż praca, rozporządzenia i inne sprawy. To kupa roboty. Duża odpowiedzialność.

– Tak – mruknął niewyraźnie Cussick.

– Pearson nie żyje, wiesz o tym. Umarł dziś rano. – Po zaszuszonej twarzy przemknął groteskowy grymas. – Pozwalałem mu żyć przez pewien czas. Chciał mnie zamordować, ale byłem przygotowany... od roku czekałem na tego zamachowca. Przyszedłeś w odpowiedniej chwili. Miałem właśnie zamiar posłać po ciebie. Nie tylko po ciebie, oczywiście. Po wszystkich takich jak ty. Mnóstwo ludzi. I po tę głupią blondynkę, która kiedyś była twoją żoną. Wiesz, że ona przyłączyła się do nas, prawda? Oczywiście, że wiesz... to ona wypełniła ten wniosek. Poznałem jej bazgroły.

– Tak – powtórzył Cussick.

– Trafiło do nas mnóstwo takich niewyżytych seksualnie kobiet z towarzystwa – ciągnął Jones, krzywiąc się. Jego wychudłe ciało przebiegał nerwowy dreszcz. Wypowiadane ze znużeniem słowa zlewały się w jednostajny bełkot. – Traktują to chyba jako substytut kopulacji... coś jak nieustający orgazm. Czasami, kiedy widzę koło siebie takie sztuki jak twoja żona, mam wrażenie, że prowadzę burdel, a nie...

Dłoń Cussicka wyszarpnęła ukryty w kieszeni płaszcza pistolet. Nie powziął świadomej decyzji. Jego ręka poruszała się z własnej woli. Nie myśląc, co robi, instynktownie, odruchowo wycelował i nacisnął spust.

Strzelał do wyższego z dwóch ochroniarzy. Nie wiadomo dlaczego przyszło mu do głowy, że najpierw musi zabić właśnie jego. Ale Jones, widząc błysk metalu, zerwał się z krzesła. Niczym patykowata, poruszana sznurkami kukła, rzucił się między Cussicka a strażników. Kula trafiła go tuż nad prawym okiem.

Goryle, skamieniali z wrażenia, stali jak wryci. Nawet nie unieśli broni.

Cussick również nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Stał z pistoletem w dłoni, nie strzelając do ochroniarzy, nie będąc celem ich strzałów. Ciało Jonesa leżało rozciągnięte bezwładnie

na zagraconym biurku.

Jones nie żył. Zabił go. Już po wszystkim.

To było niemożliwe.

## Rozdział dziewiętnasty

Kiedy pchnął na oścież drzwi do mieszkania, Nina krzyknęła ostro i podbiegła do niego. Płakała. Cussick objął ją i mocno uściśnął, wciąż jeszcze oszołomiony tym, co się stało.

– Nic mi nie jest – wymamrotał. – On nie żyje. Już po wszystkim.

Odsunęła się od niego. Twarz pokrywały jej smugi łez, oczy miała zaczerwienione i wilgotne.

– Zabiłeś go? – W jej głosie było tylko niedowierzanie, jak gdyby nie rozumiała, co zaszło. On też czuł się podobnie. Wyraz jej twarzy był lustrzanym odbiciem zdumienia malującego się na jego obliczu. – Ale jak?

– Zastrzeliłem go. – Wciąż trzymał w ręku pistolet. Opuścił budynek bez przeszkód. Nikt nie próbował go zatrzymać. Nikt nie pojmował, co się stało... napotykał jedynie oszołomione, odrętwiałe, pozbawione życia postacie.

– Przecież nie mogłeś go zabić – powiedziała Nina. – Czy on się tego nie spodziewał?

– Nie strzelałem do niego. Siedział... a ja celowałem do jednego z goryli. – Niepewnie potarł ręką czoło. – To było instynktowne. Mówił o tobie... wyszarpnąłem pistolet i wystrzeliłem. Może właśnie o to chodziło. Nie planowałem tego. Być może w jakiś sposób wpłynąłem na czas. Może działając odruchowo, odmieniłem przyszłość. Może podświadome reakcje są nieprzewidywalne.

Rozpaczliwie szukając odpowiedzi, sam niemal uwierzył w to, co mówi. Już prawie wymyślił przekonujące, racjonalne wyjaśnienie. Już prawie gotów był je zaakceptować... gdy nagle jego wzrok padł na małą brązową paczuszkę leżącą na oparciu kanapy.

– Co to jest? – zapytał.

– To? – Nina podniosła pakunek. – Nie mam zielonego pojęcia. Było tu już, kiedy przyszłam. To z Organizacji. – Podała mu paczuszkę. – Jest zaadresowana do ciebie. Leżała na korytarzu, oparta o drzwi.

Cussick wziął ją do ręki. Kształt pudełka był znajomy: była to rolka taśmy magnetofonowej. Szywnymi palcami rozerwał papier i wprowadził taśmę do odtwarzacza zamontowanego w ścianie tuż nad stolikiem do kawy.

Głos nie zaskoczył go. Fragmenty układanki zaczęły się nagle łączyć ze sobą.

– Cussick, lepiej zaszyj się gdzieś na jakiś czas – rozległ się wysoki, udręczony jazgot. – Prawdopodobnie będzie wiele zamieszania. Nie wiem. Po prostu się domyślam. Rozumiesz? Po prostu się domyślam. Jeśli chodzi o ciebie, straciłem swój dar, a ty dobrze wiesz dlaczego.

Tak. Wiedział dlaczego. Jones widział wszystko aż do chwili swej śmierci. Ale nic więcej: ani

sekundy dalej.

– Odwaliłeś dobrą, solidną robotę – ciągnął dalej głos Jonesa, chrapliwe, metaliczne mamrotanie, to samo, które słyszał niespełna pół godziny temu. – Oczywiście to nie twoja zasługa. Ty po prostu wystrzeliłeś z tego pistoletu. To moją rzeczą było stanąć na linii strzału. Ale zrobiłeś, co miałeś do zrobienia. To było dobre. Wiedziałem, że to zrobisz. Nie stchórzyłeś w ostatniej chwili.

Cussick zatrzymał taśmę.

– Przebiegły strupieszasty bałwan – powiedział z wściekłością.

– Nie wyłączaj! – Nina, roztrzęsiona, odtrąciła jego dłoń i ponownie uruchomiła mechanizm.

– A więc teraz jestem martwy – oświadczył Jones. – Nie mogę powiedzieć dokładnie, kiedy to nagranie dotrze do ciebie, ale przypuszczam, że dotrze. Wiem jednak tyle: jeśli, i kiedy, je usłyszysz, ja będę martwy, gdyż tyle jeszcze widziałem. A do tej pory ty także to zobaczyłeś. Potrafisz sobie wyobrazić, jak się czuję? Przez cały rok widziałem przed sobą tę chwilę, wiedziałem, że nadchodzi, wiedziałem, że nie mogę jej uniknąć. Przez rok przeżywałem mękę śmierci... i tego, co następuje potem. Teraz nadszedł kres. Teraz odpocznę. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że zrobiłeś to, czego od ciebie chciałem. Ale prawdopodobnie nie rozumiesz dlaczego. Popełniłem błąd. Zaryzykowałem, zdałem się na los i przegrałem. To była pomyłka... ale nie taka, jak myślisz. Mój błąd był poważniejszy, niż sądzisz.

– Nie! – Cussick dławił się tłumioną wściekłością.

– Jutro albo pojutrze – mówił dalej Jones – okręty wojenne zaczną wracać do domu. Gdybym tego nie zrobił, ludzie zobaczyliby, że popełniłem błąd... uświadomiliby sobie, że jestem omylny, jak każdy inny. Zrozumieliby, że wcale nie jestem wszechwiedzący. – W jego słowa wkradła się nuta rozbawienia i triumfu, przerywając monotonię. – Wkrótce zaczęłyby krążyć pogłoski: Jones jest szalbierzem. Jones nie ma żadnego daru. Jones wystrychnął nas na dudka. Nie ma wcale większego pojęcia o przyszłości niż my. Ale teraz tak nie pomyślą. Fakty będą następujące: dzisiaj został zamordowany Jones. A jutro zaczynają powracać statki. Jones zginął, zanim nadeszła klęska, a przyczyna zawsze poprzedza skutek.

Cussick w bezsilnej rozpaczycy zatrzymał potok słów.

– Chryste – powiedział z goryczą.

– Nie rozumiem – szepnęła wstrząśnięta Nina. – Co on miał na myśli?

Cussick z niechęcią znów uruchomił odtwarzacz.

– Powiedzą, że zostałem zdradziecko zamordowany – oznajmił radośnie Jones. – Powiedzą, że mordując mnie, ukradłeś im zwycięstwo. Legenda będzie rosła: gdyby Jones żył, zwyciężylibyśmy. To ty, stary system, Rząd Federalny, Relatywizm, ograbiliście nas. Jones nie zawiódł.

– Przeprosiny dla twojej żony. Musiałem to powiedzieć. Musiałem cię sprowokować. Pearson



oczywiście żyje. Znajdziesz go w jednym z dawnych więzień policyjnych. To znaczy jeśli jeszcze...

– Możesz to wyłączyć – powiedziała Nina. – Nie chcę słyszeć nic więcej.

Usłuchał natychmiast.

– Pomogłem mu osiągnąć to, czego chciał. Wykorzystał mnie tak samo jak przedtem Pearsona... byliśmy elementami jego planu.

Umilkli.

– Cóż – powiedziała w końcu Nina – w każdym razie nie będzie wojny domowej.

– Nie – przyznał Cussick. – To wszystko było lipą, ukartowanym oszustwem. Ta cała historia o desperackim oporze wobec tłumów... to było na mój użytek.

– Był niezłym psychologiem.

– Był wszystkim. Rozumiał historię: wiedział, kiedy zejść ze sceny... i jak. Umiał wybrać właściwy moment na wejście i odwrót. Zdawało nam się, że będziemy skazani na Jonesa jeszcze przez pół roku... a tymczasem jesteśmy skazani na niego, na jego legendę, już na zawsze. – Nie potrzebował talentu Jonesa, by to dostrzec. Nowa religia. Ukrzyżowany bóg, zgładzony na chwałę człowieka. Nie ginący nadaremnie – mający powrócić kiedyś, powstać z martwych. Świątynie, mity, święte księgi. Relatywizm nie pojawi się już nigdy na tym świecie. Po czymś takim było to po prostu niemożliwe.

– On naprawdę nas wykiwał – przyznał Cussick. Był rozwścieczony, zawiedziony, lecz nie mógł nie podziwiać przebiegłości tego człowieka. – Przechytrzył nas wszystkich, na całej linii. Już widzę jego święte wizerunki, wysokie na sześćdziesiąt stóp, z każdym rokiem wyższe... po stu latach będzie sięgał już parę mil w górę. – Zaśmiał się ochryple. – Świątynie Jonesa. Ikony. Posągi. Nina zaczęła przewijać taśmę.

– Może moglibyśmy wykorzystać to jako dowód?

– Do diabła, mamy mnóstwo – dowodów – odparł. – Możemy udowodnić, że Jones się mylił, udowodnić to na milion różnych sposobów. Źle ocenił dryftery – to fakt. Pierścień został zamknięty przed jego śmiercią. Statki już dawno zawróciły ku Ziemi, a on nie żyje. Teoretycznie to powinno wystarczyć, żeby zamknąć sprawę. Ale będzie inaczej. On ma rację. Dobrze nas osądził. Przyczyna poprzedza skutek. Jones zginął w poniedziałek, wojna została przegrana we wtorek. Nawet ja, teraz, tu, w tym pokoju, nie mógłbym z czystym sumieniem stwierdzić, że mnie to nie przekonuje.

– Ja też nie – przyznała cicho Nina. – To trochę... to wydaje się słuszne – dodała żałośnie.

Cussick podszedł do okna, rozsunął zasłony i spojrzał bezradnie na ciemne strugi deszczu tłukące o chodnik.

– Co będzie z nami? – zapytała nieśmiało Nina. – Domyślam się, że nie chcesz jechać do Afryki.

– Myślisz, że Afryka jest wystarczająco daleko? Dla mnie? To ja zamordowałem Jonesa, zapomniałaś? Chmary ludzi będą siedziały mi na karku.

– Ale gdzie moglibyśmy uciec?

– Poza Ziemię – odparł zamyślony. – Tu nigdzie nie ma dla nas miejsca. Minie jakiś dzień czy dwa, zanim oni zaczną działać... ledwie będziemy mieli czas, żeby zabrać Jackiego i wszystko, czego nam potrzeba. Tony rupieci. I dobry statek, świeżo po przeglądzie. Wciąż masz wystarczająco dużo pieniędzy i wpływów, żeby to załatwić?

Powoli skinęła głową.

– Tak, tak mi się wydaje. Mówisz tak, jakbyś już postanowił. Jakbyś zdecydował, dokąd lecimy.

– Dokąd lecimy i co będziemy robić. Nie wygląda to różowo, ale może nie uciekamy na zawsze. To jedyne pocieszenie... być może to wszystko uspokoi się kiedyś i będziemy mogli wrócić.

– Wątpię w to – powiedziała Nina.

– Ja też w to wątpię. Ale będziemy potrzebowali czegoś, co utrzyma nas w formie. Czeka nas parę ciężkich chwil. – Odwrócił się od okna. – Możesz tu zostać, wiesz o tym. Formalnie nie jesteś moją żoną. Wcale nie muszą powiązać cię ze mną. Odrobina perswazji gdzie trzeba i znów jesteś lojalną pracownicą Organizacji.

– Lecę z tobą – odparła.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? W końcu byłaś z Jonesem od samego początku... możesz być świętą nowego Kościoła.

Uśmiechnęła się smutno.

– Wiesz, że chcę lecieć z tobą. Więc skończmy tę gadkę.

– Dobrze – zgodził się, nieco szczęśliwszy. Właściwie nawet zupełnie szczęśliwy. Pochylił się i pocałował ją w czubek nosa. – Masz rację. Bierzmy się do roboty. Im szybciej stąd zwiejemy, tym lepiej.

## Rozdział dwudziesty

W chacie było mroczno i chłodno. Powietrze, wilgotne od napływającej z zewnątrz mgły, dmuchnęło Louisowi w twarz i na chwilę zaniewidział. Zamrugał, zmrużył oczy, przykucnął i nachylił się, żeby mieć lepszy widok.

– Uważaj – ostrzegł go złowieszczo Dieter.

W ciemnościach leżała Vivian, przykryta kocem aż po brodę. Jej ogromne ciemne oczy spojrzały omdlewająco na Louisa. Poczul się dziwnie. Serce mu się ścisnęło, niemal stracił oddech.

– Może lepiej popatrzę później – wymamrotał.

– Nie wiozłem cię pięćdziesiąt mil na darmo – upomniał go Dieter. – O co chodzi? Boisz się?

– Tak – przyznał. – Czy muszę patrzeć? – Strach wziął górę i Louis spiesznie odsunął się od łóżka. A może coś było nie tak? Istniała przecież taka możliwość. Poważna możliwość. Możliwość, z którą należało się liczyć. Problem dotąd nie został rozwiązany. Może geny istotnie są nienaruszalne, jak twierdził Mendel. Ale jak, w takim razie, zachodziła ewolucja? Przez jego umysł przetoczyła się potężna fala abstrakcyjnej teorii. – Nie – powiedział z naciskiem. – Nie mogę.

Dieter stanął obok żony.

– Ty będziesz następny – oznajmił Louisowi. – Ty i Irma. A potem Frank i Syd. Więc popatrz.

Popatrzył. Wszystko było w porządku.

Drżąc lekko, pochylił się niżej. Niemowlę spało twardo. Wyglądało na zdrowe. Miało zaróżowioną twarzyczkę, zaciśnięte mocno powieki i lekko rozchylone usta. Czoło ściągnęło w gumowe fałdy, podkurczyło rączki o zgiętych paluszkach. Pod wieloma względami przypominało zwykłego ludzkiego noworodka... ale nie było nim. Widział to już teraz.

Inne były nozdrza – to zauważył przede wszystkim. Zamykał je gąbczasty twór: błona filtracyjna zatrzymująca gęstą parę wodną. I dłonie. Ostrożnie ujął maleńką rączkę niemowlęcia i przyjrzał się jej z uwagą. Między palcami znajdowała się błona. Stopy nie miały palców. A klatka piersiowa, jak na niemowlę, była ogromna: płuca musiały gromadzić mnóstwo powietrza, by utrzymać przy życiu kruchy organizm.

I to był dowód. To było istotne, najważniejsze. Niemowlę żyło. Oddychało wenusjańskim powietrzem, znosiło wenusjańską temperaturę, wilgotność... pozostawała jedynie kwestia odżywiania.

Vivian czule przygarnęła dziecko. Niemowlę poruszyło się kapryśnie, otworzyło oczy.

– Co o nim myślisz? – zapytała.

– Udany – odparł Louis. – Jak ma na imię?

– Jimmy. – Vivian uśmiechnęła się błogo. Uniosła wierzące się dziecko do powiększonych piersi. Szamotanina wkrótce ustała. Nerwowe ruchy zamarły w sytej półdrzemce. Louis przyglądał się temu przez chwilę, po czym podszedł na palcach do stojącego z dumną miną Dietera.

– I co? – spytał zaczepnie młody ojciec. Louis wzruszył ramionami.

– To niemowlak. Wierzga. Twarz Dietera poczerwieniała.

– Nie rozumiesz? On jest zmieniony... przystosowany. Będzie żył.

– Pewnie – zgodził się Louis. Nagle uśmiechnął się szeroko i klepnął chłopaka w plecy. – Zostałeś ojcem, smarkaczu. Ile, u diabła, masz lat?

– Osiemnaście.

– A Viv?

– Siedemnaście.

– Ty patriarcho. Kiedy będziesz w moim wieku, doczekasz się już wnuków. Płodności, twoje imię jest młodość.

Do chaty wpadli Frank i Syd, a za nimi Laura: trzyletnia już i żywa jak iskra. Wkrótce zjawiała się też Irma. Na jej twarzy malował się niepokój.

– Czy to... – zaczęła, po czym umilkła, dostrzegłszy w mroku leżące na łóżku postacie.

– Do licha, to jest to – odezwał się z podziwem Frank.

– A coś ty myślał? – odparł Dieter. W drzwiach ukazał się Garry.

– Mogę wejść?

– Wchodź – powiedział Louis. – Urządzamy przyjęcie. – Podprowadził Laurę do łóżka. – Ty też. Wszyscy możecie popatrzeć.

Syd pochyliła się nad matką i dzieckiem.

– Problem odżywiania jest na razie rozwiązany – stwierdziła z namysłem. – Ale co później?

– Nie martw się o to – odparł wyniośle Dieter. Nieco zakłopotany wyjaśnił: – Rafferty nie przeoczył niczego. Gruczoły Viv... to znaczy... wydzielina sutkowa nie jest taka jak u ludzi. Zbadaliśmy to z Louisem. To jest mleko, ale nie zwyczajne.

– Bogu dzięki. – Syd odetchnęła z ulgą.

– Nie chciałabym utrzymywać go przy życiu przez resztę jego dni – powiedziała łagodnie Vivian. – Chyba nie dałabym rady.

Frank i Louis odeszli na bok, by się naradzić.

– To najlepsze, co mogło się wydarzyć – rzekł Frank. – Czy wzięłeś pod uwagę inne możliwości? Przypuśćmy, że dziecko urodziłoby się normalne: zwykłe ziemskie niemowlę, przystosowane do ziemskiego środowiska. Przypuśćmy, że całe nasze potomstwo wróciłoby do formy wyjściowej. Rewersja, chyba tak się to nazywa. Co by było, gdybyśmy nie mogli przekazać tych cech, gdyby się okazało, że jesteśmy tylko wybrykami natury?

– No cóż, nie jesteśmy.

– I Bogu dzięki. Poumieralibyśmy bezpotomnie i taki byłby koniec. Koniec naszej rasy.

Opuścili chłodną i mroczną chatę. Zeszli po trzech schodkach na pracownice wykonaną przez Dietera ścieżkę, dochodzącą aż do głównej drogi. Przez ostatni rok kolonia się rozrosła. Drogi o gładkiej nawierzchni łączyły między sobą poszczególne domostwa. Przed chatą Dietera stał prymitywny wehikuł, który chłopak wyklepał razem z Garrym z arkuszy walcowanych we własnej kuźni. Wyglądał groteskowo, ale spełniał swoje zadanie. Pojazd był zasilany przez akumulator. Jego opony, uformowane po amatorsku, nie były idealnie okrągłe, nadawały się jednak do użytku. Odlano je z plastycznej wydzieliny pewnego przypominającego paproć drzewa. Na równym gruncie pojazd wyciągał dziesięć mil na godzinę.

– Nie wpatruj się za bardzo – upomniał Louis Franka. – Jeszcze się rozpadnie.

Kipiące źródła gorącej wody były naturalnym źródłem elektryczności. Zmontowali już cztery generatory prądu. Nowa wenusjańska społeczność miała stałe źródło ciepła, światła i energii. Większość sprzętu pochodziła ze zniszczonych statków i kopuł zwiadowców. Ale stopniowo, kawałek po kawałku, zastępowano je elementami wykonanymi ręcznie.

– Wygląda to nieźle – przyznał Louis.

– To prawda – zgodził się Frank. – On wiele tu zrobił. Ale te głupkowate zwierzęta, które nałapał... co to jest, u diabła?

– Bóg raczy wiedzieć – powiedział Louis. Wetknął głowę do chaty. – Co to za stworzenia tam, na zewnątrz? – zapytał.

– To moje stado wuzzli – odparł dumnie Dieter.

– Na co ci one? Będiesz je jadł?

– Wuzzle były tu gatunkiem dominującym – odrzekł z godnością Dieter. – To najinteligentniejsza tubylcza forma życia. Testy, jakie przeprowadziłem, wykazały, że wuzel jest bystrzejszy niż ziemski koń, świnia, pies, kot i kruk razem wzięte.

– Jezus Maria – mruknęła Irma.

– Będą naszymi pomocnikami – perorował gładko Dieter. – Uczę to stado rutynowych prac. Dzięki nim będziemy mogli skupić się na twórczych rozważaniach.

Kręcąc głową, Louis wycofał się z chaty.

Ale przyjemnie było się rozejrzeć dokoła. Było tu wszystko: pola, zagrody dla zwierząt, wędzarnia, silos, chata, która była już teraz budynkiem o podwójnych ścianach, z dwiema sypialniami, bawialnią, kuchnią i wewnętrzną łazienką. Poza tym Garry znalazł substytut miazgi drzewnej. Zmajstrowali niewydarzony papier, a wkrótce potem prymitywne czcionki. Było tylko kwestią czasu, by ich społeczność zasłużyła na miano cywilizacji: cywilizacji złożonej z dziewięciu osobników.

Godzinę później Frank i Syd niespiesznie wracali swym elektrycznym wozem do swej zagrody.

– To dobra nowina – powtórzył Frank. Krajobraz przesuwiał się wolno obok nich.

– Powiedziałeś to już pięć razy – przypomniała mu łagodnie Syd.

– A jednak to prawda. – Frank zamyślił się. Na jego twarzy pojawił się wyraz troski. – Może dobrze byłoby zatrzymać się przy jednym ze statków.

– Po co?

– Powinniśmy zbudować inkubator. Przypuśćmy, że dziecko jest przystosowane prawie zupełnie. Mogłoby umrzeć... ale w inkubatorze utrzymalibyśmy je przy życiu, dopóki nie nabrałoby sił. Moglibyśmy stworzyć mu odpowiednie warunki, dopóki nie zaadaptowałoby się w pełni do tego środowiska. Po prostu na wszelki wypadek. Nie chcę, żeby coś mu się przytrafiło – dodał płacząco.

– W każdym razie powinniśmy zajrzeć do kopuł – powiedziała Syd. – Oni też chcieliby o tym usłyszeć.

Frank zjechał wozem z drogi. Po chwili pojazd podskakiwał już na gruzłowym zielonkawym mule pokrywającym powierzchnię Wenus. Przed nimi ciągnęło się długie, zamglone pasmo gór. U jego stóp leżały rozrzucone szczątki dawnych kopuł ochronnych Ziemi. Pociski wprawdzie je zniszczyły, ale z tego, co zostało, zmontowali pojedynczą budowlę, również rodzaj kopuły. Zakotwiczyli ją u podnóża gór.

– To niesamowity widok – stwierdził Frank. – Czuję się, jakbym był na zewnątrz własnej skóry.

– Byłej własnej skóry – poprawiła go Syd.

Ów Azyl nie dorównywał wielkością temu, w którym niegdyś mieszkali – nie szerszy niż kwartał ulic i długi na kilkaset stóp. Miał za zadanie utrzymać przy życiu trzy osoby, nie osiem. Ale zasada była taka sama: w przezroczystej bańce znajdował się inny świat, z inną temperaturą, atmosferą, wilgotnością i formami życia.

Troje mieszkańców umiejętnie urządziło swoje schronienie. Przypominało niewielki fragment Ziemi, przeniesiony żywcem na Wenus. Nawet barwy były takie jak w naturze. Frank nie mógł nie podziwiać ich pracy, zręczności, z jaką stworzyli tę wierną kopię swego świata. Ale w końcu to było wszystko, czym się zajmowali przez ostatni rok. Nic więcej nie mieli do roboty.

Starannie odmalowali sztuczne niebo, niemal ludzaco wierną imitację błękitnej czaszy Ziemi, z chmurami i kluczem wędrownych gęsi, solidnie przyklejonych do wnętrza plastikowej bańki. Mężczyzna, Cussick, przywiózł ze sobą nasiona traw, dno Azylu wyściełał więc zwarty dywan ciemnej, soczystej zieleni, podobnej do roślinności żyjącej na zewnątrz, na Wenus, a jednak odmiennej.

Tak, zupełnie odmiennej. Różniła się nieznacznie barwą i bardzo poważnie budową. Był to obcy świat, przeszczepiony tu w miniaturowej skali. Okruch. Ekspонат muzealny, który wywoływał we Franku, w miarę jak wóz zbliżał się do kopuły, dziwną nostalgię.

Rodzina Ziemian wyhodowała sobie krzewy i drzewa. W Azylu rosły klony i topole. Z dostępnego materiału zbudowali model ziemskiego domu, mały, o dwóch sypialniach. Białe tynkowane ściany. Dach z czerwonej dachówki. Firanki w oknach. Wysypana żwirem ścieżka. Garaż (mieszczący jedynie dobrze wyposażony warsztat). Róże, petunie i kilka fuksji. Wszystkie sadzonki i nasiona zostały sprowadzone podczas pierwszej – i jedynej – podróży z Ziemi: Cussick był przewidujący. Za domem znajdował się bujny ogród warzywny. Mężczyzna pomyślał nawet o tym, by przywieźć cztery kurczaki, krowę i byka, trzy świnię, po parze psów i kotów oraz stado rozmaitego ptactwa.

Azyl był dosłownie zapchany ziemską florą i fauną. Kobieta, Nina, namalowała zaskakująco realistyczne tło: falujące brązowe wzgórza i błękitny ocean w oddali. Miała spory talent. Wyszkolonym i krytycznym okiem śledziła postępy prac. Na skraju Azylu, tam, gdzie zaczynało się tło, bawił się ich czteroletni syn, Jack. W skupieniu wznosił zamek z piasku na brzegu małego sztucznego jeziora, w którym pluskała starannie destylowana woda.

– Żał mi ich – powiedziała nagle Syd.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Dlatego, że to okropne. Pamiętasz? Życ w ten sposób, w zamknięciu, w małym szklanym pudełku...

– Kiedyś w końcu wrócą na Ziemię – przypomniał jej Frank. – Prędzej czy później Zakon Księcia Ludzkości... czy jak się tam nazywa ta nowa hagiokracja... ochłonie i pozwoli mu wrócić.

– O ile wcześniej on nie umrze ze starości.

– Oni już się uspokajają. To nie potrwa długo. I pamiętaj, że on wie, dlaczego tu jest. Sam podjął tę decyzję. Z własnej woli. I ma przed sobą cel.

Frank wyłączył silnik i zatrzymał pojazd. Zsiadli ostrożnie z wozu i ruszyli w stronę Azylu.

Cussick spostrzegł ich przez przezroczystą ścianę. Pomachał im i podszedł do nich.

Przykładając do ust złożone w kubek dłonie, Frank krzyknął:

– To chłopiec! Jest przystosowany! Wszystko w porządku!

– On cię nie słyszy – łagodnie przypomniała mu Syd.

Weszli do służby wejściowej. Usiedli na taboretach, włączyli mikrofon i czekali, aż rozgrzeją się obwody umożliwiające im komunikację z Azylem, z zamkniętym, oddzielnym ścianą kosmosem. Dookoła słychać było buczenie rur i przewodów: skomplikowanego układu pomp, utrzymującego w Azylu stałe warunki środowiskowe. Dalej znajdowały się termostaty, wyprute z trzech uszkodzonych statków. A jeszcze głębiej sprzęt najważniejszy ze wszystkich: urządzenia wytwarzające żywność dla Ziemi.

– Cześć – powiedział Cussick, stając za przezroczystą ścianą, z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach. Rękawy miał podwinięte. Pracował właśnie w ogrodzie. – Jak poszło?

– To ładny chłopak – odparła Syd.

– Przystosowany?

– Całkowicie. Najprawdziwszy potwór.

– To wspaniale – stwierdził Cussick, kiwając głową. – Trzeba to oblać.

Po chwili dołączyła do nich jego żona, pulchna, ładna blondynka w niebieskich spodniach i kusej koszulce na ramiączkach, ze smugą pomarańczowej farby na odsłoniętym brzuchu i lśniąca od potu twarzą. W dłoni trzymała blok papieru ściernego i skrobaczkę do farby. Sprawiała wrażenie dobrze odżywionej i zadowolonej. A nawet szczęśliwej.

– Przekażcie jej nasze gratulacje – dobiegł ich głos Niny. – Czy to chłopiec?

– Bezwzględnie – powiedział Frank.

– Zdrowy?

– Zdrowy jak wuźel. W gruncie rzeczy on jest nowym wuźlem. Ulepszonym wuźlem nowej generacji, który zajmie miejsce starego.

Nina z zakłopotaniem pokręciła głową.

– Źle cię słychać. Nie mogę zrozumieć, co mówisz.

– Nie martw się tym – odparł jej mąż, obejmując ją w talii i przyciągając do siebie. – Martw się o myszy w spiżarni.



– Myszy! – wykrzyknęła Syd. – Przywiozłeś ze sobą myszy?!

– Chciałem, żeby wszystko było jak w naturze – wyjaśnił Cussick, uśmiechając się szeroko. – Zapakowałem nawet parę koników polnych i much. Chcę, żeby mój świat był kompletny. Dopóki musimy tu żyć...

Nad sztucznym jeziorem Jackie beztrosko bawił się swym zamkiem z piasku.

– Chcę, żeby wiedział, z czym będzie miał do czynienia – dodał Cussick. – Żeby był przygotowany do powrotu na Ziemię.

# Spis treści

[Rozpocznij](#)